

Historia brutalna i jednocześnie piękna. To jak Opowieść podręcznej na odludziu.

– PAULA HAWKINS, autorka *Dziewczyny z pociągu*



Naturalna kolej rzeczy

Charlotte Wood



Charlotte Wood

Naturalna kolej rzeczy

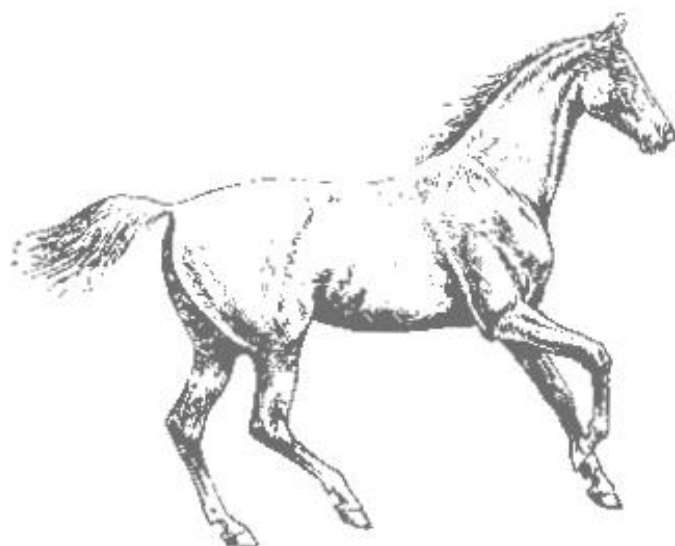


PRZEŁOŻYŁA

Daria Kuczyńska-Szymała



CZĘŚĆ I
LATO



A więc są tu kukabury. To była pierwsza myśl, jaka przyszła Yolandzie do głowy w ciemności poranka (oraz: *Gdzie są moje fajki?*). Dwa ptaki pokrzykujące swobodnym, przenikliwym trajkotem. Ptasie wołanie, zanim wstanie słońce: głośne, szalone.

Wstała z łóżka i poczuła szorstkie drewno pod stopami. Skórę ocierał dziwnie sztywny materiał koszuli nocnej. Kto ją w to ubrał? Przeszła kilka kroków po surowych deskach podłogi i stanęła, wyciągając szyję, żeby wyrzeć przez wąskie okienko. Dwie lampy uliczne, które widziała we śnie, okazały się dwiema wielkimi gwiazdami na atramentowo niebieskim niebie. Kukabury zdumiewały ciemność swoimi przeraźliwymi głosami.

Później pojawią się inne ptaki; czasem będzie o nie pytać, ale pytania wzbudzają w ludziach podejrzliwość, więc nikt jej nie odpowie. Zacznie więc wymyślać swoje własne nazwy. *Wodospadki*, których głosy opadają gwałtownie w dół. I *piszczyki*, drobne, szare i szybkie. Kto by pomyślał, że pośród takiej cholernej pustki może być tyle ptaków?

Ale to wszystko stanie się później.

Teraz, pierwszego poranka, zanim wszystko się zaczęło, patrzyła na niebo. Gdy granatowa noc zaczęła jaśnieć, słuchała szalonych krzyków kukabur i myślała: *Och, tak, macie rację.*

Zabrano ją do domu wariatów.

Trzymając się ściany, dotarła po omacku do drzwi. Pozbawionych klamki. Spróbowała chwycić czubkami palców za krawędź. Zamknięte. Wróciła na łóżko, naciągając prześcieradło i koc aż po szyję. Może mieli rację? Może jest wariatką i wszystko jakoś się ułoży?

Wiedziała, że nie jest szalona, ale przecież wszyscy szaleńcy tak uważają.

Kiedyś, gdy byli mali, ona i Darren zebrali kępy mchu spod kranu na tyłach bloku, w ciemnym, wilgotnym kącie podwórza, gdzie zawsze panował chłód, nawet w najgorętsze dni. Ułożyli z nich stos, czując między palcami ciężką ziemię. To była przyjemna praca, unoszenie każdej bryły za brzeg i ostrożne jej podnoszenie, tak żeby się nie połamała. Coraz lepiej im szło, mech się nie rozpadał, gdy dzielili go na kawałki. Wypełnili nim popękane pomarańczowe wiadro z plastiku i wynieśli na róg ulicy, żeby go sprzedać.

– Mech na sprzedaż! – wołali do nagranych samochodów, które ich mijały. Chichocząc przy tym, machając rękoma i wygłupiając się. Albo grzeczniej: – Kupią państwo trochę mchu? – gdy mijał ich jakiś mężczyzna albo jakaś kobieta.

Nikt nie kupował mchu, nawet gdy rozłożyli go elegancko na poboczu. Darren posłał nawet Yolandę dwa razy po wodę, żeby polać mech, by pozostał sprężysty w dotyku. A potem zrobiło im się zbyt gorąco i Darren zostawił ją na skraju ulicy, a sam poszedł po dwa kubki wody. Ale i tak nikt nie kupował mchu. Więc weszli po schodach na górę i oglądali telewizję, a mech wysechł, zszarzał, pokrył się kurzem i umarł.

To właśnie przywiodła jej na myśl ta koszula nocna: wysuszony mech. I kochała Darrena, choć wiedziała, że to on kazał ją zabrać tu, gdzie teraz się znajdowała. Może nawet sam wsadził ją do popękanego pomarańczowego wiaderka i osobiście ją tu przywiózł?

Naprawdę chciało jej się papierosa.

Czekając tak w łóżku, w koszuli z wysuszonego mchu i w dzikiej ciszy – kukabury umilkły równie gwałtownie, jak rozbrzmiały – postanowiła zrobić remanent.

Yolanda Kovacs, dziewiętnaście lat i osiem miesięcy. Ładne ciało (to prawda, ale po co miałyby się nim chwalić, skoro właśnie przez nie te wszystkie kłopoty?). Otuliła się mocniej szeleszczącą koszulą – odkryła, że trochę mniej drapie, gdy się ją ściślej naciągnie na siebie.

Jedna matka, jeden brat – żyją. Jeden ojciec, nieznan – żywy albo martwy. Jeden chłopak, Robbie, który już jej nie wierzył (na myśl o Robbiem poczuła w gardle szloch, ale go przełknęła). Noc, ciemny pokój, ten drań i jego koledzy, jeden koszmarny błąd. A potem wielki, potworny, pierdolony chaos.

Yolanda Kovacs – wariatka. To słowo wzbudzało w niej strach. Odwróciła twarz i zaszlochała w twardą poduszkę.

Przestała płakać i kontynuowała remanent. Braki: torebka, to oczywiste. Fajki (prawie cała

paczka), fioletowa zapalniczka, telefon, kosmetyczka, niebieski top, majtki, obcisłe dzinsy. Buty. Trzy srebrne pierścionki z Bali, naszyjnik z kości renifera od Darrena (znów sięgnęła do dekoltu, ale naszyjnika nadal tam nie było).

Popatrzyła w ciemne okienko. *Och, gwiazdy. Zostańcie ze mną.* Ale niebo wkrótce pojaśniało i dwie gwiazdy zniknęły, zupełnie.

Wdychała i wydychała powietrze, pragnąc nikotyny, zwinięta na łóżku i wpatrzona w drzwi.

W plamie słonecznego światła Verla siedzi na drewnianym składanym krześle i czeka. Kiedy drzwi się otwierają, wstrzymuje oddech. Do pokoju wchodzi dziewczyna. Ich spojrzenia spotykają się, po chwili obie odwracają wzrok na podłogę i ścianę.

Dziewczyna porusza się sztywno w dziwnym stroju i wchodzi tylko kilka kroków w głąb pokoju. Drzwi zamykają się za nią. Jedyne krzesło stoi obok krzesła Verli, więc Verla wstaje i podchodzi do okna. Nie mogłaby znaleźć się tak blisko kogoś obcego. Stoi przy oknie, wpatruje się w pustkę przez upstrzoną muszymi odchodami szybę. Do pokoju wpada jaskrawe światło słońca, ale to tylko jego odbicie od białej elewacji z desek, którymi obłożono ściany budynku stojącego zaledwie kilka metrów dalej. Przyciska twarz do szyby, ale nie dostrzega żadnych okien na całej jego długości.

Czuje, że tamta dziewczyna stoi w pokoju i gapi się na dziwne ubranie Verli. Sztywna, długa tunika z zielonego płótna, zgrzebna perkalowa koszula pod spodem, ciężkie buty z brązowej skóry i długie wełniane skarpety. Staromodna bielizna. Jest przecież lato. Verla poci się pod tym ubraniem. Czuje, że do tamtej dziewczyny zaczyna docierać fakt, że stanowią lustrzane odbicia, że ona też ma na sobie taki absurdalny kostium i wygląda równie dziwnie jak Verla.

Verla próbuje rozpracować w myślach, co jej podano, przypominając sobie wszystkie środki uspokajające z listy ojca. Midazolam, largactil? Chce przecież żyć. Brnie przez własną pamięć, próbuje logiki, ale nie potrafi uchwycić niczego poza faktem, że wszystkie jej ubrania – i zapewne tej drugiej też – zniknęły. Rzuca okiem na tamtą. Jest wysoka, ma opadające powieki, gęste brwi, długie czarne włosy do pasa – to wszystko, co Verla zauważa, zanim odwróci wzrok. Ale dostrzega też, że dziewczyna stoi tam ciągle jak słup soli, z rękoma zwieszonymi wzdłuż boków, i wpatruje się w podłogę. Też otumaniona. Verla poznaje to po powolnych ruchach, jakby nieobecności tej... uciekiniarki, uczennicy, narkomanki? Zakonnicy, z tego co widać. Ale nawet po tym jednym rzucie okiem dziewczyna wydaje jej się jakoś znajoma.

Domyśla się, że powinna odczuwać dudniący lęk. Ale logiczne myślenie nie jest teraz możliwe, to, co jej podano niczym glazura powleka jej umysł. Myśli wirują bez celu i końca, jak wytarta śrubka.

Verla przesuwając wzrok w ślad za spojrzeniem dziewczyny. Deski podłogi lśnią w słońcu jak miód. Ma ochotę je polizać. Wie, że strach to teraz jedyna rzecz, która być może zdołałaby ją uratować przed tym, co ma nastąpić. Ale w głowie ma wątpliwość, jest zbyt powolna. Psychotrop widać rozpuścił całą wcześniejszą adrenalinę. Właściwie wcale nie czuje się tutaj dziwnie, z jakąś obcą dziewczyną, w nieznanym pomieszczeniu, mając na sobie przedziwne, staromodne ciuchy. Nie jest w stanie oprzeć się temu uczuciu, nie jest w stanie niczego ani rozumieć, ani kwestionować. Czuje rodzaj tępej ulgi.

Ale Verla może słuchać, walczyć z poczuciem otumanienia. Gdzieś za drzwiami terkocze jakieś domowe urządzenie – może lodówka, a może klimatyzator? Ale tu panuje upalny zaduch, w tym prymitywnym wnętrzu. Nie ma pojęcia, gdzie są.

Pokój jest duży i jasny. Stoją w nim dwa drewniane składane krzesła – puste, tamta dziewczyna nie usiadła na żadnym z nich – pod ścianą w kolorze mlecznej zieleni. Po drugiej stronie pokoju wisi tablica z rulonem zwiniętym wysoko u góry. Verla – nie wiadomo skąd – wie, że gdyby pociągnęła za kółko pośrodku rulonu, rozwinęłaby mapę Australii, w kolorze żółci i pomarańczy z błękitem wody dookoła. Mapa byłaby lekko błyszcząca i nieco popękana od lat zwijania i rozwijania i zawierałaby gdzieś w sobie prawdę o tym, dokąd przez te wszystkie godziny podróżowała. Gdy jej umysł odzyska sprawność, znowu będzie w stanie myśleć. Rozpracuje to, ogarnie się, zażąda informacji i zwróci się do najwyższych władz. I nie spocznie, aż dotrze jakoś do sedna rzeczywistości, która wygląda tak, jakby została porwana i trafiła w sam środek cholernych lat pięćdziesiątych.

Na zewnątrz odzywa się biała kakadu, coraz bliżej i głośniejsze, aż jej przeraźliwy skrzek wypełnia cały pokój. Znowu krzyżują wzrok z tamtą dziewczyną, a potem Verla wygląda ponownie na zewnątrz, wysoko, ku niebu. Ptak trzepocze skrzydłami pomiędzy budynkami i znika.

Verla znowu próbuje myśleć i tym razem z lepkiej, galaretowej pamięci wyciąga niewyraźny kształt jakiegoś pojazdu. Czy to wspomnienie, czy sen? Autobus. Świecący żółcią pośród ciemności. Zdecydowane, stanowcze dłonie unoszą ją i pchają. Pobudka w mroku, welurowy dotyk nieznanego obicia fotela pod policzkiem. Przednie światła oświetlające długą, prostą i pustą drogę. Czy wstała,

chwiejąc się na nogach? Czy krzyczała, czy ją uciszono? Pociera nadgarstek na wspomnienie kajdanek i poręczy, wyłowionych jakby ze snu.

Niemożliwe.

Kolejne senne wspomnienia – wyciągają ją z autobusu, podtrzymują, próbuje mówić. Chwyta ją czyjeś szorstkie dłonie. Smak kurzu pośród suchej, naładowanej elektrycznością nocy. Znalazła się daleko od domu.

I oto jest tutaj, w tym pokoju.

Verla znów uważnie nasłuchuje. Wydaje jej się, że słuchanie to jedyna nadzieja, jaką ma. Słyszy gdzieś skrzypnięcie drzwi, popiskiwanie ptaka. Może usłyszy silnik samochodu, samolotu, pociąg, coś, co umożliwi jakąkolwiek lokalizację? Kroki, rozmowy, obecność ludzi w innych pokojach? Patrzy na białe deski za oknem. Nie ma nic. Jakieś urządzenie krztusi się nagle – to jednak lodówka – i wyłącza.

Teraz już nie słychać nic poza powolnym, równomiernym oddechem tamtej dziewczyny. Podeszła wreszcie do krzesła i usiadła. Nogi ma rozsunięte, czoło opiera na dłoniach, łokcie tkwią na kolanach. Jej długie czarne włosy tworzą zasłonę, która niemal sięga podłogi.

Verla ma ochotę położyć się na deskach i zwyczajnie zasnąć. Ale jakiś pierwotny instynkt przebija się do jej świadomości, a ona zmusza się, by stać prosto. Mijają minuty. Godziny. W końcu tamta dziewczyna odzywa się, jej głos jest niski i gardłowy.

– Masz fajki?

Gdy Verla odwraca się ku niej, widzi, jaka tamta jest młoda. I znów wydaje się jej znajoma. Ciągle ma wrażenie, jakby знаła tę dziewczynę z dawien dawna. Jakby ją kiedyś miała, a potem porzuciła, jak lalkę albo psa. I oto jest, wróciła, niczym aktorka na scenę, i Verla też, obie przebrane w te dziwne stroje niczym kukielki. To wszystko może być halucynacją. Ale Verla wie, że nie jest. Kukielka otwiera usta, żeby znowu się odezwać, a Verla odpowiada:

– Nie – w tej samej chwili, gdy dziewczyna-lalka czy dziewczyna-pies pyta:

– Wiesz, gdzie jesteśmy?

Na korytarzu za drzwiami rozlegają się jakieś głosy i w nagłym przypiływie świadomości Verla uzmysławia sobie, że powinna była zapytać tę dziewczynę, skąd wcześniej przyszła, co jest za drzwiami. Uświadamia sobie, że zmarnowała ostatnią szansę, żeby dowiedzieć się, co teraz nastąpi. Ale jest już za późno. To męskie głosy, donośne, wesołe, zwyczajne. Zanim otworzą się drzwi, dziewczyna podbiega do Verli i obie stają przodem do drzwi, a plecami do okna. Gdy drzwi się otwierają, ich dłonie odnajdują się nawzajem i mocno zaciskają.

Do pokoju wpada mężczyzna. Odgłosy życia i ruchu rozbrzmiewają za nim na korytarzu: głos innego mężczyzny, brzęk sztućców albo noży. Delikatny metaliczny dźwięk, jakby jakieś narzędzia obijały się o zlew czy miskę. Nogi uginają się pod Verlą, prawie upada. Druga dziewczyna mocniej zaciska dłoń na jej dłoni i Verla ze zdumieniem odkrywa: *Ona jest silniejsza ode mnie.*

– Hej – woła łagodnie mężczyzna, jakby zakłopotany na ich widok. Gęste brązowe dredy opadają mu na ramiona, otaczając nieobecną, złocistą twarz hipisa. Jest w niebieskim kombinezonie i wielkich czarnych butach. Kombinezon i buty wyglądają na nowe. Chyba mu w nich niewygodnie. Staje z założonymi rękoma, odchylając się od czasu do czasu do tyłu, żeby wyjrzeć przez drzwi, widać że czeka na kogoś.

Przenosi wzrok z powrotem na dziewczynę, taksując je wzrokiem w tych sztywnych, dziwnych ubraniach. Intrygujące obiekty.

– Pewnie czujecie się gównianie. – Ochrypli, leniwy głos épuna. Wyciąga się, unosząc wysoko ramiona ze złożonymi do siebie dłońmi, a potem zgina się w pasie, dotyka głową kolan, przykłada ręce do podłogi i robi długi, głęboki wydech. *Powitanie słońca* – myśli Verla. Mężczyzna prostuje się i ponownie wzdycha, znudzony.

– Wkrótce minie, raczej – mruczy jakby do siebie, znowu zerkając za drzwi.

Dziewczyny stoją tam, gdzie dotąd, nadal trzymając się za dłonie.

I wtedy do pokoju wkracza kolejny kombinezon. Energiczny, zdecydowany.

– Dobra – mówi. – Która chce być pierwsza?

Żeby nie upaść, Yolanda oparła się o parapet okna, trzymając tę drugą dziewczynę za rękę. Czują w krtani szorstką gulę, jakby wepchnięto jej coś do gardła, wtedy gdy spała. Zabolalo, ale usłyszała swój głos:

– Ja będę pierwsza.

Co miało teraz nastąpić, nie wiedziała. Modliła się, żeby najpierw dali jej dodatkową dawkę tego gówna, bo jeśli nie, to będzie pluć i drapać tak długo, aż w końcu to zrobią. Mężczyzna podszedł do niej i pochylił się, żeby przypiąć krótką smycz do metalowego kółka, przymocowanego do pasa jej tuniki, którego wcześniej nawet nie zauważyła. Wtedy puściła rękę tamtej laski i po raz pierwszy tak naprawdę na nią spojrziała, stojącą na tle okna, ze światłem otaczającym aureolą jej miękkie rudobrazowe loki. Niebieskie oczy dziewczyny były rozszerzone ze strachu, a pokryte piegami policzki jeszcze bledsze niż światło na zewnątrz. Yolanda miała ochotę powiedzieć: *To mnie zabierają, ty głupia pindo, a nie ciebie.*

Jednak zdawała sobie sprawę, że to ona wybrała lepiej: dowie się, co z nimi będzie, a ta druga dziewczyna będzie musiała znieść kolejną minutę, godzinę czy rok czekania w tym pokoju.

Kiedy po chwili mężczyzna posadził ją w innym pokoju i przypiął drugi koniec smyczy do ciężkiego fotela na jednej nodze, a potem wyszedł, rozejrzała się wokół w poszukiwaniu kabli i wtyczek czy czego tam, do kurwy nędzy, jeszcze. Czekala ją śmierć, może najpierw tortury. Zaczęła wrzeszczeć, żeby dali jej jakiś narkotyk!

Gdy oprzytomniała – zaczęła już przyzwyczajać się do nagłej utraty i odzyskiwania świadomości – uzmysłowiła sobie kilka rzeczy. Że to ćpun z dredami stał przed nią, a potem za nią, i że w jego dłoni błysnęło stalowe ostrze. Zamknęła oczy od nagłego ataku mdłości – a potem adrenalina zamieniła się w jednej chwili w poczucie ulgi, a jej wnętrzości w wodę, bo zrozumiała, że nie poderzną jej gardła.

Obcinali jej włosy.

Zapadła się jakby w sobie z tej ulgi i, owszem, niemal popuściła w majtki, ale tylko straciła znowu przytomność, aż skończyli. Czują jedynie tłuste, wełniste końcówki dredów, jak muskają jej kark i ramiona, gdy ćpun pracował. Czują, jak ciągnie i puszcza jej głowę, ciągnie i znowu puszcza, i poddawała się temu dotykowi, podczas gdy nożyczki cięły z mozołem, a ona czuła każdy kłębek chłodnego powietrza, który docierał do jej skóry tam, gdzie wcześniej miała włosy.

W przyplywie ukojenia – płynnym, ciężkim, zimnym i srebrzystym niczym ołów, jakby działał jakiś inny narkotyk – pomyślała o tamtej biednej dziewczynie. Ale też gardziła nią, za to, jak strach wyciekał z niej i jak się rozprzestrzeniał. *Znajdź sobie czyjąś inną rękę do trzymania*, pomyślała wtedy Yolanda, tam, na fotelu, zamykając z powrotem oczy.

Usłyszała, jak ćpun mamrocze.

– Te nożyczki są cholernie tępe. – I Yolanda przysięgłaby, że usłyszała kroki, drobne kobiece kroki, tuż za sobą, na pokrytej linoleum podłodze. Poczwała zapach kobiety, jej kosmetyków, damski zapach, i usłyszała cichy chichot, a potem to wszystko zniknęło, razem z Yolandą, aż zimne brzęczenie elektrycznej maszynki do golenia rozległo się u nasady jej karku, znów gwałtownie ją cucąc.

Jeśli była tam jakakolwiek kobieta, to zniknęła. Został tylko ćpun, pochyłony nad pracą, golący teraz jej głowę, przesuwający po niej maszynką, złościącą szerokie ślady na jej bardzo, bardzo delikatnej skórze. Yolanda gwałtownie wciągnęła powietrze, czując, że ma wygolone pół głowy. Maszynka zatrzymała się na moment w powietrzu. Ćpun spojrział na nią z irytacją. Zmarszczył brwi i powiedział:

– Zamknij się. – A potem na próbę, jakby testował to słowo, jakby nigdy wcześniej go nie używał, tylko dopiero je poznał, dodał: – Zdziro.

Spojrziała na podłogę. Włosy to tylko włosy, zwykle wypadają. Ale tyle ich było. Jedne to były długie, lśniące pasma, a inne – drobne, błyszczące czarne garbki. Aż podłoga wydawała się pokryta małymi ciemnymi stworzonkami, które czekają tam na dole, aż ktoś je ożywi.

Mężczyzna cofnął się, gdy skończył, rozpostarł ramiona i wyciągnął ręce wysoko do góry, tak, jak zrobił to wcześniej w tamtym pokoju. Maszynka lśniła w jego dłoni – znowu był znudzony, zmęczony. Odpiął smycz i popchnął fotel tak, że ten się przechylił, a ona z niego wypadła. Zachwiała się i potknęła, ale odzyskała równowagę. Cała łagodność ćpuna gdzieś zniknęła; popychał ją, czuła jego mocne dłonie na plecach, kiedy wrzasnął:

– Następna!

I gdy wypchnął ją przez inne drzwi, a Yolanda stąpała chwiejnym krokiem. Dokładnie jak owca, która beładnie zmierza wąskim przejściem ze sztachet prosto w oślepiające światło, gnój i koszmar owczej zagrody, aż znalazła się w kolejnym pomieszczeniu. Pełnym łysych i przerażonych dziewcząt.

Drugi mężczyzna, chudy, o bladej, ospowatej twarzy, znajduje się w pokoju wraz z Verlą. Kieruje się do drzwi, a kładąc dłoń na gałce, zerka na dziewczynę do tyłu i mówi:

– Idziesz?

Verla czuje suchość w ustach, nic nie rozumie. Nawet ta wyprowadzona wcześniej dziewczyna wydawała się coś rozumieć, bo w przeciwnym razie, po co mówiłaby tym bezbarwnym, gburowatym tonem, że pójdzie pierwsza? Co wiedziała? Kiedy tamta dziewczyna puściła jej dłoń, palce Verli chwyciły za parapet; musiała skoncentrować się na czymś innym, żeby rozluźnić uścisk.

W końcu budzi się w niej jakiś instynkt. Przesuwa językiem po zębach, pokrytych dziwnym nalotem jak jej umysł. Słyszysz głęboko w uszach swój własny zachrypły głos, który mówi:

– Muszę wiedzieć, gdzie jestem.

Mężczyzna stoi tam, wysoki i chudy, z dłonią wciąż na gałce drzwi, zaskoczony. Odpowiada niemal ze współczuciem:

– Och, skarbie, musisz wiedzieć, CZYM jesteś.

I wyciąga z kieszeni cienką, krótką smycz, jak ta, którą przypięto tamtej dziewczynie. Wraca przez pokój do Verli i pochyla się, żeby przypiąć smycz do metalowego kółka przy jej pasie. Verla czuje jego zapach, kwaśny, jak stare mleko.

– Dalej! – poganiana mężczyzna, jakby dziewczyna była pieskiem, pociągając lekko za smycz. Verla rusza, wychodzi za nim z pokoju.

Drepcząc chwiejnie za mężczyzną, próbuje przyjrzeć się rozmazanemu otoczeniu. *Interior* to pierwsze słowo, jakie przychodzi jej na myśl. A potem: *śmietnisko*. Dostrzega po drodze kilka wypłowiałych, bezbarwnych budynków z azbestu, z czernią dziur, wybitych tu i tam w ścianach. Dachy z szarej, poplamionej blachy; powyginane, zwisające rynny. Wąskie czarne szczeliny okien, farba odłóżająca z framug. Stosy arkuszy blachy falistej i gnijącego drewna, a po bokach stare beczki po benzynie. Zwoje drutu. Zardzewiały traktor, mieszanina metalowych rur i prętów z martwą suchą białą trawą wyrastająca z dziur. Żadnych drzew. I – rozgląda się szybko wokół – poza zardzewiałym, unieruchomionym traktorem żadnych pojazdów. Żadnego żółtego autobusu.

Idą dalej. Czuje, jak duże (za duże) buty z twardej skóry obcierają jej kostki.

– Pośpiesz się! – mówi mężczyzna, znów pociągając za smycz. Mijają zbiornik na wodę ustawiony na ceglach, okrągła pokrywa opiera się o jego bok. Plamy rdzy krwawią z wielkich, poszarpanych dziur w ścianach zbiornika. Mężczyzna ciągnie dziewczynę za sobą.

– Chryste, ale ty jesteś powolna – mamrocze, jakby była jakimś starym bydlęciem, które prowadzi. Chce jej się pić. Słońce praży, nie ma tu żadnych drzew, a niskie budynki, które widzi – jeden, drugi, trzeci, plus ten, z którego wyszli – nie dają cienia. Porośnięta trawą gruntowa droga prowadzi w stronę unoszących się za budynkami białych oparów. Poza tym tylko płaskie białe niebo i pylista ziemia.

To nie może być interior, w którym Verla zresztą nigdy nie była. Ktoś był? W interiorze ziemia jest czerwona. A ta pod jej butami nie jest. Trudno ją nawet nazwać ziemią; to tylko udeptany grunt, szary żwir, kurz.

Poci się w tych głupich ciuchach jak u amiszów. Mówi głośno:

– Pić mi się chce.

– Zamknij się! – odpowiada mężczyzna.

Znudziło go chyba prowadzenie jej niczym osła. No tak, możesz zaprowadzić konia do wody, ale nie możesz zmusić go do picia. *Kurwy nie ucywilizujesz* – usłyszała kiedyś o sobie. Verla myśli o pustym zbiorniku na wodę; jakiś dziwny śmiech wzbiera w jej brzuchu, ale wysycha, nim się wydobędzie z jej gardła.

Ich stopy chrzęszczą po szczeciniastej, suchej trawie, mijają długi betonowy blok – boksy dla zwierząt albo nieużywane toalety – a potem podchodzą do innego niskiego budynku z jasnego drewna. Trzy rozpadające się schodki prowadzą na wąski ganek. Mężczyzna tak zamaszycie otwiera starodawną siatkę na muchy w drzwiach, że ta uderza o oblażące z farby deski na ścianie.

– Dział Przyjęć – mówi. – Dalej!

W środku znajduje się duszne prowizoryczne biuro. Biurko, tablica z przypiętymi karteczkami, zwijającymi się i tak starymi, że druk na nich niemal całkowicie wyblakł. Puszcza smycz i popycha Verłę ku zielonemu plastikowemu krzesłu ogrodowemu, a sam siada ciężko na fotelu biurowym obitym wytartą dermą. Zaczyna przerzucać stos zapisanych odręcznym pismem kartek na biurku. Verla odchyła głowę do tyłu, wdycha zatechłe powietrze i wpatruje się w sufit, na którym kołyszą się delikatne balony sieci długonogich pajaków.

Mężczyzna chwytą nagle starodawną pieczętę i poduszkę z tuszem i zaczyna jak oszalały stemplować papiery. Verla tym razem się śmieje, głośno. **TO WSZYSTKO NIE DZIEJE SIĘ NAPRAWDĘ.**

Mężczyzna przerywa stemplowanie i patrzy na nią cierpliwie, zagryzając górną wargę.

– Co jest takie zabawne, Pićmisięchce?

– *Dział Przyjęć* – dobre! – mówi pogardliwie Verla. – Nie macie nawet laptopów? Co to, kurwa, za miejsce? – Jej głos jest nienaturalnie wysoki, łamie się. Narkotyk już prawie na nią nie działa, ale Verla czuje koszmarną, koszmarną suchość w ustach.

Mężczyzna wraca do idiotycznego stemplowania i parska lekkim śmiechem.

Ona nalega.

– Chcę szklankę wody i chcę skorzystać z telefonu.

Mężczyzna wzdycha i przestaje szeleścić papierami. Zupełnie jakby grał w jakiejś sztuce, szeleszczenie papierem było jego rolą, a Verla przerwała mu występ. Obrzuca surowym, skupionym spojrzeniem kartkę, którą trzyma w ręku, zanim ją odłoży, a potem się uśmiechnie. Pochyla się nad blatem i mówi do Verli koszmarnym dziecięcym głosem.

– Miałas oczy zamknięte podczas naszego spacerku, Pićmisięchce? Jak myślisz, po co ci to wszystko **POKAZAŁEM?**

Verla czuje ucisk w piersi.

– Chcę rozmawiać z moim rodzicami. – Nie mówi „z moją matką”.

Jest rozzłoszczony.

– Do kurwy nędzy, księżniczko! Widzisz tu jakieś telefony? Komputery? Maszty komunikacyjne?

Nie może w to uwierzyć.

– Nie – mówi Verla. Co oznacza: *Nie zgadzam się*. W końcu ogarnia ją wściekłość, zrywa się, by wybuchnąć – bo to jest przecież nie do zniesienia, ta głupia, głupia zabawa, to przedstawienie, to całe **GÓWNO** – ale mężczyzna zręcznym ruchem omija biurko i błyskawicznie wbija swój wielki czarny but w jej brzuch, tak mocno, że Verla odbija się od ściany.

Zwija się, szlochając, na pokrytej kurzem podłodze. Mężczyzna wraca do biurka i szeleszczących papierów.

– Kim ty jesteś, wsiową idiotką?

Stały tam, w środku owego dnia, w tych grubych, szorstkich kostiumach, zbite w stadko, na zwirze. Dziesięć dziewczyn ze świeżo ogolonymi głowami (Yolanda znów poczuła zimne ciachnięcia ostrzy nożyczek blisko uszu, włosy lądujące na kolanach niczym émy). Wszystkie miały na sobie takie same dziwne zielonkawe robocze tuniki i perkalowe szaro-beżowe bluzki. Buty ze skóry twardej jak kamień i szorstkie wełniane skarpetki, jak z jakiegoś wieśniackiego programu telewizyjnego z lat osiemdziesiątych. Albo jeszcze dawniej.

Yolanda stała i myślała o tych dwóch gwiazdach, które widziała w nocy. Ogromne reflektory na niebie; jedna, wielkości czubka jej palca, poruszała się. Czy to możliwe? W jej otumanionej narkotykami głowie pojawiła się wtedy myśl, że to statek kosmiczny, który przyleciał ją uratować.

Chudy mężczyzna, zwany Boncerem, znów zapytał, czy jest wsiową idiotką, podchodząc bliżej, by popatrzeć jej prosto w twarz. Był niewiele starszy od najstarszych dziewczyn tutaj, miał ze dwadzieścia pięć lat. Łuszczącą się skórę jego długiej, płaskiej twarzy specyły tu i tam stare blizny po trądziku. Gdy stał tak blisko niej, Yolanda zobaczyła na jego podbródku, tuż pod prawym kącikiem ust, wypukłość rosnącego pryszcza.

Wiedziała już, że nie warto odpowiadać.

Mruknął pod nosem, że mają ustawić się w szeregu. Gdy czekał, aż uformują równy rząd, ściągnął usta w bok, ostrożnie przyłożył palec do nabrzmiewającej krosty i lekko się skrzywił.

Wysoka dziewczyna o jasnej skórze, rumianych policzkach i szerokich ramionach pływaczki rzuciła poirytowana:

– Co? Nic nie słyhać. – A potem przymknęła oczy w palącym słońcu, z dłońmi na biodrach, mruczając coś do siebie. Nie dostrzegła więc zręcznego, niemal baletowego skoku mężczyzny – niewiarygodnie pięknego i lekkiego skoku nad zwirem – i pokrytej skórą pałki w jego dłoni, którą walnął dziewczynę w szczękę. Wszystkie krzyknęły razem z nią, gdy upadała, wrzeszcząc z bólu. Niektóre ramiona wysunęły się, by ją złapać. Skuliły się ze strachu. Wiele z nich zaczęło płakać, gdy pośpieszyły ustawić się ponownie w szeregu.

Boncer rzucił im pełne wyrzutu spojrzenie, jakby to one były winne tej pałki w jego dłoni, a potem westchnął. Dziewczyna o rumianych policzkach kołysała się siedząc w kucki i jęczała, obmacując sobie głowę i szczękę, która na pewno została złamana siłą uderzenia. Yolanda czekała, że Boncer podejdzie do rannej albo pośle po pomoc. Że się zmartwi. Ale on tylko stał i dotykał swojego pryszcza, aż dziewczęta po obu stronach pobitej delikatnie wzięły ją za łokcie i podniosły.

– A teraz: marsz! – zarządził rozdrażniony Boncer. Obracał w dłoniach pałkę obitą brązową skórą. Twarde, wystające szwy wyglądały niczym zszyta rana. Jak blizna, która może oznaczać coś jeszcze gorszego.

Tylko patrzyły na niego przerażone.

Jednak dziewczyna obok Yolandy, z czołem lśniącem od potu i wzrokiem utkwionym w pałce, zaczęła nagle machać ramionami i maszerować w miejscu. Wiedziała, co robić. Jakby prowadziła grupę żołnierzy, nie dziewcząt. Z jej drobnego ciała dobył się cichy, mizerny głos, gdy wołała:

– Prawa, prawa, prawa-lewa-prawa! – jakby prowadziła pluton, wysoko unosząc ramiona.

– O, tak! – krzyknął Boncer, doskakując do niej. – Właśnie tak, drogie panie! Naśladujcie tę wojskową zdzirę! Ty pójdziesz pierwsza, wsiowa idiotko! – Przeskoczył wzdłuż szeregu, spinając smycze dziewczyn jedna z drugą, a potem pognął na przód. On też zaczął machać rękoma i wytupywać rytm, wołając: – Prawa-lewa-prawa! – i prowadząc przez stare pastwiska w skwarze białego słońca nierówny rząd udręczonych dziewczyn w staromodnych strojach.

Yolanda wiedziała, że to jest jakieś kompletne szaleństwo. Wkraczała w nie jednak wraz z tymi nowymi siostrami równie śmiało i z takim samym cichym zachwytem, co w dzieciństwie, kiedy ona i Darren, mając siedem i pięć lat, wchodzili do chłodnej ciemności jaskini na plaży, gdzie kończył się biały piach. Wtedy, gdy matka co roku zabierała ich nad morze.

Prawa-lewa-prawa.

Yolanda i Darren, drepczący swoimi miękkimi, dziecięcymi stopami po zimnych, wypłukanych

przez morze otoczakach w głąb wilgotnej pieczary. Odczuwający na zmianę fale strachu i zachwytu.

Dziewczęta maszerowały przez dwie godziny.

Yolanda tłumiała panikę, sięgając pamięcią wstecz. Liczyła domy, szkoły, chłopaków, liczyła lata wstecz do dzieciństwa, aż dotarła do starego mieszkania przy Seymour Road. Wróciła do słoików matki z woskiem do depilacji, stojących w zatęchłym korytarzu, włosów obcych ludzi w wannie. Do miękkiej, aksamitnej zielonej kanapy w kącie z wypłowiałymi różowymi ręcznikami w białe cętki od chlapnięć rozjaśniaczem. W sypialni matki, pod łóżkiem, leżał ciężki składany stół do masażu w kolorze jasnego beżu, który Gail wyciągała i sprawnie rozkładała w salonie, gdy przyszła klientka.

Dzieci nie miały pojęcia, skąd wiedziała, że zjawi się klientka, ale Gail mówiła:

– Będę miała panią Goldman o trzeciej. – Albo: – Wendy Pung zaraz przyjdzie.

A dzieci opuszczały swoje grzędy na stosach poskładanych ręczników i szły do łazienki włączyć czajnik. Potem siedziały po turecku na podłodze i oglądały telewizję, gdy ich matka zapraszała do mieszkania kolejną kobietę o grubych nogach. Ich dzieciństwo wypełnione było maślanym zapachem wosku i dźwiękiem krótkich szarpnięć i syków, kiedy ich matka odrywała kawałki wosku, a kobiety gwałtownie wciągały powietrze. Dłonie Gail były gładkie i chłodne, oklepywała nimi białą skórę kobiet i mruczała coś, odciągając ich bieliznę tu czy tam. Zadaniem Yolandy było stopić potem grudki wosku w małym poobijanym aluminiowym garnuszku na elektrycznej kuchence, wyłowić i wyrzucić bawełniane paski, a potem przecedzić gorący wosk przez pończochę do wielkiej puszk. (– Oczywiście, że jest czysty! – Wrzeszczała w owym czasie ich matka na inspektora sanitarnego, podpierając się pod boki, zanim dostała grzywnę za nielegalne prowadzenie działalności). Wszystkie twarde czarne włosy – i te delikatne jasne również – wychwytywała siateczka z pończochy.

Buty boleśnie obcierały jej pięty przez wilgotne skarpety. Słysząc było tylko ciężkie, pełne lęku dyszenie maszerujących dziewczyn i stukot ich butów na kamienistym gruncie. Oraz cichutkie, delikatne pobrzękiwanie przypinek do smyczy o metalowe kółka.

Czasami klientki matki kładły się na stole twarzą do góry, z zamkniętymi oczami i rękoma skrzyżowanymi na brzuchu, podczas gdy Gail polewała ich twarze lepkimi płynami i przyciskała kłębki waty do ich powiek. Czasem kobiety gawędziły, kiedy Gail pracowała: o nieruchomościach, firmach, które się zamykają, marnotrawnych synach, przyjaciółach przebywających w szpitalu. Ich głosy stanowiły miłe tło dla ścieżki dźwiękowej animowanych filmów z telewizora. Kiedy indziej kobiety kładły się w bieliźnie na swoich miętko rozlewających się brzuchach, a matka Yolandy masowała je, poruszając rękoma grube, białe fałdy ich pleców i ud, przesuając się nad ich ciałami i ugniatając je jak mięso. Wtedy Yolanda i Darren odchylali się do tyłu, w ciszy, na swoich ręcznikowych grzędach, żeby spojrzeć na twarz kobiety wciśniętą w wyściełany owalny otwór stołu do masażu. Oczy kobiet zawsze były zamknięte, a ich twarze rozciągnięte i napięte przez nacisk obicia, usta szeroko otwarte, a wargi rozplaszczone na zębach. Wyglądały jak te zdjęcia twarzy astronautów, gdy wlatują w przestrzeń kosmiczną i przyspieszenie zniekształca ich rysy. Yolanda i Darren uśmiechali się szelmowsko do siebie, obserwując, jak kobiety czasem śliniły się i pochrząkiwały, podczas gdy matka zajmowała się ich ciałami. Od czasu do czasu jakaś zasypiała i zaczynała cicho pochrapywać, a wtedy nawet Gail uśmiechała się razem z dziećmi.

Gdy kobiety w końcu wychodziły, niemal zawsze zerkały przez pokój i szeptały do Gail:

– Ta pani córka, mój Boże...

Czasem ludzie na ulicy zatrzymywali się i mówili:

– Jaka piękność. – Żartowali o kawie z mlekiem, egzotyce i: – Jak będzie nastolatką..., Bo przecież chłopcy... Trzeba będzie trzymać ją pod kluczem.

Gdy kobiety wychodziły, stół do masażu był spryskiwany i wycierany, składany i wsuwany z powrotem pod łóżko Gail, ręczniki trafiały do prania, a w łazience rozlegał się pomruk suszarki, wypełniając mieszkanie wilgotnym, ciepłym powietrzem o słodkim zapachu.

Jeszcze trudniej było iść, gdy ścieżka się skończyła. Rząd dziewczyn posuwał się też wolniej, kiedy niezgrabnie wspinały się pod górę, stawiając stopy na zboczu w śliskich skórzanych butach, niestrzymających się podłoża. Ścieżka, nawet nie ubita, tylko pokryta wyblakłą, zdeptaną trawą, robiła się coraz mniej wyraźna i całkiem znikła pod stopami po mniej więcej pół godzinie. Boncer zatrzymywał się od czasu do czasu, zerkając na słońce, patrząc na wschód i na zachód, a potem odwracał się, by obrzucić dziewczyny obrażonym, wzgardliwym spojrzeniem, zanim ruszał dalej. Czy chociaż on wiedział, dokąd zmierzają?

Sąsiedzi w mieszkaniu obok byli Niemcami. Na balkonie mieli prawdziwy maszt, a na nim australijska flagę. Narzekali tym swoim dziwnym, twardym akcentem na odór myszy Darrena, mieszkających na balkonie matki Yolandy w klatce dla ptaków. Myszy cuchnęły kwaśnymi orzechami i piżmem. Co kilka tygodni rodziły się kolejne, a wtedy dno klatki pokrywał śliski kopiec ciemnoróżowych ciałek wielkości kciuka, bezwłosych i groźnych w swej surowości i potrzebach. Gdy maluchy miały dziesięć dni (a ich sierść była tak delikatna, że miało się ochotę przyłożyć je sobie do zamkniętych powiek, ale wierciły się i śmierdziały), Darren zgarniał je na szufelkę, wsypywał do wiaderka i znosił po schodach. Na tyłach bloku, tuż obok krzaków ligustra za pralnią, wyrzucał je z wiaderka i patrzył, jak rozbiegają się na oślep we wszystkie strony. Matka mysz i dwie inne czarne tłuste myszy w klatce zdawały się nawet nie zauważać, że maluchy zniknęły. Te tłuste obwąchiwały tylko krawędzie klatki. Yolanda zakładała, że to ojcowie maluchów, rodzących się nieustannie.

Bała się matki-myszy i tej jej zimnej, niekończącej się produkcji. To miało coś wspólnego z nią, wiedziała o tym, nie z Darrenem. To miało coś wspólnego z bezwłosymi ciałami kobiet na stole Gail, z wijącymi się mysimi maluchami, z tymi wszystkimi kremami i płynami, z tymi szeptami do jej matki:

– Jaka piękność.

Ale oznaczało to coś dorosłego, niełatwego i pełnego wyczekiwania.

I miało też coś wspólnego z miejscem, w którym teraz się znalazła – Yolanda była o tym przekonana, gdy wlokła się tak w rzędzie oszołomionych dziewczyn. Niektóre mocno kulały, chwiały się i potykały, powiązane ze sobą niczym więźniowie. Były więźniami.

Po dwóch godzinach marszu dziewczęta pochlipują, a ich skarpety przesiąkają krwią. Verla, ostatnia w szeregu, patrzy, jak te przed nią kuśtykają pod górę i nie wymachują już energicznie ramionami – chyba że Boncer odwraca się ku nim od czasu do czasu z zagniewaną miną – ale rozkładają je, by utrzymać równowagę, wdrapując się na jasne, pokryte kępami trawy wzgórze.

Boncerowi jest chyba gorąco, na niebieskim kombinezonie widać ciemne plamy potu pod pachami i w postaci rozmazanego krzyża na szczyplych plecach. Ale dziewczynom, w tym ich perkalu i grubym płótnie, ze sprzączkami, szorstkimi wełnianymi skarpetami i ciężkimi butami o skórzanych podeszwach, ślizgającymi się i osuwającymi po błyszczącej, suchej trawie, jest jeszcze goręcej. Niektóre rozpięły tuniki, które opadły w dół, jeszcze bardziej utrudniając chodzenie. Muszą przytrzymywać je dłońmi w pasie. Wszystkie podwinęły sztywne perkalowe rękawy, odsłaniając skórę przedramion. Gdy Verla patrzy w górę, a nie pod nogi i na nierówny grunt, stanowiący wyzwanie dla każdego kroku i groźbę zwichnięcia, dostrzega, że ich karki i świeżo ogolone głowy aż płoną czerwienią.

Krajobraz, który w pierwszej chwili wydawał się zupełnie płaski, okazuje się szeroką płytką niecką. Jej krawędź tworzy górzysty grzbiet, a gdy Verla rozgląda się wokół, dostrzega, że otacza on całą okolicę. Wspinają się teraz na ścianę niecki, w kierunku karłowatych zarośli i krzaków, spływających niczym struga w dół grzbietu po lewej stronie. Słońce jest tak wysoko, że nie da się stwierdzić, czy to wschód, zachód czy inny kierunek. Poza tą plamą krzewów cała niecka krajobrazu wydaje się wyskrobana i naga.

Zdyszany Boncer odwraca się, jego twarz jest czerwona aż po korzonki tłustych czarnych włosów, a górna warga lśni od wilgoci. Nie wygląda dobrze. Odwraca się z powrotem i wlecze dalej na czele pochodu. Chyba zbyt zmęczony, by unieść pałkę czy rozkazać dziewczynom, żeby się wyprostowały albo wymachiwały ramionami *wyżej*, jak to robił na początku marszu.

Gdzie są? Co chwilę któraś odwraca się i bezgłośnie pyta o to idącą za nią:

– Dokąd idziemy?

Umysł Verli wypełniają okrutne wizje. Obrazy ze studiów... Sceny światowych koszmarów i wojen, urywki wiadomości, rozmazane ujęcia z telefonów komórkowych... Szeregi mężczyzn i chłopców prowadzonych ku wykopanym grobom i zabijanych na ich skraju, żeby nikt nie musiał zajmować się przenoszeniem zwłok... Nie ma pośród nich kobiet; te przeznaczono do innych celów...

Verla czuje, że skręca ją w środku. Ale przecież Boncer nie ma żadnej innej broni poza pałką – a może ma? Zerka na materiał jego zbyt luźnego kombinezonu, szukając zarysu pistoletu. Nie potrafi tego stwierdzić. Czerpała dotąd wiedzę o przestępczości z telewizji albo drobiazgowych analiz przepisów prawa międzynarodowego, czy bardziej prozaicznie od smutnych mężczyzn i kobiet, których jej matka odwiedza w więzieniu. Skąd miałyby wiedzieć, jak wykryć pistolet? Jak miałyby go rozpoznać albo wiedzieć, co z nim zrobić? To śmieszne.

A co by się stało, gdyby w ogóle odmówiły marszu? Mógłby oczywiście pobić jedną czy drugą, ale wszystkie razem na pewno obezwładniłyby go. Obrzuciła wzrokiem wędrujący szereg otumanionych lekami i osłabionych dziewczyn. Dlaczego są takie głupie i za nim idą? Skąd to rozlewające się, obezwładniające posłuszeństwo?

Idą dalej, niczym nanizane razem na nitkę paciorki. Słońce wznosi się coraz wyżej.

Grunt przesuwają pod jej stopami, a budynki zostają coraz dalej za nimi, stają się całkiem maleńkie. Aż Verla, zerkając w tył, dostrzega tylko ich cieniutkie pasmo, kilka chaotycznych, kanciastych maźnięć pędzlem bielą na poszarpanym brązowym tle.

Maszerując naprzód, Verla niesie w swoim wnętrzu wszystkie swoje *ja*.

Jest w niej przerażona dziewczyna, która czuje opuchnięty, tkliwy ból kopniętego brzucha i posiniaczonego ramienia z poranka. Która czuje, że skóra schodzi jej z pięt płatami. Ale która zaczyna z niewyraźnym zaskoczeniem rozumieć, że czasem ból da się znieść, nawet gdy twarde cholewki przez szorstką wełnę obcierają skórę do krwi. I która odkrywa, że może oddychać i oddychać, i iść dalej.

Jest też w niej inna Verla, która zatrzymuje się nagle i mówi spokojnym, zdecydowanym tonem:

– Och, dosyć tego, wracamy do domu.

Ku której odwraca się Boncer i szlochając z ulgi, ujmuje jej delikatną, białą dłoń. Schodzą wtedy

ze wzniesienia w kierunku rzędu czekających aut, które zabiorą ich do domu. I będą jechać dzień i noc.

Jest w niej jeszcze inna Verla, której plan zostaje przekazany szeptem kolejnym dziewczynom, aż wszystkie otaczają Boncera, walą w jego głowę kamieniami i wyruszają do domu. Zostawiając żalodne, zbite na miazgę ciało mężczyzny psom dingo.

A najgłębiej, najbardziej desperacko tkwi tam prawdziwa Verla, leżąca pewnego ciepłego wieczoru na plecach, oparta na łokciach o gładkie deski niewielkiego moło, podczas gdy jej ojciec łowi ryby, a naprężona srebrna nić wędkę tnie po skosie wodę. Błękit wieczornego nieba, jej ojciec na swoim wózku, trzymający kij od wędkę w sprawnej dłoni. Ta Verla podziwia swoje długie nogi wyciągnięte na deskach, elegancką linię kostek i palców stóp. Czuje, jak jej ciało tętni beztrząsą i jakie jest gładkie. Czuje swą kipiącą młodość, gdy pali papierosa, a ojciec marszczy brwi, ale nic nie może powiedzieć. A ona obiecuje:

– W porządku, tato. Tylko jednego.

I wie, że matka czyta teraz w domu jej maile i z niechęcią obiera krewetki, a gdy jej telefon brzęczy cicho obok niej, obracając się powoli na desce moło, ta Verla odbiera go spokojnie i mówi:

– Okej, tak, już kończymy. – A potem zwija linkę i zbiera sprzęt wędkarski. Ustawia stopy ojca na podnóżku i zawraca wózkiem do domu.

Lecz ta prawdziwa Verla jest nieosiągalna, tkwi w przeszłości. Jeszcze przed ostatnim rokiem studiów i stażem, przed wycieczką do Europy i zachwytem poezją, malarstwem i polityką. Przed Andrew.

Procesja dziewczyn wspina się po pokrytym drobnymi odłamkami szarym grzbiecie wzgórza, suche powietrze zaczyna wibrować jak fale i coraz przenikliwszymi podmuchami towarzyszyć ich marszowi. Cykady. Verla pamięta jeszcze z przedszkola urywki z Biblii: plaga szarańczy, kara niebios. Patrzy więc w górę, spodziewając się ciemnej chmury, ale niebo nadal jest czyste, aż białe od upału.

Niedługo potem przestają już słyszeć cokolwiek, nawet chrzęst swoich stóp po ziemi, nawet pobrzękiwanie przypinek do smyczy. Tylko te skrzeczące owady, wypełniające wszystkim oczy, uszy, nozdrza i ubrania wraz z gwałtownymi zawirowaniami powietrza.

Verla skupia wzrok na dziewczynie przed sobą. Od czasu do czasu perkalowa bluzka przesuwają się i Verla dostrzega rozmazany fragment tatuażu na jej ramieniu: krzykliwy róż, obrzydliwy pomarańcz, gruby ciemny zarys przypominający witraż. Nie jest w stanie rozpoznać kształtu.

Po jakimś czasie uszy Verli wychwytyują rytm w tym owadziim hałasie. *Tętno, wdech, wydech*. Czuje, jakby zarośla oddychały wraz z nią. *Musisz wiedzieć, CZYM jesteś*, tak powiedział jej Boncer. Te słowa unoszą się w powietrzu, niemal widoczne pośród rytmicznego wrzasku cykad. Tętno Verli chce poddać się tym słowom i dźwiękom owadów, każdy jej nerw odpowiada natarczywej membranę hałasu. Nie może się zorientować, gdzie teraz jest, ani dlaczego tu się znalazła. A mimo to, coś w jej wnętrzu wie, że jej przetrwanie zależy od tego jaskrawo czystego pytania: *CZYM jestem?*

Cykady robią się wręcz ogłuszające, brzmia niczym przestroga. Dziewczyny z trudem wdrapują się na górzysty grzbiet i po chwili wędrują pośród małych, chudych drzew, pocąc się z wysiłku. Nagle pośród rzędu powykrzywianych pni zaczyna wyróżniać się prosta linia: wysokie metalowe ogrodzenie, za którym widać brudne morze karłowatych roślin. Po tej stronie płotu rosną pochyłe, jakby zadziorne drzewa, z popękanej ziemi wystają kępy niskich krzaczków, które drapią przechodzące dziewczyny po łydkach. Z tej drugiej strony rozpycha się gęsty, niezgłębiony busz.

Boncer zatrzymuje się na czele pochodu. Odwraca się przodem i ociera twarz rękawem. Potem pociąga mocno smycz, tworząc z szeregu dziewczyn małą, potykającą się gąsienicę, aż ma je wszystkie razem, blisko obok siebie.

Wpatrują się w metalowe ogrodzenie i widzą, że tak naprawdę to olbrzymia czarna brama. Po drugiej stronie można dostrzec pomiędzy drzewami coś w rodzaju szlaku, bardzo niewyraźnego, na pewno nie dałoby się tego nazwać drogą. To raczej słabo zaznaczona szeroka ścieżka przez krzewy i połamane gałęzie, która po chwili znika wśród zarośli. *Droga pożarowa*. Verli przypomina się takie określenie, choć nie ma pojęcia, skąd o nim wie.

W ścianie owadziego cykania słychać niski pomruk. Metalowy płot wydaje się futurystyczny,

wręcz fantastyczny jako tło dla ich dziwnych, kolonialnych strojów. Verla nie dostrzega żadnych zawiasów ogromnej bramy, ani zasuw czy zamka. Musi być przesuwana. Oksydowane czarne słupy wyglądają tak samo jak cały płot, sięgają wysoko w górę, co najmniej na dwa piętra, i nachylają się u samej góry. Co kilka centymetrów, począwszy od poziomego gruntu, lśni zwój drutu kolczastego, przymocowanego do kolumny słupa za pomocą grubego guza z czarnego plastiku. Na samej górze, tam gdzie słupy wyginają się na zewnątrz, przebiega pasmo zwojów grubszego drutu kolczastego, które ciągnie się wzdłuż całego ogrodzenia. W obu kierunkach, dokąd tylko sięga wzrok Verli. Mniej więcej co dwadzieścia metrów wznosi się kolejna groźna kolumna, nabita od dołu do góry – przypominającymi grzbiety chrząszczy – guzami.

Mimo wszystko – myśli Verla, której serce mocno bije – *mogłabym się na to wspiąć.*

A potem dociera do niej, że to druty tak mruczą. To jest ta basowa nuta pośród migotliwego hałasu cykad!

Razem z dziewczętami Verla patrzy na gruzłowate słupy. Ale wcale nie przychodzi jej na myśl wizje śmierci przez porażenie prądem, tylko kościelne iglice Barcelony – zdobne, ażurowe i pokryte guzami – na tle strzelistego, błękitnego nieba. Gdy Andrew zabrał ją ze sobą na delegację (związaną z tematem rozwoju infrastruktury i transportu), zwiedzali kościoły. Oczywiście nie chodziło o wykłady Andrew z historii sztuki czy o poezję, która pojawiła się później, oczywiście, ani o horror ukrzyżowań, świętą mękę, ciernie i krew; media interesowały potem wyłącznie rachunki za hotel i ceny drinków. Verla podczas tamtej podróży była skonsternowana w obliczu tej całej hiszpańskiej rzezi i przemocy. Bo co ona, akurat dojrzała do zaangażowania się w związek, do podjęcia ryzyka, bycia *tą wybraną*, wiedziała o cierpieniu?

Teraz pozna ból. Verla czuje to, patrząc na te zabójczo mrużące iglice, czuje to jak w gwałtownym przypływie zrozumienia. Ma ochotę paść na kolana, przyłożyć głowę do kamienistej ziemi, pragnie tarzać się w prochu i wołać: *Rozumiem!*

Szarpnięcie z przodu, Boncer krzyczy, żeby pokonać wrzask cykad i pomruk ogrodzenia.

– Wysokość sześć metrów. Jeśli któraś spróbuje się wdrapać i dotknie głową albo szyją drutu pod napięciem – a wszystkie te druty są pod napięciem – straci przytomność. A jeśli spadnie nieprzytomna na druty, dozna wielokrotnego porażenia w ciągu wielu minut, a nawet godzin, a wtedy jej serce stanie i ona umrze. To się dzieje bardzo szybko. Płot jest podłączony do prądu co siedemset metrów.

I tak recytuje głośno Boncer, ten ich pozbawiony złudzeń przewodnik, skubiąc jednocześnie delikatnie paznokciem kciuka płatek skóry na nosie. Omija wzrokiem dziewczyny, gdy podaje liczbę amperów i woltów, a potem milknie, bo rozprasza go coś na horyzoncie. Dziewczeta przesuwały wzrok wzdłuż płotu wędrując za spojrzeniem mężczyzny. Od czasu do czasu widać u podstawy jakies wybrzuszenie – gnijące truchło zwierzęcia. Tu i tam powiewa na płocie czarny strzęp spalonego ptaka czy nietoperza.

– Spójrzcie tam! – rozkazuje Boncer.

Przesuwają się, odwracają w przeciwnym kierunku. Patrzą wzdłuż grzbietu za jego wskazującym palcem. Nie widzą nic poza drżącą mgiełką upału i jakimiś bardzo, bardzo odległymi wzgórzami. Ale wszędzie wokół widać bladą, ledwo naszkicowaną linię ogrodzenia.

– Płot pod napięciem biegnie wzdłuż grzbietu całego wzniesienia, dookoła farmy – wrzeszczy Boncer.

Dziewczeta oblizują wargi, osłaniają oczy. Ledwo stoją. Większość pochyla się z rękoma na kolanach, ze zwieszonymi głowami. Dziewczyna, którą wcześniej uderzył Boncer, stoi z zamkniętymi oczami i oddycha ostrożnie, trzymając opuchniętą zuchwę obiema rękoma, a łzy spływają jej po nadgarstkach.

– Pora wracać! – Boncer przekrzykuje cykady.

A potem zwykłym ruchem, ale jakże prędko – skąd u niego taka szybkość? – chwyta ramiona najbliższej dziewczyny w rzędzie i pcha ją tak mocno, że ta traci równowagę i musi oprzeć się przedramieniem o drut. Jej ręka drga dziko i już leży w kępach trawy, wrzeszcząc i zwijając się z bólu, a pozostałe jednym szarpnięciem lądują za nią na ziemi, niczym paciorki na nitce. Dziewczyna ze

złamaną zuchwą wyje, gdy też upada.

– No! – wrzeszczy Boncer. – Niektóre z was, zdziury, pewnie mi nie wierzyły.

I znów ta urażona, nadąsana mina.

Nagle cykady cichną. Boncer patrzy przez płot na ścianę zarośli. Wszystkie to robią. Jedyne dźwięki teraz to szumiący busz, dobiegający skądś świergot ptaka, pomruk płotu, dyszenie i jęki rannych dziewczyn.

– Wstawać!

Przechodzi wzdłuż szeregu, sprawdzając malutkie przypięcia smyczy – Verla czuje jego pot – a potem odpina i przypina sam siebie, tym razem do kółka na plecach Verli, tak, by znaleźć się teraz na samym końcu.

I sprowadza je w dół wzniesienia. Co jakiś czas dźga kręgosłup Verli pokrytą skórą pałką, a podczas kolejnych wielu godzin – podczas schodzenia są powolniejsze niż w trakcie wspinaczki – sięga czasem obok niej, by wytargać za uszy dziewczyny, które podejrzewa o rozmowę. Ale to tylko szumi gorący, pusty wiatr.

Docierają z powrotem do budynków, gdy słońce już niemal zachodzi. Kuśtykają w kurzu. Verla kojarzy już niektóre elementy otoczenia z poranka, bo efekt działania leków uspokajających słabnie. Te budynki jednak nie znajdują się na płaskim terenie, tylko u stóp wzniesienia. Płaszczyzna ciągnie się dalej, tam, gdzie pastwiska i gdzie widać plamę ciemnobrązowej wody: niemal pusty zalew przy tamie.

Mijają biuro. Długa obora, która wydawała jej się betonowa, ma ściany z niepomalowanego azbestu, szare i pokruszone. Niektóre są połatanne – podobnie jak płaski, pozbawiony okapów dach – blachą falistą. Są tam też inne budynki, takie, których wcześniej nie zauważyła. Wszystkie wyglądają na opuszczone, zamieszkałe najwyżej przez robactwo.

– Maszerować! – mówi Boncer ochryplym tonem.

On też jest zmęczony. Zbliżają się do największego budynku. Verli wydaje się, że to miejsce, w którym po raz pierwszy odzyskała przytomność dzisiejszego poranka, dawno, dawno temu, w pokoju, do którego weszła tamta dziewczyna.

– Teddy! – Boncer wykrzykuje niezbyt entuzjastycznie.

A tam, czekając na werandzie, w niebieskim kombinezonie, z rękoma w kieszeniach, stoi oparty o słupek ten młodszy mężczyzna z dreadami, ten od golenia głów. Gdy rządki dziewczyn szura stopami w stronę schodków, mężczyzna odwraca głowę, kieruje się do środka i przytrzymuje siatkowe drzwi dla pierwszej z nich. Ale nie patrzy na żadną. Wpatruje się w podłogę.

Wewnątrz jest chłodno i ciemno. Dziewczyny wzdychają z ulgą na ten przyjemny mrok, drepcząc za Teddym na smyczach przez pokoje i korytarze. To jakiś dom. Widzą kominki, wypłowiałe zasłony w oknach, stoły, a nawet półki na książki – puste. Teddy prowadzi je niczym fastrygę przez przypominający labirynt ciąg pomieszczeń. Jest tam wielki, pusty salon, z czterema czerwonymi sofami o przetartych, plastikowych obiciach, z wybrzuszeniami i wklęsnięciami, i nic więcej poza wyłączonym starym wypukłym telewizorem w kącie. Idą następnym wąskim korytarzem, mijając szereg kolejnych pozamykanych drzwi. To zapewne sypialnie. Pod Verlą niemal uginają się nogi z tęsknoty na myśl o łóżku, jakimkolwiek łóżku. Ale idą dalej. Verla liczy, że napotka pokój, w którym się obudziła, ale nie ma go.

I wtedy Teddy nagle się zatrzymuje. Znajdują się teraz w szerokim, jasnym pomieszczeniu o brudnych zasłonach w kwiaty, z brzydkim, malowanym kominkiem, długim drewnianym stołem o białym blacie z melaminy. Po obu stronach stołu znajdują się sosnowe ławy.

Teddy przechodzi wzdłuż rzędu dziewczyn i odpina im smycze. Jedna z nich rzuca szeptem pytanie:

– Czy mogłybyśmy usiąść, proszę? – a on wzrusza tylko ramionami. Osuwają się na ławy, rozstawiając szeroko nogi.

Stół jest pusty. Opadają na biały blat, opierając głowy na skrzyżowanych ramionach. Nie będzie

mycia rąk czy twarzy, nie będzie zmiany sztywnych od kurzu, zakrwawionych skarpet, nie będzie wody. Wysoka dziewczyna ze złamaną szczęką siedzi wyprostowana, wciąż przytrzymuje jedną dłonią żuchwę, tak jak przez cały dzień. Przez pierwszych kilka godzin jęczała i cicho popłakiwała. Teraz nie wydaje z siebie żadnego dźwięku, usta ma sine. Bok jej twarzy – żuchwa, policzek, oko – spuchł jak balon, a skóra wydaje się boleśnie napięta. Naprzeciwko Verli dziewczyna, którą Boncer popchnął na płot pod napięciem, leży z twarzą na stole, trzymając poparzoną rękę na kolanach.

To nie koniec.

– Wy trzy, wstawać! – mówi Teddy, szturchając trzy znajdujące się najbliżej niego dziewczyny.

Podciągają się do góry, kuśtykają za nim przez drzwi, odwracając się w ostatniej chwili, by rzucić przerażone spojrzenia na resztę. Verla może tylko opaść głębiej z ulgą, że zostaje, przykładając głowę do stołu, zamyka oczy. Boncer zniknął. Nikt nic nie mówi. Verla zaraz się czegoś dowie – musi – ale w tym momencie jest zbyt wyczerpana. Krew z pęcherzy wsiąka w skarpety, ale stopy są litościwie nieruchome.

Budzi ją brzęk sztućców tuż obok głowy. Płytkie, grube miski z białej ceramiki i białe emaliowane kubki stawia na każdym miejscu pierwsza z dziewczyn, która wyszła za Teddym. Verla siada i dostrzega, że druga obsługująca dziewczyna wchodzi ostrożnie z ciężkim aluminiowym, poobijanym garnkiem w rękach. Za nią trzecia, z chochlą. Przechodzą wzdłuż stołu, nalewając do misek jakąś dziwną, jaskrawożółtą breję.

Zjawia się też Teddy z dwoma dzbankami i rusza za dziewczynami, chlustając wodą do emaliowanych kubków. Każda z dziewczyn chwytą swoje naczynie, siorbiąc i głośno przełykając. Przez twarz Teddy'ego przemyka współczucie, ale szybko otrząsa się z niego. Napełnia kubki ponownie i mówi:

– Potem tylko woda ze studni. Dopóki nie spadnie deszcz.

Verla czuje, że cały pokój kurczy się ze strachu: wrócił Boncer. Rzuca garść łyżek na stół. Dłonie dziewczyn śmigają, by je chwycić, a wtedy Teddy mówi:

– No, jedzcie! – A one rzucają się na strawę niczym psy.

Verla je łapczywie, jak inne, czymkolwiek ta breja jest. Później dowie się, że to makaron z serem, z proszku, z pudelka. W tym momencie jednak jest jej wszystko jedno, wsuwa łyżkę z żółtą mazią do ust, przełyka, sięga po kolejną. Słyszczyć tylko skrobanie łyżek o miski. Sztuczny ser zostawia w nich jaskrawe, wodniste ślady na dnie. Verla z trudem opiera się pokusie, by je wylizać. Czuje przyływ siły, która zaraz potem znika. Siedzi więc, wpatrując się w pustą miskę i emaliowany kubek przed sobą. Zauważa teraz, że wokół krawędzi miski biegnie bladoniebieski napis. *HARDINGS INTERNATIONAL*, odczytuje. *GODNOŚĆ I SZACUNEK W BEZPIECZNYM OTOCZENIU*. Wokół słyszczyć zgrzyt łyżek o miski, a dziewczyny dyszą niczym zwierzęta.

Musisz wiedzieć, CZYM jesteś. Verla nie jest zwierzęciem! Podnosi wzrok znad miski, patrzy na puste twarze pozostałych dziewczyn. Żółtawe, grube lub szczupłe, z zaczerwienionymi powiekami, podkrążonymi oczami. O różowej skórze, cienkich ustach, czołach gładkich albo pokrytych drobnymi krostkami. Ogolone głowy przypominają różowy kolor surowej kiełbasy. Albo są brudne, ciemne, niczym cienie w zagłębieniu pachy. Niekształtne, wszystkie. To dziwne, jakie kształty mogą mieć czaszki, jak wiele brzydoty skrywają włosy. Niektóre mają cienkie strupki zaschniętej krwi tam, gdzie zacięło je ostrze.

Ona trafiła tutaj bezprawnie.

Verla wie, że wszystkie będą tak twierdzić. Ale wie też, że ona sama jest odmienna od – niź – cała reszta. Ją stąd wypuszczą. Na pewno.

I wtedy, dokładnie przy drugim końcu stołu, dostrzega dziewczynę z pokoju, w którym była rano. Ona też patrzy na Verłę, z obojętnym wyrazem twarzy. Czy trzymały się za ręce, pełne strachu? Rozmawiały? A może to tylko jakieś wspomnienie z dzieciństwa, przesłane przez sny, by pobudzić i wypełnić spieprzony przez dragi umysł Verli? Patrzą na siebie obie, a Verla uświadamia sobie, czując powolny, zimny wstrząs, że twarz, która się w nią wpatruje należy do Yolandy Kovacs.

Verla nie jest dzieckiem ani prostytutką, ani podopieczną opieki społecznej, którą rodzice krzywdzili czy porzucili. Jest stażystką w parlamencie, pełnoprawną obywatelką i nie mogą

przetrzymanywać jej w tym miejscu. Ale Yolanda Kovacs też jest obywatelką, bez względu na to, na jaki seks z iloma rugbistami się zgodziła albo i nie, a siedzi tutaj z tymi swoimi opadającymi powiekami i słynnymi ustami, i zupełnie niespeszonym wzrokiem. Wygląda teraz o wiele bardziej przerażająco i pięknie, niż kiedykolwiek w telewizji czy w błyszczących magazynach albo na pierwszych stronach gazet.

Verla wodzi wzrokiem wokół stołu. Pomimo jednakowo ogolonych głów, twarze dziewczyn, jedna za drugą, stają się coraz bardziej różne i wyraźne – ale potem znów zlewają się w jedno, a Verla już wie, że ona i tamte są w jakiś fatalny sposób ze sobą powiązane.

Wracają słowa Boncera. W najbliższych dniach dowie się, *czym jest*, czym one wszystkie są. Małą-puszczalską-ministra, zdzirą-ze-Skype'a, obrzydliwą-suką-z-wycieczkowca; lizawką-dupodajką, wielkim-czerwonym-pudłem, dziewczyną-numer-dwanaście i dresiarską-sprzedajną-szmatą. Są tym wszystkim wtedy, gdy tłusta, głupia dziwka nie trzyma swojej plugawej gęby na kłódkę.

Cholerny czepek na wieszaku.

Yolanda nawet stąd, z łóżka, na którym leżała, czuła jego tłusty, lepki ciężar. Przypominał długi dziób. I do tego jeszcze to paskudztwo cuchnęło.

Wkrótce rozlegnie się walenie do drzwi i będzie musiała wstać z pryczy i ubrać się w kolejne śmierdzące rzeczy: tunikę, kaftan czy jak to się nazywa. Stęchłą bieliznę i skarpety, nieprane od dnia, gdy wszystkie się tu znalazły. A potem zdejmie czepek z wieszaka i wciśnie go na brudną, łysą głowę.

Daszek czepka był zaokrąglony, jak połówka tunelu, przez który się patrzyło. Noszenie go na głowie było niczym gra w ciuciubabkę, widziało się jak przez peryskop, nie dostrzegając nic poza małym okrągłym otworem. Jeśli chciało się z kimś porozmawiać, trzeba było mocno przekręcić głowę, a wtedy widoczne było tylko wnętrze daszku. To naprawdę sprytne. Nawet gdyby któraś odważyła się na rozmowę, to ją od razu zniechęcało.

Dopóki nie rozlegnie się łomotanie do drzwi, Yolanda będzie leżeć na łóżku i czekać. Sądząc po dźwiękach i słabym świetle na zewnątrz, wciąż było bardzo wcześnie.

Przywykła już do tych dźwięków; po trzech dniach wszystkie przywykły. Skrzypienie i stuki zardzewiałych żelaznych blach, które nagrzewały się i ochładzały, a także głosy pozostałych dziewczyn w nocy, ich krzyki i wołania. Czasami czyjś samotny rytmiczny oddech. Po tamtym marszu pierwszego dnia, a potem posiłku (powiedzmy), zostały zapędzone tutaj niczym psy – tym razem zrobił to Teddy, za pomocą grubego, ostrego kija, który podniósł z ziemi. Do, jak to nazwał, kwater postrzygaczy. Wykrzyczał to jak rozkaz:

– No już! Kwatery postrzygaczy! – A one stały tam, bo nie wiedziały, o czym on, do cholery, mówi. I wtedy zaczął walić długim kijem w ziemię. Okazało się, że zaganianie ich jak psy miało jakiś sens. Kwatery postrzygaczy były bowiem tym, co Yolanda widziała już wcześniej i pomyślała wtedy, że to boksy dla zwierząt. Wszystkie tak myślały. Zwłaszcza Verla wściekła się, skomlała, wymachiwała rękami i wrzeszczała:

– Nie wsadzicie nas do tych bud! – więc była pierwszą, którą Teddy tam umieścił. Przypiął cały główniany łańcuch, który tworzyły, do słupa na zewnątrz. A potem rozpiął kłódkę każdej dziewczyny, ciągnął ją przez korytarz za ramię, co bolało – wyglądał jak chudy dzikus, ale okazało się, że jednak jest silny – i wpychał je do środka przez drzwi, zasuważąc na koniec rygiel.

Yolanda czekała w szeregu na zewnątrz, przyglądając się ścianom z pordzewiałej blachy, maleńkim otworom okiennym i myśląc: *Nie miałam pojęcia, że postrzygaczy trzymano jak psy*. Ale to nie miało żadnego znaczenia; i tak przecież nie dożyją rana.

Jednak gdy już znalazła się w środku, uświadomiła sobie, że już tam wcześniej była. Że rano obudziła się tu półprzytomna. Podeszła prosto do małego okienka, wciągnęła ustami powietrze i jednak się nie udusiła.

W nocy słychać było różne dźwięki, ciche kroki na zewnątrz wokół domu. Może psy, może dingo, może Boncer i Teddy? A może ta kobieta, którą Yolandzie wydawało się słyszeć podczas golenia głowy pierwszego dnia, ale nigdy jej nie widziała? Czy ona istniała? I gdzie?

Słychać było czyjeś lekkie kroki na suchej trawie, a może na liściach albo torbie z plastiku. Ktoś mógł jeść lunch z papierowej torebki, siedząc tam, urządając sobie piknik po ciemku, na upalnym, głuchym terenie więzienia dla dziewcząt, składającego się z boksów dla postrzygaczy pośrodku cholernego pustkowia.

Yolanda słyszała je w niemal każdą noc. Ktoś chodził wokół, zakradał się, podczas gdy ona leżała na starym, metalowym łóżku, a oblażące z farby metalowe drzwi były zamknięte i zaryglowane.

Czasem wstawała i podchodziła znowu do okna, jak tamtej pierwszej nocy, żeby popatrzeć na dwie gwiazdy. Wtedy słyszała głosy ptaków. W jej zaspanym umyśle zlewały się w jeden obraz czepki i dziewczęta z ich płaczącymi głosami nocnych ptaków. I uświadamiała sobie, była wręcz przekonana, że daszki czepków są zrobione z ptasich kości. Z chrząstek skrzydeł, ze stosin piór, splecionych razem albo stopionych ciepłem. Nosiły kości martwych ptaków, których głosy zlewały się z nocnymi krzykami dziewczyn.

Czasem Yolandzie wydawało się, że oszaleje, ale może wciąż była pod działaniem leków.

Chciałaby znowu je dostać, te, które sprawiają, że się zapomina. Te, z których korzysta się u dentysty i podczas aborcji.

Nie było tutaj żadnych lusterek. Dziwne, ale teraz była w stanie niemal zapomnieć o swoim ciele, czymś tak wspinałym. Kiedyś często stała przed lustrem, podziwiając swoje ciało. To było coś! Więc musiało wywoływać zamieszanie. Stała tak wtedy i gapiła się w swoje odbicie, próbując zrozumieć, zobaczyć je tak, jak oni je widzą. Wypełniając dłonie piersiami, dotykając miękkiego brzucha. Rozsuwając się delikatnie własnymi palcami. *V jak wiktoria*, czyli zwycięstwo. To po prostu żart.

Czy to ta miękkość sprawiała, że tak pragnęli jej ciała? I tak go nienawidzili? Ciało było odrębne, było czymś, co nosiła. To, co z nim robiono, nie miało z nią, Yolandą, nic wspólnego.

Ale potem mówiono, że to nie było jej ciało, że to było jej własne pragnienie. Co sobie myślała, że po co tam jest? Dla kubka kakao? Była tam *na sto procent* i tak dalej. *Ale w jaki sposób?* – miała ochotę wrzasnąć – *skoro jej tam nawet nie było?! Uniosła się nad sobą i zniknęła. Nawet jej tam nie było. I nie było jej nadal wtedy, gdy pozwoliła, by tamta noc do niej wróciła.*

Teraz leży na łóżku i czeka, co jest w gruncie rzeczy trochę śmieszne, bo dokładnie od tego się to wszystko zaczęło. Jednak teraz jest zupełnie inaczej, bo tutaj nosi drapiącą koszulę nocną nawet w upał, a olbrzymia pustka na zewnątrz ożywa. I nikogo nie obchodzi, gdzie ona jest. Nawet jej kłopotliwe ciało zostało zapomniane poza tym, że ma: maszerować, czuć ból, głód i pragnienie, jeść i spać, sikać, srać i krwawić.

Pośród czarnej nocy Verla budzi się pod wodą. Łódź podwodna dzwoni i skrzypi pod naporem potężnego ciśnienia, otaczający ją żywioł ściska od góry i od dołu cienką powłokę statku. Wkrótce zostanie zmieciona, otoczona przez eksplodujący do wewnątrz ocean. Rozerwana na strzępy, a jedyne, co w niej żywe, utonie.

Leży, ciężko oddychając nagrzanym powietrzem, i wdycha zapach nocy. Serce mocno jej bije. Na zewnątrz znowu coś jest, słychać, jak drecze i zatrzymuje się, szarpie korzenie suchej trawy pod jej boksem. Porzewiałe żelazo trzeszczy i skrzypi. Jej tętno spowalnia, a ona znów zanurza się w wodzie.

Przed świtem znowu budzi się razem z ptakami. Kukabury, kakadu, słychać je gdzieś z oddali. Bola ją plecy, musi się natychmiast wysikać. Światło obrysowuje drzwi i otwór okienny, szczeliny między metalowymi płytami, najpierw delikatnie, a potem ostrymi, jasnymi liniami. Pokój... *To nie jest pokój – więc co?* Zagroda, boks dla zwierząt. Buda z brudną drewnianą podłogą i ścianami z porzewiałego metalu, połączonego drewnianymi listwami. Wystarczająco duża, by można w niej stanąć i by pomieściła pojedynczą metalową pryczę.

Ciemność powoli ustępuje, a światło poranka staje się jaśniejsze. Verla leży na cienkim materacu. Wciąż czuje zapach środka do dezynfekcji, ale z każdym dniem coraz słabszy. Ponownie liczy metalowe panele ścian: sześć kwadratów otoczonych drewnianymi listwami na każdej ścianie. Różne kolory szarego metalu, pociemniałego, poplamionego, czym? Naftą, tłuszczem? Krwią?

Na gwoździu wbitym w jedną z listew wisi jej strój, który przez ten upał wręcz cuchnie jej potem. I ten podły czepek. Pod łóżkiem kłęb szpitalnej niebieskiej folii, w który była chyba zawinięta przetarta pościel w kwiaty i płaska poplamiona poduszka tamtego pierwszego dnia. Tamtego popołudnia wepchnięto je tutaj i zaryglowano za nimi drzwi, a one siedziały na twardych pryczach z wypłowiałą pościelą i myślały, że umrą tej nocy. A później żałowały, że tak się nie stało.

Zachowa tę folię, przyda się, gdy to się stanie nie do zniesienia. Nie chce myśleć, o ile gorzej jeszcze może być. Wyobraża sobie folię na swojej twarzy, mocno zaciśnięte oczy.

Błaszane ściany już się nagrzewają, muchy objijają się o nie, ich niemiarowe brzęczenie sprawia, że wydaje się jeszcze goręcej. Brzęk naczyń dochodzi od strony domu, dźwięk łatwo się roznosi w nieruchomym powietrzu poranka.

Jej pokój (nie pokój: cela, boks) znajduje się na końcu szeregu innych. Słyszy dziewczyny w boksach obok. Po sąsiedzku jest Isobel Askell, stewardessa, potem Hetty, dziewczyna kardynała z poparzoną i owrzodziałą ręką, a następnie Yolanda Kovacs i reszta: Maitlynd, ulubienica dyrektora szkoły; wielka Barbs; a obok ta ponura gamerka Rhiannon, zwana Codebabe – maskotka do walenia konia każdego popieprzonego komputerowego nerda w kraju. Potem biedna Lydia ze statku wycieczkowego, po niej Leandra z woja, a potem ostatnia ze wszystkich, dziewczyna, którą mógł gardzić cały kraj: mała Azjatka Joy, z ostatniego sezonu programu PerforMAXX. Która roztyła się, potem schudła po tym wszystkim, co się wydarzyło, i teraz ledwo była w stanie wydusić z siebie słowo, a co dopiero zaśpiewać.

Słyszy, jak Izzy wierci się na skrzypiącym metalowym łóżku i w końcu wzdycha w przepoconą pościel w różę.

Verla wstaje, pęcherz kłuje ją niemiłosiernie, i nie po raz pierwszy podchodzi do najdalszego kąta celi, przykuca i sika na pokryte kurzem drewniane deski najciszej jak może. Wybiera miejsce, gdzie szpary między deskami są najszersze.

Czasem porozumiewają się między sobą. Już pierwszego ranka odezwały się ich ciche, przytłumione głosy, płynące od jednego boksu do drugiego – *halo?* – by dowiedzieć się, że żadna z nich nie umarła tamtej nocy. Od tej pory opowiadają sobie historie przez cienkie metalowe ściany. Przez kilka pierwszych dni była tylko jedna opowieść: ostatnie, co pamiętają ze swojego poprzedniego życia, chwila, zanim wrzucono je w tę czarną magmę, w to bagno. Moment, gdy zostały zatrzymane i porwane. Historie są różne, różne miejsca, czas.

- Byłam u lekarza.
- Ja byłam w klubie z siostrą.
- Wydaje mi się, że byłam w taksówce.

Ale wstyd jest ten sam, bo żadna z nich po prostu nie wiedziała, jak je porwano. Jak głupio dały się zwabić i oszukać.

Pomimo własnego wstydu Verla współczuje pozostałym dziewczynom: nikt nie będzie ich przecież szukać. A kiedy wreszcie Andrew ją stąd wyciągnie, kiedy odkryją podstęp jego podwładnej, a Verla zostanie wypuszczona (nie: uratowana, to słowo dla głupich księżniczek i małych dzieci), właśnie ona będzie ich głosem, ich adwokatem. Wtedy przeklęta Georgie Mullan zostanie potępiona, Verla powróci na należne jej miejsce i dostanie jeszcze odszkodowanie za to wszystko. To już długo nie potrwa. Przecież widziano wtedy Verłę w tamtej restauracji razem z Mullan i jej kłamstwami. Ludzie je widzieli, na pewno donoszą już o tym wszystkie media.

Verla prostuje się, cofa ze wstrętem od małej, zenującej kałuży. Wie, że jej sikanie może usłyszeć Izzy i inne dziewczęta, mogą to nawet poczuć, ale przez ściany nie słycać nikogo. Wie, że będzie w stanie o tym zapomnieć, gdy tylko wróci do domu.

Wdrapuje się z powrotem na pryczę, by znów czekać na kolejne walenie do drzwi. Na zewnątrz przelatuje z wrzaskiem stado kakadu.

Czasem słyszy też echo płaczu dobiegające z boksów. Czasem mamrotanie, niczym błaganie albo modlitwa.

Verla słyszy nie tylko dziewczyny.

Boncer i Teddy siedzą nocą przy ścianie boksów, na dwóch przegniłych, zapadniętych plecionych krzesłach, pod jej oknem. Najpierw po to, żeby przestały w nocy wołać do siebie. Boncer łomotał kijem w huczącą blachę, gdy tylko usłyszał najcichszy szmer, mimo że większość dziewczyn natychmiast zapadała w sen z wyczerpania. Teraz, każdej nocy, ci dwaj mężczyźni po prostu siedzą, mamrocąc coś i paląc papierosy.

Boncer wypytuje Teddy'ego:

– Jesteś ciotą?

A wtedy Teddy wzdycha i odpowiada łagodnie:

– Nie, stary, nie jestem, ale myślę, że nie powinieneś używać takiego słowa.

Boncer tylko chichocze.

– Ależ jesteś, ty pieprzona hipisowska cioto.

Verla dowiaduje się z ich rozmów, że Teddy podróżował kiedyś z plecakiem. Wędrując w kierunku wybrzeża (*Jakiego wybrzeża?* Bardzo stara się usłyszeć, ale on nigdy nie mówi skąd ani dokąd szedł), znalazł tę robotę tutaj. Wziął ją dla szybkiej kasy, tymczasowo – w kopalniach nic dla niego nie mieli – zanim wybierze się na pół roku nurkowania. Gdy przyjedzie Hardings, on stąd spada – mówił.

Każdej nocy, ciężkiej od zmęczenia i bólu – napięcia ramion i szyi od dźwignania przez cały dzień betonowych rynien, ostrego klucia w brzuchu pozostałego po kopniaku Boncera pierwszego dnia, krwawiących pęcherzy, piekących na nowo zawsze, gdy odrywa brudne skarpety razem z warstwą świeżej skóry – Verla zaciska zęby i próbuje nie zasnąć. Chce ułożyć sobie to wszystko w całość. Kopalnie, wybrzeże do nurkowania, gdy przyjedzie Hardings...

Yolanda i kilka innych mówiło o jakiejś kobiecie tutaj, ale mężczyźni nigdy o niej nie wspominają. Podsluchiwanie nic Verli nie daje, rozumie tylko ciche mamrotanie o dziewczynach, które pieprzyli. Teddy używa słów: „z którymi się kochali”, ale Boncer mówi: „pieprzyli” i znowu nazywa Teddy'ego ciotą.

Verla zamiera na metalowym łóżku, pierwszy raz słysząc słowo: „dziewczyny”, a potem Teddy mówi, że to dobrze, że nie mogą pieprzyć tych tutaj, ze względu na bonusy i tak dalej.

– A zresztą, kto by chciał ruchać dopiero co ruchane? Człowiek czułby się potem brudny – mówi, a Boncer, po chwili, zgadza się z nim.

– Skończone dziwki – dodaje. A potem, po pewnym czasie pyta. – Ale gdybyś to miał zrobić, to z którą?

Teddy nic nie mówi, namyśla się, a później odpowiada:

– Nieee. – Kolejna przerwa. I: – Pomyśl o bonusach, stary.

Verla słyszy klepnięcie dłonią skóry, jakby któryś chciał zabić komara i głos Boncera, który rzuca miękko w noc:

– Odwal się.

I wtedy Teddy żartuje:

– Coś mi się wydaje, że będziemy się musieli z czasem pilnować.

Verla wie już, co może być gorsze od tego, co jest teraz.

Teddy przysiadł na swoim stałym miejscu na poręczy werandy, a Boncer poprowadził je w górę wzniesienia. Wciąż powiązane, niczym licha wersja więźniów skutych łańcuchem, z powrotem do pomieszczenia, w którym jadły. Pierwszego dnia Boncer oznajmił, że to „Jadalnia”, jakby to miejsce było jakąś prawdziwą instytucją, a nie koszmarem. Jakby zatęchły mały pokój z podziurawionym stołem, wypłowiałymi zasłonami w oknach i kominkiem miał jakiś specjalny status, jakby cokolwiek z tego wszystkiego miało swoje uzasadnienie. Teraz nazywa go „Jebalnią”, chichocząc za każdym razem.

Wszystkie dziewczyny są całe w sińcach po sześciu dniach traktowania pałką Boncera. Siniaki zakwitają żółcią i fioletem na ich rękach i nogach, na plecach, udach i mostkach pod szorstkimi tunikami. Poruszają się niczym stare chłopki, kuśtykają, starając się maszerować jak należy, choć ich poszarpany szereg chwieje się i utyka w porannym słońcu.

Verla też jest obolała i obserwuje spod rzucającego cień daszka, jak Teddy znowu prezentuje się wszystkim wokół. Opala się teraz, zadowolony niczym jaszczurka – z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą ku słońcu – na styku poręczy i słupka werandy. Jedną nogę z gładką bosą stopą wyciągnął na poręcz, a drugą mocno podparł się na deskach.

Otwiera oczy i powoli porusza samą głową, obserwując je, jak wmaszerowują po schodkach znajdujących się poniżej miejsca, gdzie przysiadł. Przygląda się ich paradzie z łagodną ciekawością, jakby śledził ospałym wzrokiem rządek kaczek albo kóz. W końcu zsuwa się z ręcznic z poręczy i staje na swoich wysmukłych stopach, rozciąga długi kręgosłup i podwija rękawy. Niczym emerytowany instruktor jogi, wyciągający się dumnie i witający słońce. Gdy ostatnia w rzędzie Verla zbliżyła się do niego – Teddy unosi gęste, przypominające wodorosty zwoje dredów nad głowę i zakręca je w rodzaj turbanu czy wysokiej, chwiejącej się korony. Verla słyszy po chwili, jak mężczyzna wchodzi za nimi do ciemnego wnętrza domu. Kilka much wpada w gęste powietrze i mrok zanim zatrzasną się za nimi drzwi z siatki.

Przy stole Verla przygląda się przez chwilę zwarzonemu mleku z proszku w swojej misce i odwraca głowę, żeby nie zwymiotować, wysoko unosząc daszek czepka. Misek nie myto od pierwszego dnia, a stwardniała warstwa jaskrawożółtej mazi pokrywa ceramiczne dno pod pomarańczowymi płatkami i skwaśniałym mlekiem. Nie przelknie tego, ale musi. Boncer stoi oparty o ścianę, ciężkie klucze zwisają mu u pasa, jeden but opiera czubkiem o podłogę. Patrzy przez otwarte okno na Teddy’ego, który, zastawiwszy stół (rzucił na niego stos brudnych misek), ponownie zajął miejsce na poręczy i skrupulatnie obgryza paznokcie. Nadgryza i odrywa, najpierw piękne palce jednej dłoni, a potem drugiej.

Nie tylko Boncer obserwuje Teddy’ego – wszystkie to robią. Teddy ma złotawą skórę surfera albo ulicznego grajka. Delikatną twarz. Ile on może mieć lat? Dziewiętnaście? Dwadzieścia cztery? Poniżej jabłka Adama, pod szorstkim niebieskim materiałem kombinezonu widać na skórze szyi drobno spleciony czarny rzemyk. Wszędzie chodzi boso; nie dla niego te twarde skórzane buty, które noszą dziewczyny i które już po paru dniach rozdrapały i powykrzywiały ich stopy w krwawe kikuty. Ani robocze buciory Boncera z metalowymi czubkami; Teddy zawsze pokonuje kłujący grunt i szorstkie deski podłogowe gołymi stopami, chroni go jego uroda.

W nocy Verla ma potem wizje, śnią jej się te stopy ukrzyżowane, przebite grubym zardzewiałym gwoździem, który przekłuwa złotą skórę i miażdży delikatne kości.

Dociera do niej zapach skwaśniałego mleka. Patrzy więc na miskę, próbując zmusić się do jedzenia. Zaraz wyjdą do pracy w ten skwar. *GODNOŚĆ I SZACUNEK W BEZPIECZNYM OTOCZENIU*. Będzie umierać z głodu.

Na tle wypłowiałej tapety obok kominka stoi Boncer – starszy od Teddy’ego, drażliwy – i gapi się na młodszego mężczyznę przez otwarte okno, bawiąc się pałką obitą skórą, przesuwając delikatnie palcami po wypukłych szwach. Na jego wąskiej, nadąsanej twarzy, w chwili gdy patrzy na tego młodszego, widać jakąś nieukojoną tęsknotę czy zazdrość.

Verla skupia uwagę na jedzeniu, wsuwa łyżkę, unosi gęste grudy, wstrzymuje oddech – ale nic nie poradzi: odrzuca ją od tego mleka. Upuszcza łyżkę, gdy przesywa ją skurcz wymiotów, a wtedy

natychmiast słyszy miękki dźwięk odwracających się czepków i wstrzymanych oddechów dziewczyn. I wie, że Boncer stoi już obok niej z uniesioną w górę pałką.

Przygotowuje się, kuląc w sobie. Od tamtego pierwszego dnia – od złamania zuchwy mocno zbudowanej Barbs – nie uderzył żadnej z nich w głowę. Cała twarz Barbs jest nadal opuchnięta, fioletowo-czarna, a ona niczego nie może jeść, nawet rozmiękłych płatków.

Patrząc na nią teraz, trudno pamiętać, ile miała kiedyś energii, gdy cięła wodę kraulem.

– Będzie olimpijski medal! – mówili, dopóki nie wypowiedziała się kiedyś na temat „masaży sportowych”. Na hotelowym łóżku trenera. I cała drużyna nazwała ją *jakaś szmatą z Cronulla* i koniec, tyle było z marzeń o olimpiadzie. Teraz po drugiej stronie stołu garbi swoje szerokie ramiona i ledwo może rozchylić usta. Podczas pierwszego posiłku Boncer rzucił na stół przed nią słomkę i syknął:

– Tylko nie zgub. – Ona wyciąga ją teraz zza pazuchy podczas każdego posiłku, pogiętą i brudną, z rozmiękłym, postrzępionym końcem.

Boncer stoi obok Verli, a ona czuje zapach jego potu, kwaśny jak mleko. Wpatruje się w blat, czekając na cios, ale zamiast tego w polu jej widzenia ukazują się jego chude białe palce, które unoszą miskę. Słyszy, jak wacha zawartość, a potem domyśla się po wyrazie twarzy Lydii po drugiej stronie stołu, że się skrzywił. Ale on tylko opuszcza miskę z powrotem na blat i mówi znużonym tonem:

– Jedz, do cholery!

Wszystkie są zaskoczone, że jej nie bije, tylko wychodzi z pokoju, szurając nogami i zatraskując siatkowe drzwi, żeby porozmawiać z Teddym.

Dziewczyny patrzą po sobie. Drapią dna misek, pobrzękują łyżkami, jedząc w milczeniu. A potem zaczynają się szepty, ledwo słyszalne.

– Gdzie jesteśmy? – szemrzą. Dlaczego nie przyjeżdżają po nie rodziny? Będą gwałcone, torturowane, głodzone na śmierć, zabite?

– Cisza! – wrzeszczy Boncer z werandy.

Czepki kierują się na miski, zapada cisza. Boncer znów zaczyna coś mrużyć do Teddy’ego.

I wtedy któraś syczy:

– To reality-show – przemówiła Hetty, dziewczyna kardynała, ta z poparzoną ręką. Czepki obracają się. Milczenie się przedłuża. Szepcze ponownie: – Jak „Kawaler do wzięcia”, tylko bardziej na ostro.

Jej siostra pracuje w Channel Ten, więc wie. Zwycięzcy dostanie dwieście tysięcy.

Hetty jest niska, krępa, a jej okolona czepkiem twarz wydaje się szeroka i płaska. Poparzona ręka spoczywa na stole obok miski, owinięta wieloma warstwami postrzępionego szarego papieru toaletowego, który dał jej Boncer. Verla nie ma ochoty na to patrzeć.

Z zewnątrz dobiega głos Teddy’ego.

– Człowieku, nie możesz sobie tak po prostu uznać, że masz zespół chronicznego zmęczenia. Musi to zdiagnozować lekarz.

Boncer odpowiada urażonym tonem, że ma wszystkie objawy.

Hetty szepcze dalej: to dlatego wszystkie się tutaj znalazły, zostały wybrane. Przez te skandale i tak dalej. Czepki słuchają, skupione, z rozchylonymi ustami. Będą wyzwania, twierdzi Hetty. Może nawet dzisiaj, pierwsze eliminacje. Kiwa z podziwem głową nad wyszeptanymi przez siebie słowami. A czepki zaczynają potakiwać razem z nią, pochylać się i cofać, począwszy od Hetty, jeden za drugim, a niedowierzanie zamienia się stopniowo w przekonanie. Zaczynają formułować ciche pytania.

Verlę nawiedza kolejna wizja: chwyta za pałkę Boncera i rzuca się z furią na Hetty, która przestała już mówić i siedzi teraz zadowolona z siebie, przenosząc bryłki miękkiego białego chleba z talerza do ust brudną ręką, sięgając nią tam i z powrotem i żując nieustannie w cieniu czepka. Napotyka spojrzenie Verli i nie spuszcza wzroku, jej wilgotne mięsiste różowe wargi poruszają się, język pracuje, by usunąć lepkie, kleiste pieczywo z dziąseł.

Katolicki kardynał, nigdy nie publikowane zdjęcia nieletniej Hetty, zaledwie szesnastoletniej, leżącej niczym tłuste, szczęśliwe niemowlę na purpurowej satynie i złotym brokacie. Verla już wie, co kardynał widział z bliska: wilgotne, czerwone usta Hetty, gęste czarne brwi, w których kryła się jakaś

dzika zmysłowość. Widział to, co Verla mogła teraz dostrzec, że Hetty jest niczym mały, umięśniony pies, który potrafi ugryźć i umie się bezmyślnie pieprzyć. Gdyby była samcem, jej cienki różowy fiutek zawsze byłby na wierzchu.

Ludzie to samo myśleli o Verli. Ona wie o tym, w pierwszej kolejności przeczytała komentarze. Mniej więcej to samo mówili jej prosto w twarz. Ale w przypadku Hetty to prawda. Zapach skwaśniałego mleka, lepka papka słów Hetty, odór jej potu, wszystko to unosiło się nad nimi niczym zwarzona mgiełka. Hetty jest odrażającą kłamczuchą. Hetty można winić.

Przy drugim krańcu stołu siedzi Yolanda Kovacs. Nic nie mówi, ale obserwuje Hetty z jawną, godną podziwu pogardą. Gdy odwraca wzrok, napotyka spojrzenie Verli. Ich czepki kierują się przeciwne strony. Verla nie zamierza tworzyć żadnych sojuszy.

Jedna z dziewczyn, na skraju łez, pyta Hetty płaczącym szeptem:

– Ale skąd... skąd to wiesz?

To chuda Lydia ze statku, którą zostawiono na śmierć w toalecie. Anonimowa, bezimienna, z rozmazaną albo zaczernioną twarzą i zmienionym w każdym wywiadzie głosem – dla jej własnego bezpieczeństwa. Cóż, teraz nie ma żadnej ochrony, a pod daszkiem czepka widać jej drobną, głupkowatą twarz, małe zaczerwienione oczka, wąskie, zaciśnięte usta. I ma nazwisko, Lydia Scicluna. Z błagalnym wyrazem wpatruje się w twarz Hetty: *Gdzie są kamery? Jak będą wyglądać wyzwania? Kto będzie je oceniać?*

Verla nie może już tego znieść. Sięga ręką i kładzie ją stanowczym gestem na zaciśniętej pięści dziewczyny z liniowca.

– Ona zmyśla. To nie jest telewizja. To rzeczywistość.

Kiedy oburzona Hetty otwiera usta, Verla mówi:

– Pogorszyło ci się z ręką. – I wszystkie dziewczyny gapią się już na groteskowo opuchniętą kończynę Hetty owiniętą w brudny, przesiąknięty ropą papier.

– Boncer! – woła głośno Verla, patrząc na Hetty i słysząc, jak dziewczęta wstrzymują oddech w reakcji na jej bezczelność. Nikt dotąd nie wymówił imienia mężczyzny. Verla zaczęła się oddzielać: nie jest już jedną z nich.

Boncer natychmiast wraca do pokoju, łapiąc się za pałkę z boku, Teddy depcze mu po piętach. Boncer podchodzi do Verli z uniesionym drągiem. Dziewczyna zmusza się, żeby nie drgnąć, i patrzy mu prosto w oczy. Widzi biały czubek krosty zdobiącej jego podbródek.

– Trzeba jej coś dać na tę rękę. Wdała się infekcja.

Boncer przewraca oczami, a potem zerka na poparzenie i odwraca wzrok. Prycha:

– A ty, kto? Pieprzona Florence Nightingale? – ale w jego głosie słychać jakiś niepokój.

Verla skupia wzrok na kroście, białym wzgórku pośród wściekle czerwonej opuchlizny. Stara się nie myśleć o pałce, choć strach rozlewa się w jej żyłach. Daszek czepka Hetty skierowany jest ku podłodze.

– Dostanie sepsy.

Żeby ich skusić, żeby coś się działo.

Czepek Hetty unosi się, patrzy na Verlę spod długiego, okrągłego daszka w nagłym przerażeniu.

– A co to? – Cała jej brawura zniknęła.

Teddy pochyla się, żeby spojrzeć przez stół na rękę Hetty. Cofa się z odrazą, wołając:

– Fuj! – Sięga do kieszeni i wyjmuje małą, przezroczystą plastikową buteleczkę ze środkiem do dezynfekcji rąk. Wciąż obserwując zielonkawą ropę i pienisty osad na poparzeniu Hetty, nabiera odrobinę żelu na lewą rękę, zamyka buteleczkę i rozsmarowuje sobie żel równomiernie na dłoniach. Rzuca buteleczkę Boncerowi, który robi to samo.

Po ich wyjściu pokój wypełnia mentolowy zapach.

Hetty płacze. Inne dziewczyny zapadają w milczenie, niektóre odwracają wzrok, inne patrzą na lśniąca, sącząca się ropę w płytkim wgłębieniu rany po oparzeniu.

Hetty się przyznaje. Nic nie wie, wymyśliła to reality-show.

– Ale co to może być innego? – lamentuje między szlochami.

Nikt nie wie. Są już tutaj niemal od tygodnia. Nikt nie przyjechał, nic się nie wydarzyło, poza czekaniem i pracą, i boksami, i GODNOŚCIĄ I SZACUNKIEM, i biciem, i strachem, i górą betonowych rynien, a teraz jeszcze to zakażenie.

Verla czuje, że Yolanda Kovacs obserwuje ją z drugiego końca stołu.

Wkrótce znów męczą się z betonowymi blokami pod upalnym, bezchmurnym niebem. Mają przenieść stos betonowych rynien z jednej strony budynków na drugą. Nie wyjaśniono im, po co to robią, wiadomo tylko tyle, że ma być gotowe, *gdy przyjedzie Hardings*. Stos sięga linii dachu domu; wyżej niż dach boksów.

Rynny musiała tu przywieźć wywrotka albo położył je dźwig – każdy betonowy fragment waży co najmniej trzydzieści kilogramów. Ale choć Verla bardzo uważnie się przyglądała, nie dostrzegła żadnej drogi. Kiedyś musiała tu istnieć jakaś droga dojazdowa, wtedy gdy to miejsce wykorzystywano jako owczą farmę czy gospodarstwo z uprawą pszenicy. Ale nawet jeśli tu była, to już dawno zarosła. Verla była w stanie dostrzec tylko ten nikły ślad spłaszczonej trawy, prowadzący w dal w tym kierunku, w którym maszerowały pierwszego dnia.

Verla, kiedy w końcu to pojmuje, niemal osuwa się na ziemię przerażona. To one mają zbudować drogę dla Hardingsa.

Wlecz się tam i z powrotem z innymi, gdy po kolei chwytają betonowe fragmenty za ostre krawędzie i ściągają je ze stosu. Robią to ostrożnie, żeby gigantyczne klocki nie osunęły się z hurgotem, co zdarza się mniej więcej raz na godzinę. Wszystkie dziewczyny mają zadrapania i rany na ramionach i dłoniach od betonowych krawędzi, od osuwających się bloków albo kiedy upuszczą ciężki element. Verla przyciąga betonowy kloc w swoją stronę, podpira wielki ciężar całym ciałem, przytula go do siebie. Pot spływa jej po rękach i plecach pod szorstkim materiałem tuniki, drażni skórę. Ramiona i dłonie boją ją od wysiłku, gdy odwraca się, by przenieść blok.

Przy każdym kroku, stawianym po płaskiej, suchej ziemi rój koników polnych wyskakuje w powietrze. Małe czarne muchy wpadają jej do ust i oczu, więznąc pod długim daszkiem czepka. Dysząc, dociera na drugą stronę budynku i upuszcza blok, odskakując w tył, żeby nie zmiażdżyć sobie stopy. Pochyla się, opiera ręce na kolanach i ciężko oddycha. To dopiero pierwsza godzina.

Co dwie godziny mogą zrobić sobie dziesięć minut przerwy. Padają na wznak w pomarańczowym pyłe, zbyt zmęczone, by rozmawiać. Piją łapczywie wodę o ziemistym smaku, którą Teddy przynosi w plastikowym wiadrze, podając dziewczynom po kolei obity biały kubek.

Verla obraca się na bok, żeby osłonić twarz przed słońcem i zasypia na minutę. Gdy otwiera oczy, widzi niedaleko delikatną, białą twarz Isobel, opartą na brudnych dłoniach. Dziewczyna ma zamknięte oczy i rozchylone usta. Dziwnie widzieć tę twarz na żywo. Verla pamięta inne jej zbliżenie: telewizyjny wywiad w niedzielny wieczór, gładka, brzoskwiniowa cera Izzy i jej wielkie jasnoniebieskie oczy wypełniające ekran, zmarszczka między delikatnymi, jasnymi brwiami. W tle prezes linii lotniczych popędza żonę i dzieci na lot pierwszą klasą do Europy. Drżący, łagodny głos Izzy opowiada o jej zrujnowanej karierze, o sprawiedliwości, której należy uczynić zadość.

A poza ekranem, poza tym wszystkim, głosy dziewczyn, parsających przy wódce:

– Nawet jej nie zgwałcił!

Prychających:

– Najwyżej pociągnął za ramiączko stanika! I pomyśleć, że skusił się na taką małą grubaskę! No, twarz ma całkiem ładną.

Izzy od numerków na wysokości mogłaby zostać modelką plus size, gdyby chciała. Ale mimo wszystko...

W boksie obok Verli Izzy cały czas płacze w nocy swoim cieniutkim głosem. Większość czasu wydaje się być przygnębiona tymi botkami od Chloé, kupionymi za pieniądze z ugody, które założyła zaledwie trzy razy, zanim ją porwano. Po kilku dniach Verla zna płacz Izzy niemal tak dobrze, jak własny. Ale widzieć ją tak blisko to coś zupełnie innego. Więc wpatruje się teraz w słynną śliczną, ale

grubą Izzy z telewizji, która leży wyczerpana na gołej ziemi, z brudnym czepkiem zawiązanym ciasno pod miękkim podbródkiem, z policzkami pogryzionymi przez komary i tłustymi od kurzu i łez, z podkrążonymi oczami, z żółtawą strużką zaschniętej śliny w kąciку wysuszonych ust. Tyle pieniędzy, botki od Chloé i tak dalej, a spójrzcie na nią!

Ponad głową Izzy, daleko na zachodzie, niskie, ciemnofioletowe chmury brudzą niebo. Gdzieś tam daleko pada deszcz. Ale tutaj powietrze jest równie suche, jak twardy, żółty grunt pod nogami, a Verla nie czuje nic poza smakiem kurzu.

Boncer gwizdże na gwizdku. Izzy budzi się, dziewczyny przekręcają się powoli i podciągają na kolana.

– Przynajmniej wszystkie trochę schudniemy – szepcze Izzy do Verli, wstając z ziemi.

Teddy i Boncer stoją z założonymi rękoma, nadzorując prace nad drogą i gawędząc sobie, podczas gdy dziewczyny harują na kolanach.

Czasem Teddy przynosi ze sobą śniadanie i je posiłek łyżką z czerwonej plastikowej miski. Nie je nigdy z dziewczynami ani nawet z Boncerem, który swoje śniadanie spożywa gdzieś indziej. Teddy ma specjalną kolekcję słoików i pojemników z plastikowymi pokrywkami ustawionych na jednej z ław w kuchni. Na każdym znajduje się domowej roboty naklejka z papieru w linię z nagryzmołonym grubym czarnym mazakiem napisem: *Jedzenie Teddy'ego, nie dotykać!*

Yolanda odkręciła kiedyś pokrywkę i powąchała, a potem zmarszczyła nos i powiedziała dziewczynom, że Teddy nie musi się obawiać, wszystkie słoiki cuchną jak stara skarpeta. W pojemnikach znajdują się jakieś specjalne gatunki czarnej herbaty albo brzydkie, blade suszone owoce i rozmaite proszki i suplementy: len, nasiona babki, jagody goji – zdaniem Izzy – i dziwne kawałki czegoś, co wygląda jak kora.

Lydia, spocona i stękająca pod ciężarem długiego kawałka betonowego krawężnika, mruczy do Verli, że Teddy na pewno ma gdzieś schowany hasz, czasem czuje go późno w nocy, jak unosi się od strony domu. Nie ma wątpliwości, że Teddy zwija skręty i jara sobie, szczęściarz jeden.

– Jezu, zabiłabym za odrobinę zioła – szepcze Maitlynd. Przykucają razem z Verlą i napinają plecy, by unieść betonowy blok, żeby Lydia zagrabiła żwir znajdujący się pod nim.

Na końcu szeregu Boncer i Teddy przestają gadać i patrzą na dziewczyny.

– Wyrównać! – wrzeszczy Boncer. – Jest krzywo.

Zaczynają od nowa.

Teddy recytuje Boncerowi listę tego, co *normalnie* by jadł, u siebie w domu, a Boncer udaje, że wie, o czym mowa. W lodówce z tyłu jest więcej specjalnego żarcia Teddy'ego, kleiste, owinięte w plastik kawałki czegoś, co tylko Teddy potrafi rozpoznać: szara kostka przypominająca surową glinę, która okazuje się jakimś rodzajem drożdży. Albo gęsta żółta papka, która pachnie jak coś indonezyjskiego i którą Joy identyfikuje jako tempeh. I przewraca oczami, że dziewczyny nie wiedzą, co to tempeh.

Boncer i Teddy spacerują wzdłuż rzędu umęczonych, spoconych dziewczyn i cały czas gadają. Verli przychodzi na myśl nadzorczy niewolników ze starych czarno-białych filmów.

Teddy ma w swoim plecaku urządzenie do robienia jogurtu, opowiada o tym Boncerowi. Ale chyba przestało działać, a zresztą i tak nie dałoby rady z tym cholernym sztucznym mlekiem, które muszą tutaj pić. Teddy jest zdegustowany mlekiem UHT przypominającym białą farbę. Kiedyś pił tylko sojowe, stwierdza z zalem, drapiąc cienką kosią bródkę, która pojawiła się na jego podbródku.

Zabrał urządzenie do jogurtu z ostatniego miejsca, w którym mieszkał, tam gdzie jego ówczesna tak jakby dziewczyna Hannah (*która świetnie robi loda*) codziennie przygotowywała doskonały jogurt. Który jedli z orzechami; Chryste, jak on tęskni za orzechami, zwłaszcza migdałami. Boncer chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o robieniu loda, ale Teddy macha tylko ręką i mówi, że Hannah niestety zaczęła w końcu pieprzyć coś o jego neurotycznych zachowaniach i ciągle go krytykować.

Słońce bardzo doskwiera dziewczynom.

– Mogłybyśmy mieć przerwę, proszę? – pyta Barbs. To zawsze dzielna Barbs dopytuje o odpoczynek, pomimo tamtej złamanej pierwszego dnia zuchwy. A Boncer wydaje się boleśnie dotknięty tym, że im przerwano, ale patrzy na zegarek i gwizdże gwizdkiem.

– Pięć minut – rzuca.

Dziewczyny w większości po prostu puszczają z rąk betonowe bloki i siadają tam, gdzie są w danej chwili, pośród kurzu. Zbyt zmęczone, żeby przejść kawałek i położyć się na suchej trawie. Siedzą z głowami opartymi o skrzyżowane na kolanach ręce.

Teddy dalej opowiada o Hannah i jej długich, brzydkich palcach u stóp, które nie zmniejszały się elegancko po kolei, jak to u dziewcząt, tylko sterczały równo do przodu i wyglądały paskudnie. Mówi, że jak na nieźle wyglądającą laskę, prezentowała się wyjątkowo nieatrakcyjnie, gdy płakała. A poza tym była o wiele, o wiele za mocno owłosiona. Tak ogólnie Teddy lubi naturalność u dziewczyn, ale spójrzmy prawdzie w oczy – niektóre są naprawdę, naprawdę owłosione. Obaj, Boncer i Teddy, wzdrygają się z obrzydzeniem, patrząc na dziewczęta, które siedzą wyczerpane wśród kurzu.

Coś się stało z tą dziewczyną kardynała, Hetty, zanim wróciły. Yolanda pierwsza przeszła przez drzwi i zobaczyła, że Hetty wciąż siedzi, a obok jej obrzydliwie opuchniętej ręki z raną do góry, leży świeża rolka cienkiego papieru toaletowego. Ale spadł jej czepek i leżał teraz na podłodze. Błada, łysa głowa świeciła w mroku. Od czasu do czasu, Hetty sięgała po cienki papier, żeby wytrzeć płyn sączący się z rany. Wyglądała tak, jakby przez cały dzień płakała i siedziała bez ruchu, z opuszczoną głową. Właściwie nie poruszyła się, gdy wszystkie wtoczyły się do środka. Była naprawdę przerażona, jakby do samych trzewi, bardziej przerażona niż one wszystkie razem wzięte.

Dziewczyny skupiły się w stado, patrząc na tę biedaczkę. Gapiły się na nią głównie ze współczucia, ale Yolanda wyczuwała w tym drzenie jakiegoś innego instynktu, to samo działo się między kurami w kurniku jej babci. Przypominające guziki oczka dobrze się przyglądały, krążyły wokół, oceniały słabą sztukę. Rozglądały się, by sprawdzić, kto mógłby pierwszy się ruszyć i wykonać zaczepno-badawcze dziobnięcie.

Osunęły się na ławy, większość była zbyt zmęczona, by utrzymać głowy prosto i dalej się gapić. Poza starą Verlą Learmont, kochanicą ministra, sztywną, jakby miała kij wetknięty w swój uniwersytecki tyłek, która gapiła się nadal na Hetty. Nie wyglądała już jednak na tak zadowoloną z siebie jak rano, gdy prorokowała gangrenę. Raczej zzieleniała na twarzy, jakby pomyślała, że to ona sprowadziła na Hetty to nieszczęście. I może tak było.

Yolanda obserwowała, jak Verla osuwa się na ławę obok poparzonej dziewczyny i próbuje spojrzeć jej w twarz. Ale Hetty w ogóle jej nie zauważa, tylko gapi się na stół chorobliwie zmienionym wzrokiem. Wszystkie spojrzały, gdy Verla po chwili wstała i pokuśtykała przez drzwi i dalej korytarzem do kuchni. A potem wróciła z dużym plastikowym kubkiem wody i postawiła go przed Hetty. Ale ta dalej tylko patrzyła.

Za Verlą przyszedł Boncer ze swoją nieodłączną pałką w ręce. Wyglądało na to, że tym razem ani jej nie uderzy, ani na nią nie nawrzeszczy. Stał rozdrażniony i wskazał pałką kubek.

– Wypij to – rozkazał Hetty, więc ta przysunęła kubek do siebie i wypila malutki łyk. Wciąż była w tym żółwio-sennym, chorobliwym stuporze, ale napiła się. Wszystkie inne spocone dziewczyny, którym od pragnienia lepilo się w ustach, musiały czekać, patrząc, jak Hetty pije, a Yolanda nienawidziła jej razem z innymi za to, że jest taka powolna.

Wtedy Boncer powiedział:

– Chryste wszech-kurewsko-mogący. No dalej! – chwycił Hetty za ramię i podciągnął ją do góry, żeby wstała, a ona aż zawyla z bólu.

Daszki czepków szybko się obróciły w stronę, gdzie rycząca jak wół Hetty zdrową ręką łapie gwałtownie rękaw Verli i nie puszcza go, trzyma z całej siły, choćby Verla nie wiadomo jak starała się uwolnić od jej palców. Patrzyły, jak Boncer wzrusza ramionami, mówiąc:

– W takim razie ty też! – i przypina smycz Verli do kółka Hetty, szarpiąc je obie za sobą od stołu

i ciągnąc przez drzwi.

Gruba Izzy z linii lotniczych sięgnęła ręką, złapała kubek Hetty i błyskawicznie wypila całą wodę, zanim kolejna dziewczyna zdołała wytrącić jej go z rąk. Potoczył się, pusty, na podłogę.

Usłyszały, jak Boncer krzyczy na korytarzu:

– Marsz!

Hetty maszeruje wymachując lewą ręką, trzymając tę chorą ostrożnie przy boku. Nie pyta, dokąd idą, nie robi też tego Verla. Idą za Boncerem przez ciemne korytarze jak z tektury, przez mrok pokoi prowadzących jeden do drugiego, przez kolejne przejścia, zamknięte werandy, w ciemność i z ciemności, przez wąskie przestrzenie albo jasne i zielone. Ten dom jest jak miech akordeonu, który otwiera się i wydłuża, i rozpręża się przed nimi, a za nimi ścieśnia i zamyka. W pełnych kurzu, obitych na zewnątrz deskami pokojach, które mijają, widać ślady dawnego życia: komody z na wpół wysuniętymi szufladami, wypłowiałe akwarele w ramkach, upstrzone muszymi odchodami i przekrzywione. Złożony zakurzony lambrekin na podłodze jednego pokoju, goły materac na łóżku z kutego żelaza w innym.

W jednym z ciemnych korytarzy Boncer nagle pochyła się i szybko zamyka otwarte drzwi, lecz Verla zdąży się zorientować, że to musi być jego pokój: widzi rozpiętą czerwoną torbę sportową, rozrzucone ubrania, przetarty różowy ręcznik rozwieszony na drzwiach szafki. Róg bładniebieskiego prześcieradła zwisający do podłogi, zwiniętą w kulkę parę brudnych sportowych skarpet. Widok ten znika za białymi drzwiami z giętą mosiężną klamką. Boncer zerka do tyłu, by sprawdzić, czy Hetty albo Verla coś zauważyły. Obie mają jednak spuszczone wzrok.

– Powiedziałem: marsz!

Verla wymachuje rękoma i mruga gwałtownie, próbując zachować w pamięci to, co widzi. *Zapamiętaj, gdzie jesteś.* Przypomina sobie korytarze, wysokie francuskie drzwi prowadzące z jednego pokoju do następnego, zakręty na prawo i na lewo, schody w górę i w dół. Szybko się gubi. W jej umyśle pozostały tylko kolumny światła przedzierające się przez wysokie zielone zasłony, różowy ręcznik, drzwi otwierające się na kolejne.

Teraz znów są na zewnątrz, tupią po rozchwierutanej werandzie, schodzą po trzech schodkach i maszerują wokół pordzewiałego zbiornika na wodę, stojącego na przegniłej drewnianej platformie, znowu schodki i przystanek przed następnymi drzwiami kolejnej werandy. Hetty ciężko oddycha, z trudem przełyka ślinę. Boncer delikatnie popycha drzwi, ale nie wchodzi.

– Coś dla ciebie, Nancy! – woła, patrząc na dach werandy i znowu grzebiąc przy pryszczu na swej twarzy. A więc to prawda. Nancy. Kobieta.

Zza drzwi dobiega przytłumiony okrzyk. Hetty i Verla czekają, nie śmiąc spoglądać nigdzie indziej niż tam, gdzie patrzy Boncer, czyli do góry. Wszyscy troje stoją w dusznej spiekocie i obserwują małe, szare gniazdo os, wiszące na zardzewiałym gwoździu, który wystaje z belki zaraz nad nimi. Trzy powolne osy o podłużnych odwłokach podlatują, kołysząc się, do gniazda, w końcu lądują, wwiercają się w otwórki i znikają w środku.

W końcu Boncer kręci głową i mamrocze pod nosem:

– Do kurwy nędzy... – I znowu wrzeszczy: – One wchodzi! – po czym popycha spięte ze sobą dziewczęta przez drzwi twardym okrągłym końcem pałki.

Wpadają do środka, Hetty syczy z bólu. Pokój jest duży, zalany światłem. Są tam sięgające pasa metalowe wózki oraz obity skórą wąski i wysoki stół, który mógłby też być łóżkiem. Przykryty krótkim, foliowym, niebieskim prześcieradłem z warstwą papierowego ręcznika na wierzchu i płaską, zatęchłą poduszką. Z jednego końca leżanki wystają dwa drewniane uchwyty, z których wiszą rozpięte paski grubej, brązowej skóry. Na podłodze pomiędzy drewnianymi uchwytami stoi metalowe wiadro.

W pokoju nikogo nie ma. Przy oknie stoi bladozielony metalowy taboret z dużym siedzeniem przypominającym siodełko roweru. Obok białe plastikowe krzesło toaletowe. Sfatygowana aluminiowa tacka leży na wózku pod oknem, z którego wpada do pokoju miękkie, rozproszone światło. Tackę wypełniają kawałki ciemnoczerwonych, gumowych rurek, metalowe stożki i długie, ostre narzędzia ze

stali.

Dłonie Verli i Hetty natychmiast się szepiają, a zza otwartych drzwi dobiega poirytowane mamrotanie.

– Nie jestem gotowa...

Drzwi zatraskują się nagle, a one zostają zamknięte w środku razem z jakąś drobną postacią, przykucniętą teraz na podłodze i grzebiącą w stosie plastikowych toreb na zakupy. Gapią się na nią. Ruch jej łokci wskazuje na to, że grzebie przy swoim ubraniu, krótka dzinsowa spódnica zagina się na jej bladych, szczupłych udach. Postać chwieje się nieco, kucając całymi stopami na podłodze w brudnych białych tenisówkach.

Wreszcie prostuje się i staje przodem do nich. To dziewczyna, jej usta rozchylają się teraz w figlarnym uśmiechu, policzki są zaczerwienione. Drobną, okrągłą twarz, dwa popielatoblond warkoczyki sięgające ramion. Jest najwyżej rok czy dwa lata starsza od Verli, ma ze dwadzieścia trzy lata. Ale jest niższa od niej i ma na sobie o wiele za dużą męską roboczą koszulę – uszytą z tej samej grubej bawełny, co kombinezony Boncera i Teddy’ego. Sięga niemal brzegu spódniczki mini. Dwa małe złote krzyżyki zwisają jej z uszu. Ale Hetty i Verla gapią się na to, co ta Nancy ma z przodu: to elementy dziecięcego kostiumu pielęgniarki. Małe białe fartuszek z grubym czerwonym krzyżem pośrodku ma przypięty krzywo do przodu koszuli. A to, czego właśnie szukała pośród toreb, to niebieska aksamitna narzutka, którą teraz obwiązuje sobie wokół szyi, okrywając nią ramiona. Ale najbardziej w tym wszystkim razi maleńki, biały, przypominający origami sztywny czepek z niebieskim paskiem, który zdobi jej głowę.

Zauważa, że Hetty i Verla przyglądają się jej ze zdziwieniem i uśmiecha się.

– Śmieszne, nie?

Zerkają na siebie z niedowierzaniem. Verla dostrzega plastikowy stetoskop wystający z kieszeni koszuli dziewczyny. Naprawdę trafiły do domu wariatów!

Hetty nagle osuwa się na Verłę, jakby się poddała, tuli swą poranioną rękę i płacze.

Dziewczyna, Nancy, jest poirytowana.

– To był żart, laska. Jeeezu.

Ociera ręce o uda i wydobywa się gniazda plastikowych toreb, żeby przyjrzeć się im obu. Najpierw kiwa głową na widok ręki Hetty, a potem chwyta ją brutalnie.

– No i co ty sobie zrobiłaś, głupia dziwko?

Hetty jeszcze głośniej płacze na tę niesprawiedliwość i wrywa rękę.

– Nie jesteś pielęgniarką – stwierdza Verla. Słyszy niskie, gniewne chrypienie własnego głosu.

Brzmi jak stara, bardzo stara kobieta.

Nancy podchodzi bliżej, ponownie chwyta Hetty za nadgarstek swoją małą, silną dłonią i przygląda się poparzeniu.

– Fu-u-uj! – cofa się. – Obrzydlistwo.

Verla rozgląda się po pokoju.

– Potrzebny jest środek odkażający i bandaże. Wdała się infekcja. Ja to zrobię.

Cała dziewczęcość Nancy znika nagle pod długim, oceniającym spojrzeniem, które przesuwają po całym ciele Verli. Patrzy na jej brudną tunikę i komiczny czepek. Verla czuje, że w nich utknęła, zapadła się, że jest jakaś mniejsza.

– Doprawdy, panno *Verlo Learmont*? – podkreślając nazwisko Verli (skąd je w ogóle zna?) mówi już zimnym, dorosłym głosem z domieszką rozbawienia i pełnej odrazy litości. Verli przypomina się podstawówka; ta gorąca, wstydliva chwila, gdy dowiadujesz się, że inne dziewczyny wiedzą coś, czego ty nie wiesz. Że jesteś brzydka i godna pogardy.

Nancy patrzy na nią i mówi:

– Wiesz, jak teraz wyglądasz? Jak konik morski! – rechocze. – Naprawdę. – I robi minę, wytrzeszcza oczy, udaje rozedrgany wzrok, wydłuża twarz, by wydawała się półprzezroczysta i końska. Trzepie palcami gwałtownym, nerwowym ruchem przy udach. Verla wie, że to prawda, tak właśnie wygląda. Wściekła, blada i przerażona.

Nancy krzywi się, a potem odwraca do Hetty i rzuca:

– Właż na to! – wskazując na obitą skórą leżankę. Hetty nie chce puścić ramienia Verli, ale Verla nagle czuje, że ma wszystkiego dość. Nie boi się już, tylko nie może dłużej tego znieść, tego strachu, głupoty i szaleństwa. Całej tej chorej, niezrozumiałej gry. Wbija dłoń pod palce Hetty, odrywa jej rękę i odsuwa jęczącą dziewczynę w stronę leżanki.

Nancy brzęczy w kąciku emaliowanym naczyniem w kształcie nerki i butelką z jakimś silnym środkiem antyseptycznym, a potem odwraca się do Hetty, która teraz już leży spokojnie. Jej brudne ramię pokrywają strzępki papieru. Wrzeszczy, gdy Nancy zdziera papier toaletowy i zaczyna polewać ranę płynem.

Verla odwraca się i wygląda przez poplamione okno, patrzy na przerwę między budynkami, na suchą, gruzłową ziemię. Nie obchodzi jej już Hetty ani Lydia Scicluna, ani Isobel Ascell, ani mała Joy, ani Barbs, ani Yolanda Kovacs. Żadna z nich jej nie obchodzi, bo tylko ona się stąd wydostanie. Jeśli po nią nie przyślą, ucieknie. Napędza ją moc tego pragnienia – olbrzymi ładunek energii wzbiera w jej ciele. Dojdzie do płotu, rozgrzebie ziemię niczym zwierzę, wykopie sobie tunel do wolności. Albo znajdzie jakiś inny sposób: górą, dołem czy na wprost, ale będzie wolna.

Przyciska czoło do ciepłej szyby i cichutko wdycha powietrze z wąskiej szczeliny pomiędzy oknem a futryną, napędzając nim płuca głęboko.

– Och, nie, ani się waż – chichocze jej do ucha Nancy i nagle Verla czuje krótki, twardy trzask zapinanych na jej nadgarstku dziecięcych plastikowych kajdanek, którymi Nancy przypina ją do kaloryfera. A potem wraca do zadawania bólu leżącej na leżance Hetty.

Dziewczyny leżą w swoich boksach i patrzą na pokryte pajęczynami belki stropowe, wołając czasem do siebie i po raz kolejny układając listy rzeczy, za którymi najbardziej tęsknią. Dla Rhiannon było to dzisiaj chrupkie pieczywo z delikatnym masłem i pastą vegemite.

– O, tak! – zawołała Maitlynd. A potem: – Ale tylko wieloziarniste! – Byle było to takie samo kremowe masło, którym wypełniają się dziurki w pieczywie i taki sam stos kwadratowych, chrupiących kanapek, po które sięgało się, kiedy tylko się chciało i ile się chciało, kręcąc się po własnym domu.

Leżały tak, czując smak chrupkiego pieczywa i wyobrażając sobie różne luksusy.

Gołe stopy bez pęcherzy. Na dywanie. Gorący prysznic. Wódka. Kawa. Papierosy. (Te, które nigdy nie paliły, miały szczęście; wszystkim innym przemknęła przez głowę wstydliva myśl, by zaoferować sobie Teddy’emu albo Boncerowi za jedno zaciągnięcie się, za ten gorący powiew w płucach, za szybkie i cudowne ugaszenie pragnienia).

– A może to! – Lydia proponuje pawilon w Moroubra w upalny dzień, obserwowanie surferów śmigających po lśniącym, zielonym oceanie, z drinkiem w dłoni i ogromnym talerzem frytek z rybą.

Aż jęknęły. Gorące frytki.

– I do tego gorący facet! – zawołała Barbs.

Zamruczały na zgodę. Z grzeczności, bo to frytki utkwily im w głowach.

Boncer pochylił się, odczepił klucz z pęku przy pasie i rzucił go na stół przed Yolandą.

– Idź i przynieś więcej jedzenia.

Spojrzała na niego z kluczem w dłoni. Pozostałe dziewczyny też patrzyły. Tego nigdy dotąd nie było. Klucza.

– Jezu Chryste, ale z ciebie głupia suka. Spizarnia!

Pięć minut albo poczuje jego pałkę, powiedział.

– Tę prawdziwą – dodał z krzywym uśmiechem i wypchnął krocze w jej stronę, gdy go mijała.

Gdy była przy drzwiach, wrzasnął:

– Marsz! – i po namyśle cisnął pałką, która uderzyła we framugę tuż obok jej głowy. Pałka z hukiem upadła na ziemię, a ona usłyszała, jak goni ją jego chichot, gdy maszeruje, wysoko wymachując rękoma, z kluczem mocno zaciśniętym w dłoni.

Zapadał zmierzch, gdy wyszła na zewnątrz, ptasie śpiewy opadały falami w mglistym powietrzu. To był pierwszy raz, odkąd się tu znalazła, gdy wolno jej było pójść gdziekolwiek samej, bez smyczy. Przez moment pomyślała o ucieczce. Ale dokąd?

Daleko ponad wzgórzem kruki ścigały orła, krążąc i nurkując na tle różowego nieba.

Pięć minut. Pobiegła po żwirze w kierunku szopy z wypłowiałego łososiowego azbestu stojącej na krzywych podporach, po szarych ceglanych schodkach i wsunęła klucz do kłódki. Jeden róg szopy zdobiły pozostałości pnącza bluszczu. Rozpięła kłódkę i popchnęła drzwi, klamka została jej w dłoni niczym odłamana kość.

Nigdy tu wcześniej nie była. Ani żadna z nich. Widziały tylko, jak Boncer i Nancy wchodzi i wychodzą podczas kolejnych tygodni, wynosząc po schodkach pudełka i kartony z pakowaną żywnością, i zawsze zamykają za sobą drzwi.

Wewnątrz panowała cisza i bałagan porzuconego miejsca. Światło wpadało do środka przez wysokie, pozbawione zasłon okna w jednym końcu pomieszczenia. Deski podłogi pokrywała gruba warstwa kurzu, a wszędzie stały wieże i leżały stosy kartonowych pudeł. Niektóre z nich rozerwano i splądrowano zawartość. Wydawało się, że nie ma w tym żadnego ładu czy porządku; sprawiało raczej wrażenie, jakby zrobiły to zwierzęta. Yolandzie przypomniały się opowieści o starych ludziach, którzy umierali w mieszkaniach socjalnych, o psach rozrywających ich klatki piersiowe. Usłyszała w głowie wilgotny, rytmiczny dźwięk zwierzęcych pysków i oddechów, miarowy zgrzyt zębów szarpiących mięśnie i narządy, trzask łamanych kości.

W przypominającej kościół ciszy poczuła gwałtowny przyływ zmęczenia. Miała ochotę położyć się tutaj, zbudować sobie domek z kartonowych pudeł, rozerwać opakowania z płatkami i wysypać ich zawartość. Uwić sobie gniazdo z tanich cornflakesów, pełnoziarnistych paluszków i wyblakłego dmuchanego ryżu.

Ale Boncer czekałby na nią ze swoją pałką. Yolanda zwalczyła ten szalony pomysł, powinna najpierw *zebrać informacje*. To właśnie zaplanowała w pierwszych dniach, gdy nad ranem czuła jeszcze przyływ adrenaliny. *Ucieczka* była słowem, o którym bez przerwy wtedy myślała, zaledwie parę tygodni temu, ale teraz wydawało się to głupie, dziecinne niczym chochliki albo gadające misie.

Popatrzyła, policzyła, zapamiętała, przedzierając się przez stosy pudeł, od lewej do prawej wzdłuż pozbawionej okien ściany. Trzydzieści cztery kartony, a w każdym dwadzieścia siedem złotych czarnych torebek makaronu do przygotowania w dwie minuty. Dziewiętnaście pudeł z pieczoną fasolką, w każdym trzydzieści sześć puszek. Dwadzieścia cztery pudła ryżu preparowanego, dwanaście pudeł pełnoziarnistych paluszków. Osiemnaście pięciokilowych puszek z mlekiem w proszku. Nawet Boncer, Nancy i Teddy jedli teraz to gówno, choć na początku mieli prawdziwe jedzenie, przechowywane widocznie i przygotowywane gdzieś indziej. W nocy czuć było zapach. Cebuli, mięsa. Dziewczyny leżały w upale w boksach, a ślina napływała im do ust.

Kontynuowała liczenie. Dwadzieścia sześć pudeł makaronu z serem i – proszę! – błyszczący, pojedynczy karton z gotową mieszanką do ciasta. Otworzyła go, wyciągnęła jedno z pudełek – maślane ciasto cytrynowe – rozerwała je i wsunęła aluminiową torebkę do majtek. Zje w łóżku.

Później stała obok Verli przy zlewie w kącie kuchni. Verla wyjmowała poobtłukiwane miski z mętnej, letniej wody i podawała Yolandzie, by je wytarła.

– Co widziałas w spiżarni? – zapytała.

– Nic – odparła Yolanda. – Makaron.

– Ile?

Poczuła, że Verla jej się przygląda.

– Nie wiem – odpowiedziała. *Trzydzieści cztery, dwadzieścia siedem, dziewiętnaście, trzydzieści sześć.* Domyśliła się, że Verla wie. Stwierdziła: – Nie miałam czasu, żeby policzyć, już i tak chciał mnie uderzyć.

Verla nic nie odpowiedziała.

Stały, zanurzając ubabrane naczynia w wodzie, zdrapując wysuszoną żółtą papkę brudnymi paznokciami. Yolanda poczuła nagle potrzebę, by powiedzieć Verli prawdę.

– Mnie nie oszukano – oznajmiła.

– Co? – spytała Verla.

– Nie zwabiono mnie tutaj. Wszystkie mówiłyście, że sprowadzono was tutaj podstępem. Mnie nie. Ja walczyłam. Wiedziałam, że te dupki chcą mnie porwać.

I tak Yolanda opowiedziała Verli swoją historię, stojąc przy zlewie z rękoma w brudnej wodzie. Opowiedziała jej o spotkaniu późno w nocy, o tym, jak Darren i Robbie ją tam zawieźli i czekali pod drzwiami. Pozwolili jej wejść samej, a w środku był prezes i kadrowa, i doradczyni ds. równego traktowania. I zaproponowano jej pieniądze, wypisano konkretną kwotę na papierze.

Yolanda popatrzyła na kręgi brudnej wody wokół znieruchomiałych nadgarstków Verli i opowiedziała jej, że od razu wiedziała, że ta laska od równości kłamie. Bo dlaczego spotykali się w środku nocy, dlaczego ta kobieta miała na sobie spodnie od dresu i była nieumalowana, zamiast nosić zakiet i obcasy, gotowa do występu przed kamerami? Te wszystkie kłamstwa, które jej powiedziała, ta suka deklamująca o standardach społecznych i sprawach *absolutnie nie do zaakceptowania*. Ale wszystko to było jakieś napięte, nerwowe, i ci faceci też byli cholernie nerwowi, stali ze wzrokiem wbitym w stół, ze skrzyżowanymi rękoma, w weekendowych ubraniach, T-shirtach i bojówkach, a nie w eleganckich garniturach, ze sterczącymi pod szyją błękitnymi krawatami, które nosili w telewizji, gdy wsiadali lub wysiadali z limuzyn w blasku fleszy. Raz po raz powtarzali:

– Nie do zaakceptowania, niestosowne – aż Yolanda rzuciła ze złością:

– Że niby co, jak spóźnienie się do cholernej filharmonii? Że to, co mi się przydarzyło, to przykład „złych manier”? – I cały czas zerkwała na drzwi, myśląc: *Gdzie jest Darren? Gdzie jest Robbie?* Ale laska od równości cały czas pieprzyła prawniczą gadkę o zadośćuczynieniu, o geście dobrej woli i tak dalej. A ci dwaj goście dalej się gapili, kiwając głowami, wszyscy tacy poważni, rzucając Yolandzie smutne uśmiešky pod tytułem: *grzeczna z ciebie dziewczynka*.

Verla i Yolanda słyszały na zewnątrz chrząszcze i żaby, bo właśnie się ściemniało. Yolanda przyciskała do piersi lśniący mokry talerz, gdy opowiadała Verli, jak nawet w tamtym momencie jej umysł nadal nie wiedział, jej głupi psi mózg starał się w to wszystko wierzyć – ale jej ciało wiedziało. Jak zawsze, jej głupie psie ciało wiedziało. A gdy spojrzała na półksiężyc wypolerowanego paznokcia na papierze, na leżące obok pióro i malutki znak x w odpowiednim miejscu, to jej ciało wiedziało, odmówiło tym razem, spowodowało, że wstała z krzesła i ruszyła do drzwi. I wtedy chwyciły ją wielkie dłonie i jej ciało kopało jak wściekłe, pluło i krzyczało, gdy laska od równości stanęła w kącie pokoju i ukryła twarz w dłoniach, a Yolanda opierała się i krzyczała. A pod drzwiami Robbie i jej ukochany Darren wiedzieli, co się dzieje. To właśnie oni ją wystawili.

– Więc tak. Mnie nie oszukano. I walczyłam.

Verla wie, że Yolanda mówi prawdę. I wtedy, wyobrażając sobie, jak Yolanda broni się i kopie, bo czuje, że stanie się coś strasznego, uświadamia sobie, że minął miesiąc i że jej stąd nie uwolnią.

Niczym wiadro zimnej wody oblewa ją świadomość, że nikt jej nie szuka. Nie ma żadnych petycji, żadnych protestów na Facebooku, żadnych spraw sądowych, żadnych potajemnych negocjacji. Wspomnienie umowy, którą podpisała – i to z własnej głupoty – sprawia, że się rumieni. Georgie Mullan, szefowa kadr, sprawiła, że to coś nigdy nie istniało, spaliła też Walta Whitmana, i gdzieś tam Andrew kiwa teraz smutno głową na jej słowa:

– Tak będzie najlepiej. – Wierząc w jej pieprzenie, że Verla wyjechała z kraju, że się ukrywa, że jest pod czyjąś opieką. Georgie o kamiennym sercu prowadzi Andrew z powrotem do żony i dzieci, bo *tak będzie najlepiej*.

I Verla Głuptas pozwala, by tak się stało, jedząc ostrygi i przekazując Whitmana *w bezpieczne ręce*, z wdzięcznością podpisując fałszywe prawnicze dokumenty, w tym samym momencie, gdy Yolanda wrzeszczy, kopie i gryzie. Yolanda się opierała, ale Verla się zgodziła. *Ona jest silniejsza ode mnie*.

Pozostałe dziewczyny rozmawiały ze sobą po cichu przez te wszystkie dni, tworzyły między sobą sojusze, żaliły się, przekonywały, opowiadały własne historie, sprawdzały sobie wzajemnie, czy nie mają kleszczy albo wszy. Pocieszały się, okłamywały, paktowały. Płakały za matkami i ojcami, za domem. Verla odczuwała zażenowanie i litość, ponieważ wiedziała, że Andrew ją uratuje, wierzyła, że ktoś nad nią czuwa i za nią tęskni.

Teraz, stojąc przy zlewie, pragnie już tylko jednego: znaleźć się z powrotem w tamtej spokojnej restauracji, by móc roztrzaskać kieliszek, chwycić za fantazyjny francuski nóż do steka i wepchnąć go Georgie Mullan głęboko w gardło.

Yolanda mówiła prawdę o tym, jak została porwana, ale kłamie na temat spizarni: widziała tam coś, o czym nie chce powiedzieć, coś, czego nie chce ujawnić. Yolanda i Verla trzymają się osobno, żeby przetrwać. Taka łączy ich więź.

Verla to wie, bo ona też ma swoje sprawy, zachowuje dla siebie tajemnice, którymi nie dzieli się z innymi: swoje sny i konia. Słyszała w nocy białego konia. Inne też słyszały, ale myślą, że to dingo albo opos, myślą, że to Boncer, Teddy albo nawet Nancy, szura wokół boksów, kręcąc się po nocy. Tylko Verla widziała jego biały bok, kiedy mijał jej okno w świetle księżycy, i czuła jego oddech. Uniósł swoją podłużną, piękną głowę, zamarł w bezruchu pośród ciemności i patrzył na Verłę, oddychając spokojnie i głęboko, gdy mu się przyglądała, i ona też oddychała wtedy spokojnie i głęboko.

– Przyjdź po mnie – szepnęła do niego i koń zrozumiał. Przyjdzie.

W ciągu dnia Verla, dźwigając betonowe bloki, ukradkiem rozgląda się po wzgórzach. Tego ranka widziała mignięcie bieli, przez ułamek sekundy, na dalekim wzniesieniu, pośród ciemnego, karłowatego buszu. Pewnej nocy on przyjdzie, a ona wymknie się jakoś i wespnie na szeroki biały grzbiet, przylgnie do jego długiego ciała, wsunie palce w grzywę, a on ją zabierze.

Woda w zlewie chlupocze. Yolanda wyjmuje kolejną miskę z rąk Verli.

Wchodzi Boncer, coś żuje w ustach. Wysuwa krzesło i siada, opierając się wygodnie, z szeroko rozpostartymi nogami i obserwuje, jak Yolanda zmywa. Patrzy na jej ciało, Verla to wie. Kolejna obserwacja, którą nie podzieli się z nikim.

Verla oczami wyobraźni widzi siebie, jak odwraca się nagle od zlewu i rzuca wirującym talerzem, który uderza Boncera w głowę. Widzi swoje silne, pokryte odciskami dłonie, jak rozbijają krzesło i tłuką Boncera na miazgę ostrym końcem odłamanej drewnianej nogi, jak jej kolana dociskają jego klatkę piersiową, a ramiona szybko i mocno uderzają tą nogą, masakrując jego twarz. Trudno go w końcu rozpoznać, krew wsiąka w dziury w starym linoleum.

Podaje kolejny ociekający talerz Yolandzie. Na zewnątrz kakadu zaczynają wieczorny koncert. Boncer siedzi, gapi się na Yolandę, powoli przesuwał smycz w dłoniach.

Gdy kończą zmywać, mężczyzna spina je razem i prowadzi z powrotem do boksów. Nie jest jeszcze na tyle ciemno, by widać było gwiazdy, ale dziewczyny i tak ich wypatrują.

Liczne wady Hannah to ulubiony temat Teddy'ego, który często do niego wraca podczas rozmów z Boncerem. Może właśnie nad nim medytuje, oddychając tantrycznie podczas długich, trudnych sesji jogi, jakie odbywa na werandzie. W upalne dni zsuwa kombinezon aż do kostek, a pot lśni na jego pięknych nagich plecach, gdy zmienia asany. Teddy ma wyraźne różowe brodawki i jasnozłote włoski na piersi.

Przy budowanej właśnie drodze Rhiannon i Leandra dochodzą do wniosku, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zrobić to z Teddym. Wcześniej wszystkie są zgodne, że Teddy byłby w łóżku okej. Ale im częściej słyszą, jak narzeka na tamtą Hannah z przeszłości, tym silniejsze mają wrażenie, że seks z Teddym byłby jak dzielenie łóżka z kimś, kto uprawia seks z samym sobą. Hannah i jej owłosione nogi, jej głośny oddech, którego nie lubił, sposób, w jaki go tak cholernie bezsensownie krytykowała, drobnomieszczańskie gówniane poglądy i te jej niedojrzałe oceny polityczne – wszystkie te wady Hannah dziewczyny potrafią dostrzec w samych sobie i zaczynają czuć się małe i nagie. I coraz trudniej jest im pomyśleć, że mogłyby mieć ochotę na seks pod niezwykle krytycznym spojrzeniem Teddy'ego. Wreszcie Izzy oznajmia, że:

– Teddy to taki rodzaj faceta, który opowiadałby kolegom jakie małe masz cycki w minutę po tym, jak obciągnęłaś mu fiuta.

To prawda – zgadzają się i od tamtej pory gardzą Teddym niemal tak mocno jak Boncerem.

W nocy Boncer i Teddy wciąż przychodzą posiedzieć i popalić na rozpadających się wiklinowych krzesłach. Verla słyszy, jak rozmawiają o profilu Boncera na jakimś portalu randkowym. O wiadomościach, których nie odbiera, o tym, że martwi się, czy czegoś nie przegapi, że dostaje serduszka i całuski od wszystkich tych kobiet, które są gotowe i tylko na niego czekają, ale ponieważ nie odpowiada, zapominają o nim.

– Zawsze piszę na końcu: *Tak powinno się traktować kobietę, więc jeśli chcesz przetańczyć całą noc...* – żali się Boncer.

Po chwili ciszy Teddy odpowiada:

– Brzmi świetnie, stary.

– Wcale nie słuchałeś, ty fiucie.

– Właśnie, że tak – protestuje Teddy. – Tylko się zamyśliłem.

Rozlega się wełnisty trzask rozpalanej zapalki. Jeszcze nie brakuje im tytoniu, ale już go racjonują. Zioło Teddy'ego skończyło się kilka dni temu. Leżąc na pryczy, Verla wyobraża sobie ich dwie głupie twarze, rozświetlone na moment, słyszy wdychane i wydychane powietrze i czuje intensywny zapach dymu, widzi Teddy'ego z bosą stopą założoną na kolano i wyciągnięte nogi Boncera rozpartego na zapadającym się krześle.

– Laski lecą na taniec – stwierdza Teddy ochrypłym od dymu głosem. – Mógłbyś poćwiczyć z Nancy.

Boncer wzdycha.

– Neeee – ale w jego głosie słychać tęsknotę.

Tętno Verli wie, co teraz nastąpi. Czarny wąż o czerwonym brzuchu przemyka przez jej mózg, prześlizgując się pośród trawy.

– No to... – mówi przebiegle Boncer. – Z którą byś chciał?

I wtedy on i Teddy, obaj na raz, mówią:

– Kovacs! – i wybuchają śmiechem.

Teddy zaczyna wygłaszać swoje standardowe ostrzeżenie o sraniu we własne gniazdo, ale zaraz milknie. Od dawna żaden z nich nie wspominał o bonusach.

I wtedy w głosie Teddy'ego pojawia się drzenie nadziei, gdy mówi:

– To myślisz, że Hardings przyjedzie tym razem?

Kolejna chwila ciszy. Ćmy stukają o blachę.

– W pierwszym tygodniu przyszłego miesiąca, tak sądzą – odpowiada Boncer. – Ale tak mówią

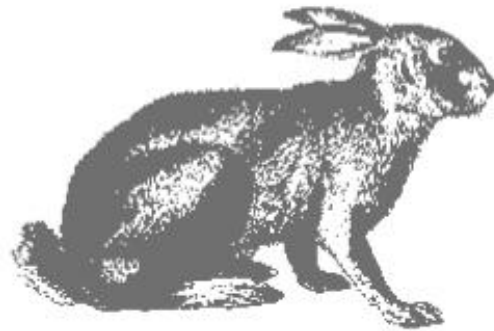
za każdym razem.

Zapada posepna cisza. Noc nabrzmiewa, a wąż Verli wślizguje się z powrotem pod podłogę. Verla widzi, jak Teddy ponuro gładzi długi łuk własnej stopy opartej o kolano.

– Cipy – rzuca Boncer.

Gdy odchodzą, Verla stoi chwilę przy oknie i spogląda w gwiazdy. Potem kładzie się do łóżka, zapada w sen i budzi się, próbując usłyszeć miękkie, nieregularne dźwięki kopyt i ciepły oddech księżycowego konia, ale ten nie przychodzi.

CZĘŚĆ II
JESIEŃ



Chmury zbierają się i piętrzą, tworzą się na nowo, a potem znikają. Całe srebrne imperia wznoszą się i opadają pośród przepastnych błękitnych niebios.

Mijają miesiące.

Nie pytają już o powrót do domu, nie nasłuchują dźwięków samolotu, ciężarówki czy traktora. Daszki czepków nie są już tak sztywne, a skóra znoszonych butów tak twarda. Ich dzień wyznacza rytm marszu, pracy, snu, odrobiny jedzenia z pudeł w spiżarni. Niektóre zachorowały i wyzdrowiały, inne nadal kuleją. Złamana żuchwa Barbs zrosła się, choć nieprawidłowo: już nigdy nie będzie w stanie gryźć prosto. Poparzona ręka Hetty jest rozogniona, widnieje na niej ciemnoczerwona, napięta i lśniąca blizna, ale już prawie nie swędzi.

Boncer nadal wszędzie nosi ze sobą swoją pałkę i czasami brutalnie nią bije, ale zwykle zwisa ona bezużytecznie u jego pasa. Nie ma już na to codziennie siły. Teddy związuje teraz swoje dredy szmatkami z podartych ściereczek kuchennych Hardings; *GODNO...*, ...*UNEK* i ...*CZENIU* głosi drobny niebieski druk na przetartych skrawkach płótna owiniętych wokół jego gęstych strąków. Nancy porzuciła minispódniczkę na rzecz za dużego kombinezonu, jaki noszą mężczyźni. Podwija tylko rękawy i nogawki. Pozbyła się też teatralnych rekwizytów. Zostawiła tylko czepek pielęgniarki, który nosi przypięty wsuwką do zaniedbanych jasnych włosów. Czepek jest pogięty i tłusty od palców, ale Nancy nie rezygnuje z niego. Cały czas narzeka na nudę, aż Boncer wrzeszczy na nią:

– Do kurwy nędzy, jesteś gorsza od nich!

A potem ona siedzi nadąsana na werandzie, z zaczerwienionymi oczami i wodzi wzrokiem za Boncerem, próbując go zadowolić.

Dziewczyny wciąż są spinane razem podczas wyprowadzania lub wprowadzania do boksów. Pracują na zewnątrz, pieląc chwasty albo sypiąc i grabiąc żwir. Stos betonowych elementów zniknął, zostały ułożone w sięgającą gdzieś daleko linię. Korytarz pod budowę drogi został już oczyszczony, a twarda, sucha ziemia wyrównana ich własnymi rękoma przy użyciu staroświeckich motyk i grabi. Wzniesiono też i utwardzono nasyp, żeby pobocza nie uległy erozji. Czasami, podczas okopywania i wrywania sięgającej kolan trawy, dziewczyny krzyczały, wypuszczały narzędzia z rąk i odskakiwały od pełnącej linii węży, brązowych albo czarnych z czerwonymi brzuchami, albo tupiącej i wijącej się talii waranów o grubych karkach. Ptasie wołania spadały z nieba przez cały dzień, a dziewczyny – wyedukowane przez Leandrę z woja, miłośniczkę ptaków – już je rozpoznawały: nie tylko wrzaski zwykłych kakadu albo kakadu cienkodziobych czy skrzeczenie lorys, lecz także delikatniejsze głosy wachlarzówek, srokaczy, fletników czy kani. A w nocy smutne, żałobne wołania kulonów.

Nadal sądzą, że Hardings przyjedzie. Wierzą w to.

Ciała dziewczyn zahartowały się, przybyło im mięśni. Ich skóra stała się grubsza od fizycznej pracy, palącego słońca i kurzu. Większość straciła czepki i teraz drapią się wściekle po gęstych i nierówno odrosłych włosach. Zwykle któraś ma wszy.

Słońce praży coraz słabiej, noce stają się dłuższe. Ciemność wpełza wcześniej i zostaje.

Wielki pajak spAchacz patroluje sufit w boksie Verli, czając się w tym samym miejscu przez wiele dni. Boksy są teraz chłodniejsze nocą.

Verla śni o drapaniu po twarzach, płuciu i walce.

Pewnego dnia budzi się w ciszy. Boncer nie przyszedł ich obudzić, waląc jak zwykle w blaszane ściany. Verla patrzy na światło, które wpada do pokoju i orientuje się, że nie jest już wczesny rano. Słyszy, że inne dziewczyny kręcą się na pryczach.

– Co się dzieje?! – woła.

– Nic – odpowiadają.

Przez swoje okienko nie dostrzega żadnego ruchu, nie słyhać też żadnych dźwięków. Nikt nic nie wie.

I wtedy Hetty woła radośnie:

– Zaspali! – i zaczyna opowiadać o swoim ostatnim śnie. Jak zwykle dotyczył jedzenia. Ale nie takiego, jakie zna. Śniła jej się, że była na safari, że była jakimś zwinnym zwierzęciem, *drapieżnikiem*. Śniła o tym, jak zatapia ostre zęby w miękkim mięsie na brzuchu zebry. Opisuje moment ekstazy, gdy jej kły przebijają skórę. Gdy zanurza twarz we krwi i wciąż pulsujących życiem wilgotnych mięśniach.

– To nie o jedzeniu, tylko o seksie! – woła Maitlynd trzy boksy dalej.

– Obrzydliwe. – To Lydia prawie z samego końca.

– Lesbijskim seksie! – wrzeszczy Maitlynd.

– Chciałabyś – prycha w odpowiedzi Hetty.

Milkną na powrót, opadając na skrzypiące łóżka. Cykady zaczynają swój śpiew, a Verla zapada w płytką drzemkę.

Kiedy się budzi, nadal nie słyhać nic poza bzyczeniem much oraz skrzypieniem dachu i ścian nagrzewanych stojącym coraz wyżej słońcem.

W końcu Leandra woła przez ściany:

– Joy, zaśpiewasz dla nas?

Joy niemal nie otwierała ust, odkąd tu przybyła, i prawie niczego nie powiedziała im o tym, co wydarzyło się w PerforMAXX. Wiedzą tak naprawdę tylko to, czego wszyscy dowiedzieli się z gazet i relacji z sądu: o ojcowskich „niedźwiedzich uściskach” Gordo, próbach i groźbach, o załamaniu Joy na oczach widzów i łzach, które wszyscy wzięli za tremę, podejrzewając Joy, że traci panowanie nad sobą i marnuje talent, podczas gdy chodziło o to, co Gordo lubił jej robić w dźwiękoszczelnym studio, gdy wszyscy inni rozeszli się do domów. Joy została wyeliminowana i na dobre przestała śpiewać.

W jej boksie panuje cisza.

– Prosimy! – woła Rhiannon, ale nie doczeka się odpowiedzi. Wiedzą, że Joy nie zaśpiewa; nigdy nie śpiewa, choćby prosiły nie wiadomo jak. Hetty znowu zaczyna opowiadać o swoim śnie, gdy nagle słyszą niski, rytmiczny i drapiący dźwięk. Jednocześnie obcy i znajomy, dochodzący z boksu Leandry. Hetty przestaje mówić, a wszystkie nasłuchują narastającego zgrzytu, nie do końca potrafiąc go określić, pragnąc jednak, by nie cichł. *Skrob-u-skrob-u-skrob*, słyhać drapanie, coś, co pamiętają z dawnych czasów. I to działa: drapanie wyzwala głos Joy, zobowiązany przez ten skrobiący rytm, i jej ciało reaguje. Głos wydobywa go z niej, silny, bogaty i czysty.

– *There's a fire* – zaczyna – *starting in my heart*.

Verla go słyszy, wszystkie go słyszą, jak wędruje po belkach dachu i krzywiznach blachy. Ten głos, bogaty i niski. Słyszą piosenkę Joy, tę piosenkę, dzięki której miała wygrać. Cover, który brał ją w posiadanie co tydzień. Mogły to oglądać wszystkie nastolatki w kraju: jak ćwiczy przy pianinie, jak płacze po kątach, zaczyna od nowa, śpiewa coraz lepiej, a jej głos nabiera mocy i przekonania.

Dziewczyny leżą teraz w całkowitej ciszy, słuchając ciemnego, miodowego głosu Joy, jak staje się coraz wyraźniejszy. I wtedy zaczyna się druga zwrotka, i nagle rozlega się dźwięk perkusji z desek pod ciężkim butem Lydii, a potem dołącza do niej Rhiannon – głuchy, plemienny grzmot blaszanej ściany jej boks. I raptem zaczyna Maitlynd, a potem Barbs. I ten głęboki tętent dżungli wydaje się wydobywać z samej ziemi, roznosząc się po włóknach podłóg i ścian, przez ich ciała, po suficie od dziewczyny do dziewczyny, a ponad nim wspina się głos Joy i wkrótce cały rząd boksów aż huczy

rytmiczną pieśnią z samych trzewi.

Głos Joy wzmagą się, unosi, woła z gorzką wściekłością, wykrzykuje blizny na jej zniewolonym sercu, śpiewa z samej głębi jej rozpacz. Wszystkie dziewczyny teraz stoją, uderzając w bębny ścian, wytupując butami i pięściami miesiące smutku i gniewu, każda uderza za siebie, ale większość za Joy, aż w końcu pieśń się kończy i boks za boksem perkusja łagodnieje, cichnie i zanika, aż jedynym dźwiękiem pozostaje czysty głos Joy: opanowany, bogaty i pełen goryczy. Głos Joy, której prawie się udało.

Jest już środek popołudnia, gdy na zwirowej ścieżce rozlegają się lekkie kroki Nancy. Słyszą, jak wchodzi do ciemnego korytarza, pociągając mocno nosem, gdy przesuwają się wzdłuż drzwi do boksów i woła:

– Wstawać, leniwe zdziry! – Ale zajmuje jej to więcej czasu niż Boncerowi, gdy z trudem przekręca klucze w porzewiałych kłódkach.

Barbs krzyczy:

– Co się dzieje, Nancy? Dlaczego nas nie wypuściliście?

Verla leży, nasłuchując.

– Pilnuj swojego kinola – odpowiada Nancy, ale wydaje się zdenerwowana.

Stają w świetle dnia. Nadal tli się w nich moc gorzkiej pieśni Joy o złamanym sercu i choć Nancy nie mogła nie usłyszeć hałasu, zachowuje się tak, jakby nic nie słyszała. Verla obrzuca ich szereg nowym spojrzeniem, dostrzega, jak bardzo się wszystkie zmieniły. Jak się postarzały, jak stwardniały, jakie są brudne. Czy rozpoznałyby je ich własne matki? Włosy odrastały im zmierzwioną gęstwina, niczym futro oposa. Ciężkie od brudu, natłuszczone jak pióra, przerzedzone i zmatowiały od suchego śmieciowego żarcia, jakie jedzą. Mówią, że jej włosy są najgorsze. Krzaczaste, matowe pod palcami niczym szorstkie futro. Nie ma pojęcia, jak wygląda. Nigdzie tutaj nie ma żadnego lustra, poza odłamkiem, z jakim przyłapano kiedyś Izzy na pastwisku. Znalazła je, pokryte plamami rdzy, pośród pajęczyn i szczurzych bobków za jednym z koryt przy starej pralni i ostrożnie ukryła w tunice. A potem wymknęła się w środku dnia z pracy przy drodze i stanęła na pastwisku, trzymając kawałek lustra wysoko w obu dłoniach, obracając go i przechylając, przeczesując niebo. Gdzieś musiały być satelity

– Google Earth, halo? – i ktoś powinien zobaczyć błysk lustra. Rhiannon parsknęła, że Google Earth nie aktualizuje mapy gównianej okolicy pośrodku pustyni, gdzie nikt nie mieszka. I choć wszystkie wiedziały, że Rhiannon ma rację, Izzy upierała się przy szukaniu pomocy i stała tam dalej z tym lusterkiem, nawet gdy krzyczały do niej, że idzie Boncer. Tak ją zbił, że wciąż nie mogła normalnie chodzić, a to było ponad miesiąc temu.

– Gdzie Boncer? – pyta teraz Yolanda Nancy.

Wszystkie obserwują ją, gdy przechodzi wzdłuż szeregu, spinając je razem. Z łatwością mogłyby ją obezwładnić, myśli sobie Verla – Nancy jest chudsza od nich wszystkich, ma bladą cerę i rzadkie włosy. Ale jaki by to miało sens? Dokąd by poszły? Siła pieśni Joy wycieka z niej, romantyczny poryw wydaje się teraz w twardym świetle dnia głupi.

Gęsty busz pełźnie po zboczach, noce stają się chłodniejsze.

Nancy spina je razem, jedną po drugiej. Na wzmiankę o Boncerze gwałtownie spuszcza wzrok i kieruje go na swoje zajęte pracą palce. Coś się dzieje.

– On... ma spotkanie! – stwierdza, krzywiąc się i próbując wyciągnąć klucz z lepiącego się zamka u smyczy Joy.

Dziewczyny prychają i patrzą po sobie. Verla zabija komara. Wielkich, powolnych insektów jest coraz więcej, roją się w błotnistych płycznach zalewu przy tamie. Wszystkie dziewczyny są pogryzione, niektóre całe czerwone i pokryte strupkami.

– Jakie, kurwa, spotkanie? – To Lydia, w jej małych czarnych oczkach lśni sarkazm, ręce oparła na biodrach.

Przez moment Verla widzi ją na pokładzie statku wycieczkowego: uniesiony wysoko podbródek,

lśniące włosy zaczesane do tyłu, obcisła sukienka bez ramiączek z czarnych cekinów, która widniała na wszystkich zdjęciach. Rzęsy kąpiące tuszem i pożądaniem, grube seksowne usta pełne zębów i śmiechu. Zanim wszystko się wydarzyło, gdy Lydia była tylko śliczną Maltanką obecną na imprezie, nieco pijaną i gotową na wiele, gdy nawet napierdolony dragami drań w opiętym T-shircie wciąż mówił o niej Lydia, a nie: *to coś, ta brzydka czarna suka*.

Nancy obraca się i uderza Lydię mocno w twarz płaską dłonią. Lydia wrzeszczy, pozostałe krzyczą w szoku, a potem łapią Lydię za rękę, żeby nie oddała Nancy.

– Komar, kochanie, przepraszam! – wyśpiewuje złośliwie Nancy. Wraca do pracy, mocno pociągając smycze. – Dobra, marsz, grubasy!

Gdy tupią rzędem po ścieżce, Verla obserwuje grube, umięśnione ramię Barbs, poruszające się pod tuniką, silne węzły jej karku, kanciastą czaszkę. Nierówną opuchliznę po jednej stronie twarzy z powodu złamanej wcześniej zuchwy. Na długo przed dzisiejszym dniem opanowały do mistrzostwa rytm marszu, gdy są spięte razem, więc żadna z nich już nie szarpie się ani nie potyka. Ten sposób poruszania się, jedna za drugą, stał się czynnością niewymagającą uwagi, podświadomą. Ale dziś gubią rytm, są niespokojne. Gdzie jest Boncer?

Verla obserwuje podczas marszu całe otoczenie, a dziwne zachowanie prowadzącej ich Nancy sprawia, że widzi je inaczej: pochyle płyty podwórek, zapadającą się szopę do strzyżenia, niski korytarz do przepędzania owiec, rampy i zjeżdżalnie w przegniłym ciemnym wnętrzu szopy. Szuka białego konia na wzgórzu, ale nie widziała go już od tygodni.

Szarpnęło ją do przodu. Tuż przed nią wytatuowane skrzydło motyla wypełza spod szorstkiego materiału tuniki Barbs – koniuszek różowo-pomarańczowego skrzydełka z czułkiem w kolorze grafitu – i skręca na szeroki, czerwony kark od strony lewego ramienia. Rząd porusza się niezgrabnie, gdy Nancy pociąga za smycze, powodując, że potykają się i wpadają na siebie. Verla musi obserwować ruch pozdzieranych obcasów butów Barbs, niemal białych od słonego potu. Jej muskularne łydki porastają grube czarne włoski.

W pierwszym miesiącu, na początku, wszystkie drapały się przez tuniki, gdy ich włosy łonowe błyskawicznie odrastały, podciągały spódnice, żeby wsunąć rękę do majtek. Stawały okrakiem nad betonowymi elementami i drapały się jak szalone po krocach, niektóre bardziej niż inne przerażone wyrastającymi wszędzie włoskami. Joy płakała, nigdy wcześniej nie widziała w pełni wyrosniętych włosów łonowych, matka zabrała ją na woskowanie, odkąd tylko zaczęły się pojawiać. Bezwłosa i gładka jak marmur, taka była Joy. Do teraz.

Verłę nie obchodzą już włosy. Ani Yolandę, ani Maitlynd, ani Hetty. Ale Lydia i Joy wyprosiły od Nancy pęsetę i całe wieczory spędzają, ślęcząc nad swoimi kończynami i wrywając włoski jeden za drugim, krzywiąc się i jęcząc.

– Dobrze im tak – mówi Yolanda. – Będą pierwsze w kolejce, gdy Boncer i Teddy w końcu uznają, że mogą sobie którąś wybrać.

Od czasu do czasu Verla przypomina sobie wstrząśnięta, że nie są dziećmi, że nie są dziewczynkami, tylko dorosłymi kobietami, gdzieś w świecie, w Australii. Gdzieś w tym samym kraju są miasta i internet, i rządy, i rodziny, i galerie handlowe, i uniwersytety, i porty lotnicze, i biura, gdzie wszyscy zajmują się swoimi sprawami, a wszystko działa, jak należy. Verla czuje, jak z samego dna jej wnętrzości narasta ból na wspomnienie słowa *rządy*. Czy Andrew wciąż chodzi po korytarzach i zatrzymuje się przy drzwiach? Rzucając to elektryzujące, ironiczne spojrzenie, gdy bierze cię za rękę i wciska w nią broszurę? Ogarnia ją zimny dreszcz, gdy maszeruje, wstyd, że znowu pragnie jego dłoni, pożądanie, które rośnie w niej, gdy go sobie wyobraża.

Za trzecim razem, gdy się spotkali, wsunął jej do rąk „*Żdźbła trawy*”, gdy podrzucił ją do miasta, a potem jego taksówka odjechała. Czytała i czytała te niezgłębione wersy, nie rozumiejąc z nich niczego, ale chłonąc je, więc nawet teraz ozdabiają jej pamięć kunsztownymi modlitwami i inkantacjami. *Ukołysz wzburzoną falą, spryskaj miłosną wilgocią*[1].

Nieliczne czepki, które przetrwały, kiwają się w rzędzie za Nancy. Dziewczyny właściwie porzuciły nakrycia głowy w taki czy inny sposób. Verla spaliła swój w piecu do palenia odpadów,

a pozostałe, jedna po drugiej, też pozbyły się swoich, gdy tylko miały okazję: podarły na strzępy, mówiąc, że to przez wyżymaczkę, zakopały i skłamały – co skutkowało biciem, jak w przypadku Yolandy – że wiatr musiał porwać czepek ze stosu cegieł, w chwili gdy pracowały, i unieść daleko w busz. Lecz Hetty, Maitlynd, Joy i kilka innych jakoś się do nich przywiązało i zawsze je nosiły. Jakby były uzależnione od ścisłego opakowania głowy, obejmującego uszy, od ograniczonego pola widzenia. Verla to rozumie, choć ma dystans. Kiedyś odczuwała wobec nich pogardę, że wciąż noszą czepki, ale już tak nie jest. Mimo wszystko dla niej ten beznadziejny cuchnący łańcuch to gorsze więzienie, niż to całe miejsce.

Coś dzieje się na początku rzędu.

Nancy gwałtownie je zatrzymuje, rozpina Yolandę i wysyła ją do spiżarni, żeby przyniosła *cokolwiek, co znajdzie*. Yolanda i Verla wymieniają spojrzenia, zanim ta pierwsza wyruszy.

Reszta wlecze się w górę wzgórza, a potem po suchych drewnianych stopniach i po zapadniętych deskach werandy. Nie ma ani Boncera, ani Teddy'ego. Wpadają na wilgotny chłód linoleum jadalni, zostają rozpięte, siadają i czekają z łokciami na stole, wpatrując się w swoje brudne paznokcie. Duży pojedynczy komar unosi się w powietrzu przed Verlą. Dmucha w jego kierunku; owad przewraca się w powietrzu, ale odzyskuje równowagę. Powinno być już za zimno na komary.

Wraca do swoich fantazji, w których zabija Boncera. Uderzając go ciężkim kamieniem w głowę, dusząc smyczą, wbijając kuchenny nóż w klatkę piersiową (wszystkie są jednak tępe, sprawdziła). Spychając go z jakichś schodów, ze skały, z klifu. Najpraktyczniejszy byłby płot elektryczny; mogłyby popchnąć go na druty i przytrzymać – ale jak sprawić, żeby wstrząs elektryczny ominął ich własne ciała i nie zabił ich wszystkich? Przez ugryzienie węża albo pająka? Rozgląda się za nimi, próbuje złapać, ale nie udaje jej się. Siekierą. Dusząc we śnie. Rozwalając mu czaszkę jego własną pałąką. Przywiązując do słupa i licząc na sępy. Do tej pory Verla nie zdawała sobie sprawy, że nosi w sobie takie pokłady przemocy. Nawet gdy Andrew został zmuszony, by się jej wyprzeć, nie pragnęła takiej zemsty. Nie tylko wyobraża sobie śmierć Boncera i własną wolność. Chwile, którymi żyje jej wyobraźnia, to momenty upokarzania, momenty gdy Boncer płaszczy się przed nią i skomle.

Komar wraca, zawisa w powietrzu, dziwnie ogromny. Verla wzdycha, ponownie klaska w dłoń. Ale on żegluje spokojnie do przodu, sunie celowo i miarowo. Jest już za zimno na komary, ale ten jest tłusty i nadal lata.

Verla dziwnie się czuje. I dziwnie pachnie, co odkryła zeszłej nocy, gdy wyszła na zewnątrz wysikać się na trawę, a głowa opadła jej na pierś ze zmęczenia, gdy przykucnęła. Wciągnęła zapach swojej bluzki i poczuła nie tylko znajomy smród swojego ciała, nie tylko brud, ale też coś kwaśnego i obrzydliwego. Teraz też to czuje, jak unosi się wokół niej. Kładzie głowę na stole, opierając ją na skrzyżowanych ramionach.

Na odgłos bzyczenia komara przy swoim uchu zrywa się nagle i klaska tuż przy głowie. Gdy rozchyła dłoń, jest tam, olbrzymie zmiażdżone czarne *coś*, a wnętrza jej dłoni są całe we krwi. Czyjej krwi? Rozgląda się po siostrach: ich ziemistych, pogryzionych przez komary twarzach, po czarnych oczach głęboko zapadniętych wśród pożółkłej skóry, wpatrzonych w stół lub ścianę.

Nie jadły niczego świeżego, odkąd się tu znalazły. Nic dziwnego, że mają taki blade, chorobliwy wygląd. Verla wyciera zakrwawione dłoń o brudne fałdy spódnicy i odchyła się na krześle do tyłu. I wtedy zauważa, że upstrzony muszymi odchodami sufit pokrywają delikatne włoski nieruchomych komarów. Są ich setki; nie ruszają się, nie szukają, nie są głodne. Czekają.

Co za głupoty pieprzyła ta Nancy! Gdy Yolanda stanęła na pokruszonym betonowym progu spiżarni, obejrzała się, żeby spojrzeć na resztę dziewczyn, wchodzącą po schodkach do jadalni. Z Nancy na końcu, nerwowo pociągającą jeden ze swych cienkich warkoczyków i rozglądającą się w poszukiwaniu Boncera lub Teddy'ego.

Spotkanie. Z kim, w jaki sposób? Chyba że był tu jakiś telefon albo laptop, o którym nie wiedziały. Jednak Nancy była zdenerwowana i czuło się, że szykuje się coś złego. Coś gorszego niż

zwykle.

W spiżarni cuchnęło kurzem i tekturą, a Yolandzie wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić to, co już wcześniej wiedziała: zimą jedzenia zabraknie.

Yolanda starała się liczyć zapasy przez minione miesiące i teraz przekonała się, że miała rację. Światło wpadające przez zaplamione okno ukazywało pomieszczenie wypełnione wielkimi pustymi pudłami. Zaczęła przeszukiwać je wśród suchej, odbijającej echo przestrzeni: chwycić, łapać, przewracać, kopać, by sprawdzić, ile waży.

Zaledwie trzynaście pudeł zawierało cokolwiek, a były to makaron i zupa w proszku. To niemożliwe. Zaczęła od nowa, przemieszczała się metodycznie od pudła do pudła. Od czasu do czasu jakaś saszetka wypadła spod kawałka tektury na dnie pudełka, a ona podnosiła ją i potrząsała.

Po dwudziestu minutach sprawdzania i wielu pustych kartonach znalazła suchego prowiantu zaledwie na około dziewięć tygodni. Nie było już żadnej puszki. Przetrzęsła saszetki i pakieciki: mleko w proszku, batoniki muesli, ziemniaki w proszku, liofilizowany groszek. Makaron z serem w proszku.

Musi być więcej. Zaczęła od nowa.

W końcu jakimś cudem znalazła jedno duże nieotwarte pudło, nareszcie ciężkie. Rozerwała sięgający jej ud brązowy karton, bez żadnych oznaczeń, poza numerami i kodem paskowym. Ogarnęła ją ulga: niewiele tego będzie, ale przyda się wszystko, co pozwoli im przeżyć.

Ale to nie było jedzenie. To były bandaże i opatrunki, plastry, maści z antybiotykami, lateksowe rękawiczki. Yolanda głośno wypuściła powietrze: ktoś przewidział, że będą potrzebować środków medycznych. Były tu antyseptyki, antybiotyki, sól fizjologiczna. Łubki i środki oczyszczające, dezynfekujące oraz detergenty! Wata, środek odkażający, pianka na oparzenia. Opatrunek hydrożelowy – też na oparzenia. Przez wszystkie te miesiące do sączącej się ręki Hetty kleiły się stopy nasiąkniętego ropą papieru toaletowego, infekcja gonila infekcję, będzie teraz miała blizny do końca życia. A Nancy nigdy, nigdy nawet nie zbliżyła się do tego pudła, nawet go nie szukała! Dziewczyny wiedziały, że będą skazane na śmierć, jeśli nie będą w stanie leczyć się same.

W ciele Yolandy wzbierała wściekłość, czuła jak grzechocze jej kośćmi, jak pędzi pociąg pełen furii. Rozerwała opakowania, wszystko wyciągnęła. Zanieśie to im, rzuci w Nancy, wetknie opatrunki w jej brzydką małą gębę i udusi ją nimi, wbije jej w gardło tę precyzyjną, sterylną pęsetę ze stali węglowej!

Na dnie pudła leżało coś, co Yolanda pamiętała z odległej przeszłości. Było takie małe, dobrze znane i zwyczajne, że aż poleciały jej łzy. To było błyszczące, pastelowe opakowanie podpasek.

Och. Och.

Przez wszystkie te miesiące te obrzydliwe, przemakające szmatki wpychane do majtek. To było gorsze od wszystkiego, od głodu, od bicia, od infekcji czy obrażania. Mokry gałgan ze zużytych ścierek, postrzępionej zasłony, przetartego prześcieradła, starych majtek albo flanelowej koszuli podartych na kawałki i pasy. Poskładane i zwinięte w paskudny zwitek, wepchnięte, żeby jakoś to sobie tam dopasować, ale w tych głupich luźnych pantalonach wszystko za szybko przemakało, ocierając uda podczas chodzenia, namakając i przeciekając. Zapach miedzi, związana z nim pełna irytacji nienawiść. A potem konieczność płukania ich w brudnej wodzie ze zbiornika w korycie przed pralnią, rozwieszania łopoczących flag z rdzawymi plamami na słońcu. Yolanda wymiotowała na trawę przez pierwsze trzy razy, gdy musiała włożyć je do brudnej wody, która jeszcze bardziej mętniała od jej własnego brudu.

A do tego Boncer i Teddy stojący na werandzie i szydzący z nich, śmiejący się, z rękoma zasłaniającymi nosy i usta. Wołający:

– Fuj, świństwo, ciotka przyjechała, czerwona zaraza. Ale to obrzydliwe – uważaj, bo kapie!

Yolanda widziała kiedyś na Youtube rodzącą słonice. Wielkie zwierzę ryczało, chwiała się, machało uszami z bólu. Ogromne srebrzyste wahadło powoli wydalało, kołysząc się i sapiąc, w agonii, napinając się i przykucając, a potem w końcu przypadło do ziemi, wybuchło i wtedy wylały się całe strugi, potoki krwistej wody. Słonica kopała i przesuwiała oślizgłą nieruchomą grudę po podłodze, kręcąc się i ślizgając w mazi. Owinęła trąbę wokół małego ciała i unosiła je i opuszczała, aż słoniatko otworzyło różową, ziejącą paszczę i zawołało. To miało być piękne, jak ślizga się i potyka, stając na nogi (*Jakie*

śliczneeee! Ojej, jakie cudne dzieciątko! Co za dzielna matka!) i walcząc o życie. Ale wtedy pojawiło się coś koszmarnego: ze słonicy wyskoczył olbrzymi przypominający wątrobę kawał wnętrzości. Ludzie w zoo chwycili cenne mięsiste łożysko. Rozciągnęli to śliskie, trzęsące się i przypominające małża COŚ. Coś obcego, monstualnego, kobiecego.

Yolanda przycisnęła miękkie miętowo-zielone i słodko-różowe paczuszki podpasek do piersi, kuląc się z żalu i wstydu, jak mocno ograniczały ją takie zwykłe sprawy. To dlatego tutaj były, zrozumiała nagle. Z powodu nienawiści do tego, co z siebie wychodzi, co jest w tobie. Do czego jesteś zdolna. Zrozumiała, bo podzielała to uczucie, ten tępy strach i nienawiść do własnego ciała. To kwitło wewnątrz niej przez całe życie, oczyszczane, ale nawracające, nie do powstrzymania, co miesiąc: te ciemne wodorosty i konieczność rozumienia, że jest mięsem, że urodziła się, by płodzić mięso.

Ale dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że jej ciało i ona, Yolanda, nie są odrębnymi bytami, i że to, co kiedyś uważała za siebie, coś osobistego, skomplikowanego i niepowtarzalnego, nie istnieje. To było coś, o czym jakoś wiedzieli tamci rugbiści w ciemności, gdy jej to wszystko robili. Robili *temu*. Wewnątrz tego czegoś, co obłapiali, rzucali i gwałcili, nie było żadnego ja, było tylko miękkie, uległe mięso. Yolanda była niczym, była kopią każdego innego ciała. Mięso, tkanka, płyn, krew.

Kucała tak w spiżarni, kołysząc się i płacząc, aż smarki spływały jej po twarzy. Wreszcie przestała, siąknęła nosem i otarła twarz brudną spódnicą. Zaczęła rozpakowywać podpaski i tampony i upychać je, ile się dało, w ubraniu. Usuwała każde opakowanie, które mogło szeleścić, wdychając ich poetycki, przypominający drogerię aromat. Chowała je. Sprawiała, że przetrwają. Te, których nie zmieściła, wcisnęła w puste opakowanie i wsunęła na dno dużego pogniecionego pudła z napisem: „Suszone pomidory”. Wepchnęła do niego inne puste pudełka, zasłaniając zwitek, zaciągnęła w róg pokoju i przysypała plastikowymi torbami.

Przerzuciła środki medyczne do wypełnionego w połowie pudła opakowaniami jedzenia, podniosła karton i wyszła sztywnym krokiem, cała wywatowana, ze spiżarni. Zamknęła drzwi i ruszyła w dół betonowych schodów, wychodząc w blade, żółtawe światło.

Gdy Verla widzi twarz Yolandy – kiedy ta w końcu zjawia się w jadalni – od razu wie, że tamta płakała. To niepokoi dziewczęta bardziej niż wszystko inne, gapią się na nią, gdy stawia pudło na stół, poruszając się sztywno, jakby była ranna. Poupychała w ubraniu jakieś rzeczy – jedzenie, przypuszcza Verla – ale pozostałe dziewczyny nie patrzą na nią, tylko na pudło, z którego Yolanda wyciąga opakowanie za opakowaniem, rzucając je na stół. Bandaże, sterylne zaciski i agrafki, wata, środek antybakteryjny. Płyn do przemywania oczu, krem przeciwświądowy, antybiotyki, rzuca kolejne opakowania na stół, cały czas wpatrując się w Nancy.

– Och! – mówi Nancy, podchodząc bliżej, przestraszona morderczym wyrazem twarzy Yolandy. Ale w tym momencie przez drzwi wpada Boncer, a skruszony Teddy powłóczy za nim nogami.

Dziewczęta natychmiast siadają prosto, napinają ramiona i wbijają wzrok w stół, czekając na uderzenie pałki Boncera. Lecz on nic nie mówi i nie podchodzi jak zwykle do swojego drewnianego stołka przy kominku, tylko wdrapuje się na parapet i siada tam bokiem, z podciągniętymi nogami, dopasowując pozycję do kształtu okiennej futryny. Ma zaczerwienione oczy. Siedzi tam, obgryzając paznokcie kciuka i gapiąc się smutno na krajobraz przez zaplamioną siatkę na owady.

Teddy stoi przez chwilę ze skrzyżowanymi ramionami, obserwowany przez dziewczyny, przez Nancy, której mała głowa aż podskakuje, gdy dziewczyna śledzi wzrokiem ruchy Teddy'ego, czujna niczym wiewiórka. Ten wzdycha i drepcze bosymi stopami, rozpinając smycze, jedną po drugiej. Dziewczyny pozostają w bezruchu, ostrożne, gdy Teddy je odpina. To Lydia wstaje pierwsza, cicho zsuwając się z ławy, i wyciąga ręce ponad głowę, a jej wielkie piersi unoszą się i opadają, gdy wymachuje powoli ramionami. Potem naśladuje ją Maitlynd, wstaje i rozciąga się na boki, wszystkie ciche, wypatrujące gwałtownego ruchu Boncera. Teddy patrzy tylko żałośnie na kolegę. Dziewczyny jedna za drugą rozciągają się, trzeba skorzystać z tej rzadkiej okazji, wszystkie pochylają się do palców

stóp albo wyciągają ramiona do tyłu, by klasnąć w dłonie za plecami. Oczy ciągle skierowane na Boncera, przygotowane na atak. Ale on cały czas patrzy przez okno, jakby wpatrywał się w morze.

Hetty odwraca się do pozostałych, oczy ma szeroko otwarte.

– Nie ma pałki – mówi bezgłośnie.

To prawda, pas Boncera jest pusty. Zerkają szybko na Teddy’ego, który ziewa oparty o ścianę. Ma zamknięte oczy. On też nie ma broni. Zamyka usta, unosi opadające powieki i patrzy żałośnie wokół stołu na zastygłe w oczekiwaniu dziewczęta.

Boncer zeskakuje z parapetu i wychodzi z pokoju.

Stoją w ciszy, szukając jakichś wskazówek.

Wreszcie Nancy warczy pośród tej ponurej atmosfery:

– No i?

Teddy zwraca na nią pełne łez oczy.

– Hardings nie przyjedzie.

Patrzą na niego, zdeorientowane.

Przesuwa wzrokiem po dziewczynach, jednej za drugą, jakby dopiero je dostrzegł, z przerażeniem.

– Utknęliśmy tutaj – mówi do Nancy, a głos więźnie mu w gardle, gdy to sobie uświadamia. – Jak one – dodaje i zasłania twarz dłonią.

Po południu wszystko się zmienia.

Aż do wieczora drobne kropki dziesięciu dziewczyn wędrują po niecce terenu. Niektóre zdejmują ubrania i ciągną je za sobą w kurzu. Inne kładą się nagie w słońcu. Jeszcze inne wyruszają szukać jedzenia albo ubrań. Yolanda, Izzy i Lydia schodzą do zalewu przy tamie, kładą się na plecach w ciemnej, zielonej wodzie, rozpościerają ramiona, wsuwają głowy w trzciny, ich kości łonowe wystają z wody.

Tylko Boncer znów siedzi w oknie i patrzy na suchy, brązowy krajobraz.

[1] Walt Whitman, *Pieśń o sobie*, fragment 22, w przekładzie Andrzeja Szuby, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1992.

Nikt już nie chodził do latryny. Na początku zapędzał je tam co rano Boncer, a one tylko wstrzymywały oddech i robiły to, bo nigdy w życiu nie pomyślałyby, że można wypróżnić się gdzieś na zewnątrz. Ale później, gdy Yolanda zaczęła wychodzić nad ranem i przykucać na trawie, dostrzegły, że to ma sens. Wygrzebanie patykiem dziury w murawie jest mniej odstręczające i mniej przerażające niż to obślizgłe, ciemne miejsce z zatkanymi fekaliami rurami, koszmarnym odorem i brunatną wodą kapiącą z kranu. Gdy skończył się papier toaletowy, używały gazet. Gdy one też się skończyły, przywykły do trawy i uważania na dłonie. Zgodnie z narzuconą przez Leandrę dyscyplinę wojskową obsesyjnie szorowały dłonie w strugach płynu do mycia naczyń, ale to i tak nie powstrzymywało pojawiających się od czasu do czasu infekcji żołądkowych, które powodowały wymioty i zwały je z nóg na wiele dni.

Czasem wczesnym rankiem w boksach rozlegał się krzyk, bo Barbs puszczała swojego jadowego bąka, a on rozprzestrzeniał się złośliwie pod ścianą z przezartego rdzą metalu do kolejnego boksu.

– Aaaa, do kurwy nędzy, Barbs! – wrzeszczała Maitlynd spod dłoni zasłaniających usta i nos, a zde gustowane pomruki przechodziły z jednej celi do kolejnej, przeklinając Barbs i jej zdumiewające, potężne pierdy. Barbs wołała:

– Nic na to nie poradzę, cała rodzina cierpi na zespół jelita drażliwego! – wzruszała ramionami pod cienkim kocem, mościła się wygodniej na pryczy, wdychając przyjemnie znajomy „owocowy” aromat i uśmiechając się łagodnie pod nosem.

Teddy nadal spędza sporo czasu, przyglądając się swojemu odbiciu w oknie. Czasami podchodzi do szyby i czyści jej fragment rękawem, a potem kontynuuje ocenę.

W większość dni pokazuje się na werandzie, przesuwając wyświechtaną fioletową matę do jogi wokół budynku w ślad za przemieszczającym się słońcem, przechodząc bez wysiłku od „psa” do „kobry” i z powrotem, prężąc i wyginając pokryte gładką skórą członki. Albo powoli i ostrożnie staje na głowie niczym zakurzony, brązowy kwiat. Podeszwy jego pięknych stóp przylegają do siebie, nogawki kombinezonu opadają, więc widać idealny kształt przypominający diament, utworzony przez jego muskularne łydki i uda.

Jedną z cech tej jego Hannah było lenistwo, no i zaczęła tyć. Choć mogła dysponować ładnym ciałem, ale nie miała w sobie dyscypliny Teddy’ego, a on nie mógł być z kimś, kto nie szanuje swojego ciała. Głos Teddy’ego przybiera zgorzkniały, pełen złości ton, kiedy pewnego ranka opisuje Boncerowi niekończące się narzekania Hannah. Ma wtedy usta pełne płatków kukurydzianych – dzielą się między sobą ostatnimi pudełkami płatków, a Teddy dosypuje do swoich resztki nasion babki. Hannah, jak powiedział, nagle naskakiwała na niego, och, z powodu byle czego – kto nie pozmywał naczyń, kto spóźnił się z zapłatą czynszu – niczym jakaś harpiowata przedszkolanka. I – przeciąga to „i” podnosząc głos i wypluwając drobinki mleka – wzięła jego naprawdę drogie buty do nurkowania i wyrzuciła je na trawnik, żeby jej zapchlony kundel je obgryzł.

Ale on kazał jej za to zapłacić i to z nawiązką. Stwierdza to z dziką satysfakcją, przelękając resztki płatków i przesuwając językiem po zębach. Patrzy na żółte pola, rozważając to jedno zwycięstwo nad jęczącą drobnomieszcząską Hannah, a potem wrzeszczy, żeby któraś z dziewczyn przyszła i zabrała jego miskę, i podaje ją, nie patrząc, kto ją odbiera. A potem wstaje od stołu i przechodzi na werandę, poruszając biodrami i rozciągając ramiona niczym jakieś leniwe zwierzę z dżungli, i kieruje się ku swojej macie do jogi.

Podczas śniadania Verłę ogarnia przy stole odraza. Maitlynd i Yolanda jedzą łapczywie, skrobiąc po dnach misek. Czuje nagle w stosunku do nich falę obrzydliwej, gwałtownej nienawiści. Ile już czasu minęło, odkąd wszystkie zostały odpięte ze smyczy, odkąd mogą przechodzić z boksów do jadalni i z powrotem, kiedy tylko chcą? Ile czasu minęło, odkąd Boncer zaczął racjonować jedzenie, odkąd zauważyła, że sufit jest pełen komarów? To było w zeszłym roku? Wczoraj? I ile czasu minęło, odkąd czuje się tak *dziwnie*?

Patrzy na dwie dziewczyny naprzeciwko ponad białą melaminową równiną stołu. Oczy Maitlynd wystają koszmarnie z bladych oczodołów, gdy podnosi wzrok, żeby spojrzeć na Verłę. Ale Verla nie może oderwać spojrzenia od czarnych wągrów na nosie Yolandy. Czuje się tak, jakby skurczyła się do takich rozmiarów, by chodzić pomiędzy tłustą, smolistą powierzchnią zagłębień w jej skórze. Gdy myśli o żółtym tłuszczu pod spodem, jak będzie powoli wychodzić, przepełnia ją obrzydzenie i zdumienie: jak mogła kiedykolwiek pomyśleć, że Yolanda jest ładna? Mięsiste, szerokie nozdrza, wydęte wargi. I siedzi sobie naprzeciwko niej i gapi się przez stół, zupełnie jakby Verla nie widziała jej brzydoty.

Mówi:

– Coś nie tak, Verla?

Jej olbrzymie różowe wargi odsłaniają zęby, usta poruszają niczym groźba. Yolanda i Maitlynd wymieniają spojrzenie, Verla to wyczuwa. Zaczynają chichotać, a ten dźwięk rani uszy Verli: zasłania je dłońmi, które wydają się jej malutkie, niczym pazurki małego szczura. Zamyka oczy przed Maitlynd i Yolandą i ich odrażającą, jaskrawą obecnością.

– Zamknijcie się, proszę – szepcze, ale w odpowiedzi wydają z siebie okropny smród zgnilizny, a ich śmiech zdaje się rozsadzać okna.

Verla rozpoznaje nadlatujący rój pszczoł. Leży w izbie chorych i słyszy dochodzący z daleka cichy brzęk. Szarańcza, jak w Biblii. Leży w łóżku i patrzy w okno; niebo ciemniejsze od szarańczy, a dźwięk przybiera na sile, rozbrzmiewając coraz bliżej. Podciąga prześcieradło pod brodę i wyobraża sobie, jak szarańcza opada, jak osiada na ciałach Boncera i Teddy'ego, i Nancy niczym płaszcz z darni. Jak u mieszkańców Pompejów, pokrytych roztopioną lawą, o ciałach unieruchomionych kamienną polewą. Szarańcza zerwie Boncerowi i Teddy'emu, i Nancy ubrania, włosy i skórę, a potem pożre ich aż do kości.

Pamięta ten dźwięk z odległej przeszłości.

To nie szarańcza, ani pszczoły, ani lawa, ani warstwy darni. To deszcz.

Verla odrzuca okrycie i biegnie do okna. Już dostrzega plamki, przesuujące się po żaluzjach srebrne bąbelki. Gwałtownie otwiera drzwi, wypada na korytarz przy jadalni, gdzie zebrały się dziewczyny i woła:

– Deszcz pada!

A one pędzą korytarzem i wysypują się na długą, szeroką werandę i stają tam rzędem, słuchając, jak deszcz łomocze o blaszany daszek nad nimi. Wysuwają dłonie, niektóre oblizują ich wnętrza. A potem Yolanda schodzi z werandy na piach i wszystkie to robią, Hetty i Lydia, Maitlynd i Barbs, i Joy, i reszta, myśląc: *A co tam!* Zamierzają przemoknąć. Czarne kręcone włosy Yolandy nasiakają wodą, tylko Verla stoi pod dachem, niezdolna zejść ze schodków. Bo może to tylko sen. Czy to sen? Jej głowa płonie, ale serce łomocze w takt bębniącego deszczu i Verla zauważa, jak kurz na ziemi zaczyna wirować.

Po ulewie Verla idzie na spacer. Najpierw siada na skraju werandy i zdejmuje buty. Patrzy na swoje piękne niegdyś stopy. Są blade, obtarte, chropowate, dziwne, nieznanne i wielkie jak bochny, palce rozpostarte i zwierzęce, paznokcie żółte i zakrzywione.

Zostawia buty za sobą, na lśniących srebrzyście deskach werandy. Nie obchodzi jej, czy Boncer ją znajdzie, zbije, zwiąże. Co może zrobić poza zabiciem jej? Och, mnóstwo. Nie obchodzi jej to. Idzie

przez podwórze, mija pordezwiąła ramę starego pługa, z chwastami obrastającymi jego kształt. Ostrożnie stawia na żwirze te nowe, wrażliwe stopy starej kobiety.

To trawy pragnie. Odkąd spadł deszcz, pokryta kurzem ziemia wokół resztek stawu zakiełkowała i blask jaskrawej zieleni pokrył grunt niczym płama alg. Ale nie znikła i rozrosła się, i jest tam teraz, gęsta zielona trawa pokrywająca całe dno doliny.

Idzie w jej kierunku, opada na czworaka i pełźnie pośród trawy. Widzi, jak słupy płotu pod napięciem poruszają się. Kładzie się tam i zasypia pośród miękkich kęp.

Gdy się budzi, ze śladami żdźbeł odbitymi na twarzy, idzie dalej w kierunku zbocza porośniętego buszem. Wchodzi w głąb niczym w sen, wspinając się po nachyleniu w dojmującej ciszy. Drobniutkie listki przywierają do podeszew jej stóp. Słychać jedynie kapanie kropel spadających z delikatnie poruszających się liści daleko w górze. Cieniutkie świsty i trele drobnych ptaszków niczym z pozytywki. Czasem nagły głośny furkot – wielki gołąb wylatuje gwałtownie spośród pnączy i znika. Jakiś owad brzęczy jak motorek koło jej ucha. Verla patrzy wyżej i wyżej, i dostrzega długie pasy kory albo porzuconą ludzką skórę zwisającą z gałęzi. Busz wdycha ją do środka. Wciąga ją. Jest oczarowana leżącymi u stóp drzewa trawowego parami torebek nasiennych: jaskrawo pomarańczowych, lśniących, przypominających jądra.

A potem spośród drzew zaczyna dochodzić zdecydowany, rytmiczny stukot kopyt, słyszalny wyraźnie poprzez powłokę z zarośli, udrapowaną wokół niej niczym podarty namiot. Jej koń! Lecz zanim się obróci, już wie, że to nie jej koń, tylko Boncer. Złapali ją, to musiało się tak skończyć! Odwraca się jak we śnie, by ją zastrzelił, zgwałcił, zatłukł na śmierć.

Jednak to nie Boncer. Hałas raptownie ustaje; a Verla nie dostrzega niczego pośród ciszy. I oto nagle: surowa, ciemna i wąska twarz. Kangur! Prostuje się, staje coraz wyższy. Obserwuje ją, drobne, ciemne łapy trzyma delikatnie przed sobą. Patrzą na siebie. A potem ona dostrzega inne małe, płaskie, ciemne twarze: trzy, sześć, dziesięć – wszystkie nieruchome, obserwujące ją w chwili, gdy powoli uświadamia sobie ich obecność. Bierze oddech, bardzo powoli – a wtedy one pochylają się w przód i skaczą. I hałas nagle się wzmacnia jeszcze bardziej, i cała przyroda zaczyna huczeć w synkopowanym rytmie: cały busz gwałtownie ożywa, a ona stoi nieruchomo, zaskoczona, gdy rozmazane serpentyny dwudziestu, sześćdziesięciu, stu zwierząt mijają ją w pędzie. Ślepe, niepowstrzymane, wspaniałe.

Czeka minuty, godzinę, cały dzień po tym, gdy wszystkie już ją minęły. Na jej skórze zbiera się pot radości, usta ma suche jak liście.

To możliwe, że tak było, myśli leżąc w mokrej, brudnej pościeli, gdy się zbudzi. To możliwe. Przypomina sobie wiatr na twarzy, gdy kangury pędziły, a potem, gdy już dawno ich nie było, jak ona i koń szli razem, jej wyciągnięta dłoń na jego wilgotnym, gładkim boku, gdy kroczyli spokojnie przez kapiący, ociekający deszczem busz.

Zaśpiew Nancy z kąta pokoju:

– To wirus! Masz chorobę zakaźną!

Verla leży i drży od łomoczącego, szeleszczącego ruchu powietrza, które wibruje wokół niej, i przypomina sobie ukrytą rzekę, którą widziała.

Nancy jest teraz kształtem na tle jasnego okna. Odwrócona plecami do leżącej w łóżku Verli, stuka szkłem o metal i mruczy coś pod nosem.

To koń zaprowadził Verlę do rzeki pośród drzew: wycięty pas pomarszczonej brązowej skóry, odbijający słońce. Tutaj w łóżku jest jej tak zimno, że wsuwa język między zęby, żeby uspokoić wyczerpujący ruch obolałych szczęk, żeby nie słyszeć hałasu w głowie. Pozwala, by powieki jej opadły. Gdyby mogła znowu tam dotrzeć, rzeka by ją ogrzała. Ciepły piasek pod delikatną pomarszczoną powierzchnią, w kolorze drzewa herbacianego, sunącą z taką łatwością, takim spokojnym, cichym ruchem.

– Zimno mi – szepcze ochryplym głosem, pragnąc słońca, tej ciepłej herbacianej kąpieli. Powiedziała to do zbliżającego się kształtu Nancy, ale Nancy śpiewa tym swoim wysokim dziewczęcym

głosem i nie zwraca uwagi na to, co szepcze Verla. Tylko sięga bez ceregieli pod koc, żeby odnaleźć jej chłodne ramię. Lodowata nić przebija powierzchnię skóry, niczym metaliczny drut z czymś ciepłym lub zimnym, i Verli chce się wymiotować, bo nie wie, czy to ulga czy śmierć.

Nancy wyciąga igłę i przyciska coś do lodowatego ramienia Verli, a potem wpycha je z powrotem pod przykrycie. Teraz Verlę przygniata ciężar drugiego koca – jest ciężki, jest dobry, ale niewystarczający, chciałaby, wolałaby, żeby przygniótł ją walec parowy.

Rzeka jest szeroką wstęgą mieniącego się, brązowego jedwabiu, a Verla się w niej kołysze. Jest stworzona ze zwierząt, z kangura i konia; jest małym pstrągiem, zawieszonym przez chwilę nieruchomo pośród wody, a potem... jedno drgnięcie i już go nie ma, gdzieś w korycie zgarnęła go silna brązowa dłoń rzeki.

Pobrękiwanie pułapek na króliki przychodziło wraz z porannym snem Yolandy. Słyszała rytmiczne dzwonienie ciężkiego żelaza, czuła uderzenia metalu o swoje nogi, ciężar zwisających z jej pięści wnyków niczym czarnych stalowych ryb.

Minął tydzień, odkąd Verla zaczęła bełkotać w malignie, a teraz leżała z gorączką na łasce Nancy i Teddy'ego, którzy bawili się w lekarza i pielęgniarkę. Za każdym razem, gdy Yolanda sobie to przypominała: ten stos środków medycznych, które wysypała na stół i to, z jaką radością tamci przeglądali opakowania igieł, fiolek, buteleczek, jak szukali cienkich żył biednej Verli i jak wbijali paluchy w jej drżące, białe ramię, tryskając płynem ze strzykawek w powietrze, tak, jak oglądali to w „Chirurgach”, wtedy robiło jej się zimno i mogła tylko sobie pomyśleć: *O żeż kurwa, sorry, Verla.*

Potajemnie rozdała tampony i podpaski wśród dziewczyn. Rzuciły się na nie, jak na prezenty gwiazdkowe. Ale przekazała też wieści o kończącym się jedzeniu, a Boncer zaczął ściślej racjonować żywność, nosić klucz od spiżarni na szyi i przynosić tylkoienne racje opakowań, z dodatkowymi porcjami dla siebie i Teddy'ego, ale nie dla Nancy. Więc tego ranka, gdy Yolandzie z głodu znów zaczęło burczeć w brzuchu, nagła myśl o parze starodawnych pułapek na króliki, które widziała zawieszane na gwoździu w kącie zapadającej się szopy do strzyżenia owiec, była niczym widok błękitnego nieba po deszczu.

Widywała w okolicy kangury – całą rodzinę, daleko, co kilka dni, gdy dziewczyny jeszcze pracowały przy drodze, a one powoli skakały przez równinę – ale nie króliki. Doszła jednak do wniosku, że muszą tu jakieś być, bo ziemia wokół jest podziurawiona i zryta, no i po co ktoś trzymałby tutaj te pułapki?

Poszła do Boncera, który przyglądał się, jak Izzy i Joy układają opakowania z jedzeniem w kuchni na zmywaku. Na *cipaku*, jak go w kółko nazywał, rechocząc. Dziewczyny nie były już przypięte do siebie smyczami, ale po jednym dniu żaloby znów zrobił się bezlitosny, używając swojej pałki, i znów zamykał je wszystkie na noc. Yolanda wiedziała, że ma ochotę ją sprać albo jeszcze gorzej.

Gdy ją zauważył, zmierzył wzrokiem z dołu do góry, przesuwając obleśnym spojrzeniem po całym ciele. Zemdlilo ją.

– Czego?

– Możemy jeść króliki. Wiem, gdzie są pułapki.

Rzucił jej drwiące spojrzenie.

– Chcecie jeść króliki. Jak jakieś biedne, głupie świnię z buszu.

Skrzyżowała ramiona, zasłaniając cycki biednej, głupiej świni z buszu, ale i tak się na nie gapił.

– Albo to albo czekamy, aż skończy się całe jedzenie – powiedziała.

Zostawił tamte dwie dziewczyny w kuchni i wyciągnął smycz. Nie pozwoli jej odejść bez jakiegoś upokorzenia. Zapiął ją, zapędził wzdłuż boksów do zagrody dla owiec, idąc za nią z pałką. Wiedziała, że obserwuje ją z tyłu, jak się porusza. Tak było zawsze, przez całe jej życie, ale teraz tutaj z nim... Skóra ścięła jej bardziej niż zwykle.

Przypomniała się jej telewizyjna kukielka z dzieciństwa, gadający buldożer, którego usta otwierały się i zamykały z dźwiękiem zgrzytającego metalu. Niepokój, który odczuwała, gdy postać pojawiała się na ekranie: jego rozsypujące się, nieprzewidywalne ciało, długa, kołysząca się szyja, kłapiąca stalowa paszcza. Poruszająca go mechaniczna siła, jego nieustępliwość. Gdyby chciał, mógłby przebić się przez każdy materiał – wodę, piach, gruz, ciało dziecka, jej samej, przemielić je na żwir – miażdżącą, niepowstrzymaną siłą. Ale potrafił też się wdzięczyc i monstrualnie śmiać. Jej dziecięce *ja* wiedziało tylko tyle, że musi odwracać wzrok, gdy to COŚ się pojawia. Że czuje wtedy cierpkie napięcie, które znika, gdy już go nie ma na ekranie.

Kiedy dotarli do zagrody dla owiec, Boncer powiedział:

– Na ziemię.

– Co?

– Na kolana!

Zamknęła oczy. Ten stary, obrzydliwy strach tlił się w jej wnętrznościach, ale nigdy mu się już nie podda. Nadal stała. *Nie robię tego.*

– Na ziemię – powiedział. Stał tam z szeroko rozstawionymi nogami i uśmiechał się obleśnie. Palcami jednej dłoni gmerał w rozporku, a w drugiej trzymał napiętą smycz. Zerknął do tyłu, żeby sprawdzić, czy są wystarczająco daleko od domu i oczu Teddy’ego. Wystarczająco samotni pod wysokim niebem i krążącymi ptakami. Czy stojąca obok szopa do strzyżenia owiec jest wystarczająco ciemna i dobrze tłumi dźwięki? Obliznął suche, łuszczące się wargi. Wykręcił smycz, szarpiąc ją do siebie.

Spięła się, gotowa rzucić się w bok, wzięła głęboki wdech, żeby krzyknąć, wymiotować, wrzeszczeć albo gryźć. I wtedy zobaczyła białe kłykcie dłoni Boncera zaciśniętej na smyczy. Zobaczyła jego chude, blade i pogryzione przez komary nadgarstki. I wtedy wreszcie zrozumiała, kim jest Boncer: głupim, brzydkim dzieckiem, niedożywionym i przestraszonym. Zobaczyła jego stare dziobate blizny po trądziku.

Litość zaczęła brać górę nad strachem.

Usłyszała, jak mówi do niego:

– Nie znudziło ci się to już, Boncer?

Zanim zdołał się powstrzymać, przez jego twarz przemknęła fala ulgi i wdzięczności, a oczy wypełniły się łzami. Nędza, żal. Gapił się na nią, dysząc ciężko, z zaczerwienionymi oczami.

– Na kolana – powtórzył.

– Nie – odpowiedziała, zapierając się stopami.

– Na kolana i ssij mi fiuta – powiedział Boncer, łamiącym się głosem. Zaczął płakać. Szarpnął mocno za smycz, ale Yolanda odchyliła się w drugą stronę, nie poddając się. Szara z niedożywienia skóra, rzadki włos mysiego wąsika, żalostne konto bez odpowiedzi na profilu randkowym, a na szyi paskudny łańcuszek.

– Zbliź się, to cię, kurwa, zabiję – usłyszała swój głos. Nie miała żadnej broni, ale i tak go przestraszyła. To dodało jej sił. – Nigdy, przenigdy mnie nie tkniesz – oznajmiła niskim i pewnym głosem. Kręcąc głową, odchylając się, opierając ciągniętej smyczy. – Jesteś odrażający i słaby. I chyba będziesz chory.

Boncer stał tam zdumiony. Pełen wstydu, z rozpiętym rozporkiem, z którego wystawała wypłowiała czerwień zmechaconych gaci z bawełny i poliestru, z plamką wilgoci od środka. Zauważył, że ona tam patrzy i zasłonił się ręką.

– Pozwól mi wziąć te pułapki albo razem z nami umrzesz z głodu – powiedziała Yolanda.

Puścił nagle smycz, a ona przewróciła się do tyłu, szeroko rozkładając ręce. Uniósł pałkę, ale wciąż wyczuwała jego strach.

– I tak bym cię nie tknął, za dużo w tobie było fiutów – splunął, gdy wstała i odwróciła się w stronę zapadającej się szopy do strzyżenia owiec, czując przypływ adrenaliny. Wiedziała, gdzie na ścianie szopy wiszą pułapki, wiedziała, jak działają, wiedziała, że ich szczęki łamią kości. I teraz, choć Boncer wykrzykiwał za nią plugastwa, obrażał jej ciało, opisywał, co robili z nią inni mężczyźni, piejąc tym swoim skomlącym tonem dręczyciela, już bez łez, to i tak czuła wobec niego tylko litość.

To było niczym narkotyk.

Wdrapała się przez płot i przez zagrodę do szopy i podeszła do ściany, gdzie powinny wisieć wnyki, ciemne na tle srebrzystego drewna. I były tam, pordzewiałe żelastwa zwisające z gwoźdźca. Nie dwie, tylko sześć, siedem, dziewięć. Wytarła brudne dłonie w spodnicę.

Boncer obserwował ją oddychając ciężko, z rozpaczą w zaczerwienionych oczach. Cienkim głosem pokrzykiwał jak zwykle – ale gdy Yolanda ściągnęła pułapki z ciężkim brzękiem, głos zamarł mu w spierzchniętych ustach. Wiedziała, że pośród metalicznego dźwięku wnyków Boncer usłyszał to, co ona już wiedziała: że jest silna, a on – słaby.

Poczuła ciężar pułapek i wszystko to – *brzydka suka z grubą dupą, puszczański kurwiszon* – raptem się skończyło. Brzęk żelastwa w jej dłoniach był dźwiękiem zwycięskiej bitwy, pokoju następującego po ciężkiej walce. W każdej dłoni dzierząc pęk przerdzewiałej stali, ciężkim krokiem ruszyła po rozchwierutanej rampie. Podeszła do niego i obróciła rękę, a Boncer drgnął, gdy wzięła szeroki zamach. I musiał odchylić głowę do tyłu, żeby uniknąć śmigającego pordzewiałego łańcucha, wyrazu jej litości.

Odeszła.

Boncer ruszył za nią, nie próbując nawet podnieść smyczy, gdy niosła wnyki z powrotem przez zagrodę, przez pokryte grzywiastą trawą pastwisko, a potem ścieżką z różowego spłowiałego żwiru na werandę. Usłyszała, że drzwi się otworzyły i dziewczyny z Teddym i Nancy wyszli, by zobaczyć, jak rzuca wnykami, które tworzą ciemny metaliczny łuk w powietrzu, zanim z hukiem opadną na deski.

Boncer zauważył, że inni patrzą, przyśpieszył więc, żeby ją dogonić, żeby złapać smycz i stanąć nad Yolandą, przybrać odpowiednią pozę i zadrwić, bawiąc się pałką.

Ale tylko on słyszał jej ściszony głos.

– Wystarczy – powiedziała łagodnie. – Odpieprz się teraz. – Podniosła wnyki, zarzuciła je sobie na ramię i poszła w stronę izby chorych, gdzie leżała Verla.

Verla leży z zamkniętymi oczami, by chronić się przed światłem, cykady z zewnątrz wpełzają jej do uszu, nosa i ust, wypełniając jej żyły i nerwy migotliwym żarem. To właśnie budzi ją z błotnistych snów: cykady rozniecające niteczki bólu pełzające po jej ciele. W chwilach, gdy wygrzebuje się z dna swoich mar, boli ją dosłownie wszystko: biodra, kości palców, każdy kręg szyi. Ścisła ją w piersiach, wypełnia ją gęstwina pajęczych sieci.

Pomimo starań Nancy i Teddy'ego, Verla czuje, że umrze. Być może właśnie przez nich. Podczas całego okresu choroby czuła obecność tych dwojga, ich dłonie, podnoszące ją i szturchające. Ich zaintrygowane, zajęte eksperymentami na niej głosy. Pochylają się nad Verlą jak nad mrowiskiem, szturchając kijem, głowy razem, oddechy bliskie i głośne. Może starają się ją zabić, potem zostawiają, żeby umarła, a później wracają i szczękają małymi słoičkami i dziwią się. I robią jej kolejne rzeczy, by ją skrzywdzić, mówią tajemniczo:

– No to niezłe gówno..., to emetyk, kurwa, nie upuść tego!

Nad jej zapadniętym, odmawiającym posłuszeństwa ciałem, wymiotującym do miski, płaczącym cichym, piskliwym głosikiem niczym chore dziecko. Teddy szeroką, opaloną dłonią chwyta tył jej głowy, łapie za szczękę cuchnącymi tytoniem grubymi palcami, wpycha jej do gardła jakieś malutkie kulki, a Nancy syczy:

– Nie! Drugą stroną! Ile? Co to, antypiretyk? Ale jak się... – I wlewa w jej gardło wodę, zmusza do przełknięcia, a ona za każdym razem musi zaczerpnąć powietrza, żeby nie utonąć.

Po pewnym czasie Verla orientuje się, że w izbie jest ktoś jeszcze, jest tam cały czas i zachowuje się cicho. To budzi w niej strach, ale potem dziewczyna znów się zanurza. Czasem ma świadomość, jest przytomna, czuje, jakie jej ciało jest ciężkie, czuje, że leży w brudnym łóżku.

W końcu Verla budzi się, ma otwartą głowę, jest w niej miejsce na jasność myśli, jeśli tylko będzie bardzo spokojna. Czuje suchość w ustach, a jej twarz to nadal gruba gumowa maska, ruchoma maska zbudowana z pełzającej, chorobliwej substancji. Ale może już odwrócić głowę i zauważyć, że na krześle obok niej siedzi Yolanda, że ona była tu przez cały czas.

Yolanda siedzi przy jej łóżku, rozplątując końcówki jakichś pobrzękujących metalowych pajaków, długie członki zardzewiałych lalek, i teraz głos Yolandy to rozbrzmiewa, to zanika pośród gorączkowych snów Verli.

– Wnyki. – mówi Yolanda. – Będzie jedzenie.

Lalki i pajaki okazują się pułapkami na króliki.

Wyjaśnia ich działanie Verli, unosząc je, potrząsając nimi w zasięgu jej wzroku. Każda z pułapek ma długi pręt do wbicia w ziemię – wbija się go w twardą, zwartą glebę młotkiem – i dołączony do niego łańcuch. Łańcuch pobrzemiewa w uszach Verli, słychać jak grzechocze o suchą ziemię. A potem szczęki.

– Najważniejszy element – mamrocze pod nosem Yolanda.

Verla zanurza się pod powierzchnię, szczękając zębami. Zanim zniknie, odmawia szeptem modlitwę do Yolandy:

– Proszę, nie zostawiaj mnie.

Gdy znowu się budzi, ma już mniej sklezione oczy. Leży, jej lepkie wargi rozdzielają się na wdech i wydech, obserwuje kształt Yolandy w brudnej, szarej tunice na tle białej ściany, słyszy brzęk metalowego stolika na kółkach, który ta przysunęła do boku łóżka. Siedzi teraz na krześle z szeroko rozstawionymi kolanami, buty oparła na ramie stolika, a przypominające pnącza wąsy króliczych pułapek leżą na jej podołku.

Verla leży, oczy bolą ją od światła, czasem otwiera je, by zobaczyć to, co Yolanda opisuje, parę szczęk na jednym końcu pułapki, kwadratową paszczę pełną zygzakowatych zębów. Sprężynującą płaską deseczkę, która, *gdy jest zamocowana, gdy, do cholery, działa*, uruchamia pułapkę i zatrząskuje szczęki.

– Tylko że cholera zacięło się od rdzy.

Krzywe zęby wbiły się między siebie i nie dają poruszyć. Ale dłonie Yolandy, pokryte tłustawą rdzą i kurzem, nie ustają w wysiłkach. W jednej dłoni trzyma pręt jednej pułapki i wydłubuje nim rdzę spomiędzy zębów drugiej.

Verla zasypia przy dźwiękach pobrzękiwania i drapania. Ma własną pracę do wykonania

w swoim rozgorączkowanym umyśle. Drobne białe gwiazdki pośród błękitnego zmierzchu – tego szuka Verla. Bo nawet po tym, jak wpłynęła i wypłynęła z głębin śmierci w tym ciemnym, chorobliwym stanie, wie, że zabije Boncera. Dziękuje chorobie za tę wizję, za spacer pośród tratowanego przez kangury buszu, za jej konia, za kąpiel w ciepłej, brązowej rzece; wszystko to odkryło grzybnię, która wyrasta po deszczu. Kroczy przez tę swoją gorączkę, brnie przez nią, zmuszając się od odnajdywania pośród niej maleńkich białych gwiazdek, tak delikatnych i...

– Ha! – krzyczy w ciszy Yolanda, plując i dmuchając na odpadającą rdzę. Potem pociera żelastwo brudnym ręcznikiem, który znalazła na podłodze.

Verla patrzy, jak Yolanda otwiera oporne zęby pułapki, pociąga za filigranową koronkę ze szerniałej krwi i zwierzęcej sierści i odrzuca jej zaschły strzępek. Teraz rozpycha zawiasy nasadami dłoni, ale nagle rozlega się zgrzyt, Yolanda wydaje z siebie jęk, a pułapka ląduje na podłodze. Yolanda uśmiecha się do leżącej w łóżku Verli.

Hałas sprawia, że przez drzwi na werandę wpycha się Teddy. Na tle światła za nim, w wypełnionym gorączką dusznym pokoju, Verla dostrzega, że Teddy wygląda bardzo nędznie, a dredy zwisają mu smętnie z głowy. Wygląda teraz na równie szalonego jak Nancy.

Yolanda pochyla się i otwiera pułapkę, ustawia szczęki, rozglądając się po pokoju. Para drewnianych kul stoi oparta o ścianę. Yolanda bierze jedną z nich i ostrożnie wsuwa w pułapkę: *trach!* Gruba drewniana noga kuli zostaje zmiądzona w żelaznym uścisku.

Teddy cmoka przerażony, wsuwa sobie dłonie pod pachy, a Yolanda uśmiecha się krzywo, potrząsa kulą i wyjmuje z wnyków jej roztrzaskany koniec. Podnosi pułapkę, ogląda pęknięty kij tkwiący w zaciśniętych szczękach.

– Takie rzeczy są nielegalne, wiesz? – mówi Teddy.

Yolanda chichocze, nisko, gardłowo.

– Wezwiesz na mnie gliny, Teddy?

Teddy marszczy brwi, a Verla wie, że myśli *fuj!* o dwóch brudnych dziewczynach, że na nowo przeraził się wszy w ich zmatowiałych włosach, że Verla leży blada od choroby, a Yolanda bawi się zardzewiałą bronią. Boi się ich chudych, dzikich ciał, ich zwierzęcych chorób i siły.

– To *okrucieństwo* – stwierdza wystraszony.

Obie śmieją się z niego, odsłaniając drobne pociemniałe zęby.

Kiedyś, gdy jeździli z Andrew bocznymi drogami po jego okręgu wyborczym, Verla wyszła, żeby otworzyć bramę, obok której rośło drzewo. Z gałęzi zwisał sznur z dziwnym praniem: martwe ciała dzikich psów. Długie, chude, wybebeszone kształty. Andrew powiedział, że wiszą tam odkąd pamięta, wirując powoli w powietrzu, wydłużając się lub skracając wraz z upływem miesięcy, zaledwie stopę nad gruntem. Ich skóra najpierw zeszywniała, a po latach zrobiła się sucha i lekka jak papier. Verla patrzy na Teddy'ego i widzi jego, i Boncera, i Nancy, w rzędzie, zwisających, porzuconych, dyndających na drzewie. Zbutwiałe skórzane kapcie ich stóp niemal muskają ziemię. W jej rozgrzanej czaszce rozlega się jej własny głos: *Dopiero poznasz, co to okrucieństwo* i uśmiecha się.

Teddy cofa się, ucieka przed ich szaleństwem i chorobą, i zatrząskuje za sobą rozlatujące się drzwi na werandę.

Verla ma ochotę wyciągnąć rękę do Yolandy, bo wie teraz, że *proszę, nie zostawiaj mnie* nie było jej własną modlitwą. To Yolanda szeptala te słowa do niej.

Króliki są długie i chude. Bezcielesne stworzenia ze sterczącymi żebrami, pełne drobnych kości niczym ryby. Ale takie drobne kości łatwo przełamać, a królicze skórki zapewnią ciepło.

Verla wie, pomimo strachliwej ucieczki Teddy'ego, że to Yolanda jest tak naprawdę przerażona, gdy siedzi tak obok jej łóżka ze swoimi morderczymi pułapkami, przerażona, że Verla umrze. Żałuje, że nie ma dość siły, żeby podnieść własną rękę z łóżka, wyciągnąć ją i powiedzieć:

– Nie obawiaj się.

Bo już wkrótce pewnego dnia, gdy wykończona Yolanda wejdzie do izby, Verla będzie siedziała na łóżku i poprosi Yolandę, żeby ta wzięła ją pod rękę i zabrała na mały spacer od łóżka do drzwi, przez próg. I żeby wyszła z nią na suche, skrzypiące i rozgrzane słońcem deski, a potem dalej po betonowych

schodkach i wokół podwórza.

Będzie musiała osłaniać oczy dłonią przed zbyt jaskrawym światłem, lecz Yolanda zaprowadzi ją do cienia i tak będą szły, a Verla opowie jej wszystko, co widziała.

– Tutaj zostawiłam buty – powie, poklepując deski werandy. – Kangury śmignęły tuż obok mnie.

Yolanda będzie podtrzymywać ją za ramię, mocno, ale delikatnie, podpierając ciężar Verli, która będzie się czuć jak mały ptaszek na gałęzi, mały ptaszek bez tchu. Ale odzyska siły. Pomimo Nancy i Teddy’ego, pomimo gorączki, poprawi jej się.

Teraz w izbie, gdzie Yolanda pobrzękuje, skrobiąc wnyki, Verla chce jej coś zaoferować za tę czułość. Mówi ochryplym i pełnym flegmy głosem:

– Widziałam rzekę, Yolando.

Oczy ma zamknięte, ale czuje, że Yolanda znieruchomiła i obserwuje jej twarz, którą rozświetla wspomnienie, blask rzeki. Unosi powieki i patrzy w głębokie, szare oczy Yolandy, kiwając głową.

– Tam jest rzeka. A mój koń przyjdzie po nas i nas zabierze.

Yolanda uśmiecha się delikatnie, co oznacza: *Ty biedna wariatko* i mówi:

– Może lepiej będzie, jak się teraz prześpisz.

Yolanda jej nie wierzy. Nie szkodzi. Po raz drugi, odkąd się tu znalazła, wyciąga rękę po dłoń Verli i chwyta ją, tym razem delikatnie. *Jest silniejsza ode mnie*. Obie dziewczyny siedzą razem, z rękami złączonymi na cienkiej szarej narzucie w ponurym popołudniowym świetle. Poza izbą i werandą, gdzieś tam pośród niebieskiego zmroku, lśnią cykady, grzyby wypychają swoje białe główki ze ściółki, a koń stąpa wielkimi kopytami po miękkiej, czarnej ziemi.

Gdy w nocy kończy się prąd, nikt tego nie zauważa. Światła są przecież wyłączone, Verla wciąż śpi niespokojnym snem w izbie chorych, a pozostałe dziewczyny są zamknięte w swoich boksach. Nie słyhać nic, poza ostatnim szarpnięciem i dreszczem pustej lodówki.

To Barbs odkrywa rankiem, że nie może zagotować w czajniku wody do makaronu instant. Podejrzany jest zakurzony kabel, ale potem do zmywania leci tylko zimna woda. Sprawdzają bezpieczniki, ale to nie one. Teddy obiega wszystkie budynki, próbując zapalić światło i złożyć:

– No żeż kurwa, no żeż kurwa.

W tym czasie każdej ze zdumionych dziewczyn przychodzi do głowy jedna myśl: płot pod napięciem. Ale Boncer jest pierwszy, przypina Leandrę do siebie i wyrusza z nią na wzgórze.

Przez cztery godziny dziewczyny wędrują po pastwiskach ramię w ramię, wyczekujące i roztrzęsione, przekazując sobie wzajemnie strach i obmyślając dla zabicia czasu kolejne zestawienia: rzeczy, których najbardziej im brakuje, co zorganizowałyby na swój wieczór panieński, piosenki ze słowem *love* w tytule. Ubrania, których brak jest najbardziej zaskakujący: dla Izzy to spodnie do jogi z miękkiej bawełny, dla Maitlynd biały podkoszulek na ramiączkach, dla Joy bluza w kratę z kapturem po starszym bracie (pozostałe uśmiechają się złośliwie: *Naprawdę? Czy można być bardziej flejowatym?*), a dla Lydii czarna wąska sukienka z cekinów. Milkną wtedy wszystkie, bo jak ona może za nią w ogóle tęsknić? Po tym wszystkim, co oznacza ta sukienka i do czego doprowadziła? Po tym, co mówili ludzie? Ale nauczyły się już przez te miesiące dosyć, żeby nie dziwić się za bardzo takim sprawom. Pozwalają jej uznać cekinową sukienkę za najbardziej wytęskniony ciuch.

Teddy robi swoje asany na macie, a Nancy przykuca obok niego, paplająca i zupełnie ignorowana. W izbie chorych Yolanda zajęta ciągle pułapkami widzi przez okno, jak Nancy trajkocze do ucha Teddy'emu o tym, czego jej najbardziej brakuje: przyjaciół z piekarni, uniformu z baru, *który był o wiele ładniejszy niż to*. I jak skubie postrzępione mankiety kombinezonu.

– Myślisz, że teraz uda nam się stąd wydostać, Ted? – błaga wobec jego milczenia, wpatrując się w grzbiet wzniesienia. – Nienawidzę tego pieprzonego miejsca.

Teddy nadal ją ignoruje, płynnie przechodząc do kolejnej asany na macie i głośno, długo wydychając powietrze, z oczami zamkniętymi na głupiutką Nancy, jej głosik i jej nadzieję.

Yolanda podnosi wnyki do góry i patrzy na bladą i rozgorączkowaną Verłę na łóżku.

W południe rozlega się krzyk: widać Boncera i Leandrę, jak schodzą powoli z grzbietu wzniesienia. Wszystkie dziewczyny zbierają się na werandzie, Teddy i Nancy też. Ale gdy Leandra i Boncer zbliżają się z mozołem, czerwoni na twarzach i zdyszani, widać z daleka, jak oboje są ponurzy i milczący. Niektóre z dziewczyn zaczynają płakać, a twarz Teddy'ego napina się, gdy Boncer wypowiada słowa, których nikt nie chce słyszeć. Płot jest podłączony do odrębnego, specjalnego źródła zasilania i brzęczy sobie bez przeszkód.

Jak rybia łuska, jak sierść dziobaka, pomyślała Yolanda. Tylko że to nie woda z rzeki czy deszcz, tylko rosa ukształtowała mokre futro na długim grzbiecie królika w eleganckie strzałki. Łapy zgięte, mocno przyciągnięte w chwili, gdy pułapka zatrzasnęła się i zmiażdżyła mu głowę. Długie jedwabiste stopy idealnie ułożone jedna przy drugiej.

We wnętrzu Yolandy pulsował odwieczny zew. Schwyciła zwierzę, a teraz je oskóruje i zje. Jakoś to zrobi.

Łagodne powietrze wypełniały piski, śpiewy i wysokie trele drobnych ptaków i owadów. Muchy. Szukała i szukała w mokrej trawie, próbując znaleźć znacznik, który wskazywał, gdzie zastawiła pułapkę. Jej buty, gołe nogi i sztywny dzwon tuniki były mokre od rosy. Sięgająca ud trawa szeleściła niczym tren z tafty. Poczula niewyraźny lęk, jakby przesunął się nad nią szary cień chmury. Ostrożnie stawiała kroki: a co, jeśli jej nie znajdzie, albo gorzej, sama w nią wpadnie?

I wtedy nagle zobaczyła ją u swych stóp. Prawie nadepnęła małą główkę królika ubłoconym butem.

– Wszystko w porządku – powiedziała wystraszoną, szorstkim tonem, na głos, do nikogo. Ale była przerażona. Zgnieciony królik wyglądał tak martwo. I to ona go zabiła.

Przykucnęła w trawie obok wnyków, przyglądając się królikowi. Musiał być martwy, nie miał szans przeżyć, skoro zęby pułapki zacisnęły się na jego karku, ewidentnie teraz złamanym. Ale nie chciała go dotykać, jeszcze nie. Wpatrywała jakiegokolwiek ruchu, drgnienia nerwów. Zastanawiała się, jak go wyciągnąć.

Szukała w sobie wyrzutów sumienia. Lecz znalazła tylko jakieś tlenie, żarzący się węgielek.

Wysunęła palce, żeby dotknąć jego brzuszka. Futro było mokre, ciało twarde; poddawało się jej dotykowi, nie stawiało oporu. Poczula ulgę, że jej palce nie napotkały ciepła czy życia. Wzięła się do pracy, wykorzystując czubki palców i krótki, gruby nóż, który udało jej się wydębic od Teddy'ego, żeby wy dostać główkę spomiędzy metalowych szczęk.

Gdy wyruszała na łowy, obserwowali ją z werandy: Boncer, Teddy i Nancy. Wszyscy troje bali się jej teraz, a do tego byli głodni, więc śledzili ją tylko zapadniętymi oczami. Boncer trzymał się zwykle na dystans, ale gdy był z Teddym nadal na nią wrzeszczał, wyzywał, wypychał krocze i łapał się za nie obleśnie. Uśmiechała się, bo wiedziała, że on się boi, kiedy wrzeszczy:

– Trzeba by wepchnąć jej to do ust na stałe i zaszyć – gdy mijała go, przechodząc pod werandą, z zawieszonymi na (służącej jej teraz za pasek) smyczy pułapkami, które kołysały się i pobrzękiwały. Otoczyła się już tą swoją zbroją, cuchnęła sierścią i krwią.

Boncer szeptał Teddy'emu do ucha rzeczy, od których nawet Teddy odwracał się z odrazą, potrząsając głową, podczas gdy Boncer ryczał ze śmiechu. Nancy stała obok, chichocząc zbyt głośno, z rękoma w kieszeniach, cały czas czekając, aż Boncer na nią spojrzy. Nie zrobił tego. Nancy zaczęła zawijać swoje nędzne włosy w brudny turban, naśladując Teddy'ego.

Gdy dołączyła do drwin z Yolandy i powiedziała:

– Aż tutaj czuć ten jej smród – Boncer tylko odwrócił się, obrzucił ją chłodnym spojrzeniem, a potem odszedł.

Nancy się sypała. Była teraz bardziej szalona niż którakolwiek z dziewczyn. Zaczęła zjadać zapasy farmaceutyków, gdy bawiła się już w pielęgniarkę biednej Verli, a teraz całe dni spędzała, łażąc za Boncerem, blada, ciągle się drapiąca i błagająca o jego uwagę. Ignorował ją, a kiedyś dziewczyny usłyszały, jak wrzeszczy po drugiej stronie domu:

– Może się ode mnie odpieprzysz?!

Potem Nancy dreptała wokół Teddy'ego, jęcząc swoim zranionym, zdezorientowanym głosem:

– Dlaczego on ze mną nie rozmawia?

Gdy Nancy kiedyś się rozplakała, Teddy tylko zakręcił młynka rękoma, napiął ramiona i je rozluźnił, a potem zamknął oczy, wyciągnął swoje wymizerowane ciało w pozycji leżącego psa na deskach werandy i oddychał równomiernie, nic nie mówiąc. I tak długo robił kolejne asany, aż Nancy poszła sobie obrażona, żeby usiąść po turecku pod ścianą. Drapała się po szorstkich ramionach i z goryczą obserwowała Boncera, jak ten okrąża dziewczyny, przyglądając się im z werandy, gapiąc się

i przygryzając zębami łuszczącą się wargę.

Pochylona nad królikiem Yolanda wdychała teraz zapach mokrej trawy, błota, rozpadu. Może Nancy ma rację: może ten zapach dochodził z jej ciała? Trudno to było teraz stwierdzić. Podważyła szczęki wnyków kijem, przytrzymała jeden brzeg butem i – chwytając zwierzę za uszy – pociągnęła je za głowę. Poczowała ulgę, że reszta jego ciała też wyszła; obawiała się, że głowa może odpaść. Dlaczego na tę myśl robiło jej się niedobrze, skoro zaraz i tak miała rozedrzeć je na kawałki? Przełknęła aksamitne powietrze i pozwoliła pułapce z powrotem się zatrzasnąć. Obróciła królika i nacisnęła jego brzuszek, aż z jego małego penisa wytrysnął na jej buty żółty mocz.

Kiedy Yolanda weszła, dziewczyny gromadziły się już przy drzwiach kuchni, zerkając do środka na spektakl rozgrywający się przy przewróconym metalowym koszu na śmieci. Podniosły wzrok, spostrzegły jej zakrwawione dłonie, króliki zwisające u pasa, a potem odwróciły się z powrotem, by dalej obserwować Verłę grzebiącą w śmieciach.

– Wydaje nam się, że szuka soli – stwierdziła Barbs.

Verla w brudnej koszuli nocnej kuciała, a jej drobne, białe dłonie grzebały w zawartości kosza, która rozlała się falą po tłustym zielonym linoleum podłogi. Malutkie mrówki pełzały po fragmentach rozdartych plastikowych opakowań, dziurawych styropianowych kubkach i torebkach, wyciśniętych tubkach po sosach i saszetkach. Wpełzły na dłonie i nadgarstki Verli, gdy chwyciła kolejne opakowanie po makaronie, rozsunęła je kciukami i wepchnęła do środka język, oblizując i wysysając pokrywającą wnętrze warstwę żółtego proszku. Potem odrzuciła je, podniosła pudełko po makaronie z serem i wyrwała ze środka przezroczystą folię, w której zostało kilka jaskrawopomarańczowych okruchów. Wylizwała srebrne wnętrze saszetki po zupie, wygrzebując wszystko z kącików. Opakowanie za opakowaniem, otwierała je i lizała, otwierała, lizała i odrzucała, aż Lydia przepchnęła się do środka.

– Znalazłam normalną sól – powiedziała, wskazując głową zapleśniałą szafkę po drugiej stronie pomieszczenia. – Jest jej tam mnóstwo.

Dziewczęta przepychały się, żeby zobaczyć, jak Lydia odkręca pokrywę brudnej plastikowej butli.

– Nie dawaj jej tego! – krzyknęła Joy. – Może mieć nadciśnienie! Powinnaś najpierw zapytać Nancy!

Ale reszta ją zakrzyczała, a Lydia prychnęła:

– Nancy? – i rozwarła dłoń Verli, a potem nasypała do jej wnętrza kupkę soli. Verla pochłonęła ją, oblizując sobie dłoń i patrząc na Lydię z wdzięcznością. Ktoś inny przyniósł wodę, a Lydia wsypała do niej sól, rozmieszała widelcem i posadziły Verłę na krześle. Siedziała tam, pijąc łąpczywie, wytrzeszczając oczy i dysząc. Potem dały jej wodę jeszcze raz, tym razem bez soli, a ona też błyskawicznie opróżniła kubek, który podtrzymywała przy jej ustach Maitlynd.

– Dziękuję – powiedziała cichym, słabym głosem. Oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy, a wszystkie dziewczyny obróciły się, by popatrzeć na Yolandę.

Stała na linoleum z siedmioma królikami zwisającymi jej u pasa.

Na pastwisku wypracowała sobie sposób, jak naciąć tylne nogi nożem, przebijając tępe ostrze przez miękkie futro i rozszarpując je wzdłuż kości. Przykucając w trawie obok każdej pułapki, rozpinała i przeciskała pasek ze smyczy przez takie rozdarcie, a potem przez łańcuch. W efekcie miała na sobie poszarpaną spódnicę z trucheł królików i pobrzękujących metalowych pułapek. Futro, stal, futro, stal. Tężejąca krew przyklejała mięso do paska, królicze głowy i uszy kołysały się niczym ciężkie pióra, gdy się poruszała.

Dziewczyny stały w kuchni ze stopami wśród plastikowych i foliowych śmieci i pełzających mrówek. Coś się pośród nich poruszyło, coś się między nimi zmieniło na widok tej nowej, innej Yolandy, *łowczyni*. Która niosła im krwiste mięso, która niosła im z pół ciepłe futra. Skrzyżowały ramiona przepelnione lękiem, zadziwieniem i nadzieją.

– Gdzie oni są? – mruknęła, rzucając okiem przez okno w poszukiwaniu Boncera i reszty.

Ale dziewczyny, ucieszone swoją świeżo nabytą wiedzą o Nancy i Boncerze, koniecznie chciały podzielić się informacjami. Spojrzały na Izzy, dumną *odkrywczynię*, żeby to ona udzieliła odpowiedzi. Starła się stłumić uśmiech.

– Nancy odleciała i przedawkowała. Teddy twierdzi, że Boncer znalazł ją nieprzytomną na swoim łóżku.

Yolanda zamarła, a dziewczyny zachichotały.

– Więc próbują wykombinować, jak zrobić jej płukanie żołądka.

Rechotały, tłocząc się wokół Yolandy przy zlewie.

– Miejmy nadzieję, że udławi się własną śliną. – Czuli zapach błota i śmierci, czuli, że coś się zmienia.

Rhiannon pomogła Yolandzie rozpiąć pasek ze smyczy i przełożyć siedem aksamitnych martwych królików razem z pobrząkującymi pułapkami na suszarkę. Patrzyły, jak Yolanda chwytła smycz i ściąga z niej ładunek, potrząsając miękkimi ciałkami, żeby je odczepić i uwolnić od nich koniec smyczy. Wytała prowizoryczny pasek i z powrotem przypięła go sobie wokół talii. Rozsmarowała krew z obu rąk po spódnicy.

Wnyki odłożone, króliki na stosie.

– Biedactwa! – powiedziała Lydia, sięgając dłonią, by pogłodzić ich rozciągnięte, miękkie ciała. A potem szybko skrzywiła się i cofnęła rękę.

Maitlynd mocno przyciskała skrzyżowane ramiona do tułowia, ale zerknęła.

– Fuj, mdli mnie.

– Nie bądź głupia – powiedziała Barbs. – Smakują jak kurczak. A ja jestem kurewsko głodna.

– Kto twierdzi, że smakuje jak kurczak? – zapytała Hetty, obrzucając Barbs spojrzeniem, które mówiło: *wcale nie wyglądasz na głodną*. A potem dodała: – Ja tego nie zjem. To obrzydliwe.

Spojrzały na Yolandę, co dalej?

Yolanda poszukała wzroku Verli, która siedziała po drugiej stronie pomieszczenia, wyczerpana, z głową opartą o ścianę, zapomniana. Yolanda powinna odprowadzić Verłę z powrotem do łóżka, jej własnego łóżka w boksie – skoro Nancy ma konwulsje, a myjemy nadzieję, że umiera – w izbie chorych. Ale nawet ledwo żywa Verla zdołała przewrócić oczami w reakcji na słowa Hetty.

Yolanda uśmiechnęła się, patrząc na jedno ze zwierząt.

– Nie musisz tego jeść – mruknęła pod nosem, chwytając je za łapę. – Są jeszcze śmieci – powiedziała, rzucając okiem na walające się po podłodze opakowania. Hetty skrzyżowała ramiona i nadąsała się.

Niestety, Yolanda nie miała pojęcia, jak oskórować króliki.

– Jamie Oliver robił królika – rozmarzyła się Barbs, stając obok Yolandy. – W swojej małej drewnianej chatce.

– To kutas – stwierdziła Leandra.

– Wcale nie! – zawołała Barbs. – Jest cudowny. I miły. I krzyczał w programie na Amerykanów, że są za grubi. – Tęsknie uniosła oczy na sufit. – I siedział na huśtawce.

– A jak by go przygotował? – zapytała Yolanda, rozciągając pierwszego królika na blacie. Wzięła głęboki oddech i zaczęła. Reszta gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy rozszarpała nożem skórę na brzuchu. Rozległ się nieprzyjemny dźwięk darcia. Szło ciężko, niezdarnie. Nóż był tępy.

Barbs ze smutkiem popatrzyła na stworzenie.

– Jakoś, nie wiem. Oliwa z oliwek – spojrzała na Yolandę ze łzami w oczach. – Nie pamiętam! – Zwróciła się do Hetty z gniewną miną. – Włosi jedzą króliki – prychnęła. – Może zrobił go na grillu. W winnicy?

Wszystkie umilkły, myśląc o szerokiej, sympatycznej twarzy Jamie'ego, który głosem rzeźnika mówi: *kochani* albo *cudownie*. Kręci biodrami wokół blatu, podrzuca i sieka, jego muskularne dłonie migają na ekranie w rytm muzyki.

Yolanda chwyciła królika za przednie łapy i podniosła go. Jego sylwetkę podkreśliło światło padające z okna. Poczowała w sobie ów żarzący się węgielek, zarzewie uczucia, które pojawiło się już tam

na polu.

Wnętrznosci wyslizgnęły się ze środka – zwarta, pozwijana szara masa – prosto do zlewu. Musiała sięgnąć i wyciągnąć serce, płuca i nerki, które przywarły do kości. Poczwała ich zimną, krągłą wilgoć, drobniotką pod jej palcami. Wyrwała je. Poczwała, że jej usta wypełnia ślina na samą myśl o mięsie.

– Fuj! – krzyknęła Joy, zasłaniając dłońmi usta i nos.

Yolanda miała ochotę rzucić flakami prosto w śliczną twarz głupiej Joy i rozsmarować je na niej. Uniosła zakrwawione ręce i pomachała nimi, sprawiając, że Joy pisnęła i odskoczyła.

Teraz skóra.

Dziewczyny nagle umilkły i odsunęły się, gdy do kuchni wszedł Teddy. Był blade, wydawał się jeszcze szczuplejszy. Stał pomiędzy nimi wyraźnie znużony. Wbił wzrok w blat.

– Umarła? – zapytała Izzy.

Teddy spojrział na nią ze smutkiem i pokręcił głową.

– Ale jest naprawdę źle – szepnął. – Wygląda jakby nie żyła. Tylko oddycha.

Pojawił się dreszcz rozczarowania.

– Cholerna królowa dramatów – mruknęła Izzy. Z powrotem skupiły się wokół Yolandy.

– Oskóruj go – zarządziła Hetty, ale wszystkie wiedziały, że pragnęły odrzeć ze skóry Nancy, a potem Boncera i Teddy'ego też. Chciały mięsa. Chciały krwi.

Yolanda czuła to ich pragnienie, męcząc się z królikiem. Szturchnęła go nożem, ciągnęła i rwała futro. Ale odchodziło tylko żalonymi kępkami i strzępami. Całe ręce miała pokryte puchem, unosił się w powietrzu. Kichnęła.

Nie miała już na sobie spódnicy z wiszących zwierząt i żelastwa, skurczyła się z powrotem do swojej starej *ja*. Już nie *łowczyni*, tylko *dziewczyna*. Ale wciąż czuła na sobie ten wilgotny zapach i oddychała nim. Zrobi to, stanie się łowczynią albo zwierzyną. Zbierze wnętrznosci i będzie je nosić, owinie się płaszczem z trzewi. Wiedziała, że Verla po drugiej stronie pokoju to widzi. Że Verla rozumie.

Odwróciła się do Teddy'ego, który zwałił się pod ścianą z pobladłą twarzą i wilgotnymi oczami. Wskazała czubkiem noża na jego brzuch, a gdy wzdrygnął się przerażony, syknęła:

– Naostrz go. – I ponieważ to był Teddy, a oni oboje się zmienili, zrobił to.

Rzuciła pierwsze wypatroszone i łyse truchło na bok i sięgnęła po następne.

– Jamie'emu spodobałaby się ta kuchnia – powiedziała Barbs. – Ma taki luzacki szyk.

Yolanda pracowała dalej, mrużąc pod nosem, a dziewczyny rozejrzały się po pokrytych obłazącą farbą ścianach i szarobrazowych szafkach. Poobijanych patelniach i blachach. Porośniętej pajęczyną staroświeckiej kuchence, której nikt nie umiał obsługiwać.

– Musimy to jakoś włączyć – stwierdziła Barbs.

Odkąd skończył się prąd i nie mogli włączyć czajnika, jedli suchy makaron, a sos w proszku rozpuszczali w kubku z mętną wodą ze zbiornika. Nierozpuszczone grudki pękały im w ustach, sprawiając, że język przyklejał się do dziąseł.

Verla wybelkotała z krzesła pod ścianą:

– Trzeba drewna.

Wszystkie odwróciły się do Leandry, która – jak oznajmiła Hetty – z pewnością nauczyła się w wojsku, jak rąbać drewno, poza wszelkimi innymi obozowo-harcerskimi umiejętnościami właściwymi dla lesb. Leandra pokazała Hetty fucka, ale jednak wymaszerowała na zewnątrz.

Przy ostatnim z siedmiu królików Yolanda opanowała już skórowanie: jeden mocny i szybki ruch, niczym naciągnięcie cięciwy łuku. Jak trzaśnięcie bata, skóra schodząca z ciała za jednym pociągnięciem.

Na blacie leżał stos miękkich skór, a w zlewie różowe ciała, skulone niczym nienarodzone dzieci, zimne na tle emalii.

Yolanda była rozgrzana od wysiłku. Miała śliskie ręce. Wytarła je o pobrudzoną spódnicę, a potem wzięła każdą skórkę, przebiła w niej dziurę i nawlekła z powrotem na pasek ze smyczy razem z pułapkami. Wyszła z pokoju, odziana w swój nowy kostium, zbroję z łopoczących zakrwawionych

skór i stali, nie przejmując się rżeniem śmiechu i szeptami, które ją odprowadzały. Verla rozumiała i to wystarczało.

Pozbawione skór truchła leżą rzędem na blacie, a Verla kończy je oporządzać, dokłada ostatnie. Są różowe, lekko połyskują w świetle wpadającym przez brudną szybę. Widzi przez okno Yolandę, która nadchodzi od strony pastwiska, w każdej dłoni trzymając zwisającego królika.

Czasem Verla wyobraża sobie, jakby to było, gdyby jej dawne *ja* ujrzało taką scenę, zobaczyło jej obecne *ja*: sterczące żebra, zmatowiałe włosy, pokryte nalotem zęby. Brudną, tłustą suknię z perkalu, rodem z dziewiętnastego wieku. Tuż obok niej wiadro pełne króliczych łbów: wytrzeszczone oczy, sztywne uszy, makabrycznie postrzępione szyje. Łatwość, z jaką to wszystko robi, jakby urodziła się po to, by przerzucać te małe ciała, niczym wyslizgujące się noworodki, obracać je z taką wprawą, jakby zmieniała poszewki. Zręcznie wyrywać serca, żołądki i jelita.

Jednak czy tamtej starej Verli, jakiejś jej części, nie spodobałoby się to? Branie w dłoń jedwabistych króliczych uszu i odcinanie głowy jednym szybkim ruchem? Przyjemna gładkość wyslizgujących się jelit? To opróżnianie, pustoszenie przynosi jakąś fizyczną ulgę. Niosąca komfort przemiana, moment, w którym królik przestaje być sobą, a zaczyna być jedzeniem. Jelita wypadają teraz, bulgocząc w zlewie. Verli przypomina się dawna przyjemność wypróżniania się, z czasów, gdy mieli jeszcze do jedzenia coś innego niż paczkowana żywność i króliki.

Już prawie nie pamięta, jak to jest usiąść na czystym białym sedesie wewnątrz domu! Kiedyś złapała grypę żołądkową, gdy była z Andrew w hotelu w Kantonie, i spędziła dwadzieścia cztery godziny przykuta do białej porcelanowej miski. Uważała, że to obrzydliwe, czuła się poniżona, że tak nisko upadła, że jest taka żałosna. Że musi klęczeć i wsadzać twarz do kibla, wymiotując. Teraz z radością by się z niego napiła.

Tutaj stara się załatwiać na zewnątrz, jeśli tylko da radę. Rozpala się w niej nagle gniew, pytanie do Boncera. Powód, dla którego są tu wszystkie przetrzymywane jest jasny: nienawidzą ich. Ale dlaczego muszą tkwić w takim brudzie?

Obserwuje, jak Yolanda wspina się na niewielkie wniesienie przed werandą, wypuszczając z ust mgiełkę z każdym oddechem. Ona jedna wygląda na zdrową: ma zarumienione policzki, jest sprawna dzięki temu, że dużo wędruje i dzwiga. Zaraz znajdzie się tutaj w zimnej kuchni, ogrzewając powietrze swoją świeżością i pełnią życia. Razem z Verlą sprawią nowe sztuki, a Verla posłucha pomrukiwań Yolandy, gdy ta wbije nóż w miękki brzusek królika. Jest coś intymnego w tej wspólnej pracy, w tym wspólnym celu.

I to właśnie sprawia, że Yolanda jest silna: świadomość, że bez niej, bez jej pułapek, już by ich wszystkich nie było. Tylko Yolanda utrzymuje ich przy życiu. Patrzy przez okno, jak brnie przez podwórze, z rozkołysanymi dwoma ciałkami u boku. Odpina żelastwo od pasa i rzuca je na beton, żeby później oczyścić.

Już niedługo dwa kolejne różowe, podłużne kształty dołączą do rzędu na blacie.

Teraz każdego ranka przynosi następne króliki, a Leandra cały czas pilnuje pieca. Siedzi przy małych czarnych drzwiczkach z kutego żelaza i karmi ogień. Piec kosztownie kopci, jeśli drzwiczki są zamknięte: komin musi być gdzieś zatkany. Ale Leandra odkryła, że gdy trzyma się je uchylone na szerokość palca, świetnie się pali. Całe dnie spędza teraz, zbierając podpałkę, ściągając większe gałęzie z pastwisk i skacząc na nie, by połamać na kawałki odpowiedniej długości.

Leandra kuca przy piecu i daje mu na pożarcie smakołyki: patyki i odłamki pysznego suchego drewna. Zbierają dla niej śmieci, żeby mogła je tam wpychać, a każdy kawałek plastikowego opakowania wydziela słodkie chemiczne kłęby kolorowego ognia i dymu.

Rozumieją już teraz, po pierwszym tygodniu polowań Yolandy, że im dłużej gotuje się królika, tym bardziej jadalne staje się jego mięso.

Verla myślała, że zadławi się pierwszym kęsem, wcisnęły jej go do ust długie, zimne palce Boncera. Pragnął tego mięsa dla siebie, widziała, jak wilgotnieją mu usta na sam jego zapach, wszystkim ciekła ślinka, gdy gapili się na wysuszone, spalone na brązowo coś na patelni. Ale gdy Boncer zaczął dźgać je nożem, Teddy wyciągnął rękę i zawołał:

– A co z tą chorobą królików, myksomatozą?

Więc Boncer zwrócił się do Verli, której ciało, wciąż osłabione chorobą, każdą cząstką ciągnęło do mięsa na patelni, nie zważając na zagrożenie. Podczas smażenia ciało zwinęło się i teraz królik jakby siedział na pośladkach niczym zmumifikowany kot. Ślina wypełniła usta Verli spragnione tego świętego składnika: białka, życia.

Kościste palce Boncera z trudem oderwały kawał mięsa, zaciskając się i drapiąc je brudnymi paznokciami, ale Verla i tak go pragnęła. Wepchnął jej mięso brutalnie do ust, a ona powitała je, przymykając oczy.

Było jak kawałek drewna. Żuła i żuła, ale nie była w stanie go rozgryźć, jej zuchwa była za słaba. Otworzyła oczy, pozostałe dziewczyny gapiły się, przełykały ślinę, nachylały, więc Verla spróbowała mocniej, przepchnęła grudę mięsa na bok, by ścisnąć ją trzonowcami. Obróciła ją językiem, zaczęła ssać, Boncer, Teddy i dziewczyny wciąż patrzyli, ale ona wypluła przeżuty kawałek mięsa na dłoń i z płaczem odchyliła się na krześle.

Boncer prychnął:

– Co za beżużyteczna cipa!

Chwyił suchy, zbrązowiały korpus, wgryzł się w niego, by oderwać pas mięsa, a potem rzucił go z powrotem na patelnię. I stał tam z rękoma na biodrach, wbijając wzrok w podłogę i intensywnie pracując szczękami. Ale nic z tego. Wypluł mięso na ziemię niczym twardy kawałek jasnego drewna balsy.

I wtedy Barbs objawił się jej święty patron, Jamie.

– To trzeba ugotować! – zawołała. – On tak to zrobił, w takiej jakby zupie! Takiej z marchewką, piwem i innym gównem!

Więc teraz Leandra codziennie trzyma straż, klęcząc przy piecu, karmiąc go i ocierając brudną ścierką. Barbs stoi przy wielkim garze, ma zaróżowioną od pary twarz i wpatruje się w bulgoczącą wodę. A Yolanda skóruje króliki w kącie kuchni, rzuca je na stos w zlewie i wychodzi z naręczem brudnych futerek.

I każdego dnia to Verla podnosi jedno różowe ciało za drugim za – przypominający pupę lalki Barbie – zadek i rozcina wzdłuż kości, wyobrażając sobie za każdym razem chude nadgarstki Boncera i jego cienkiego fiuta. I tak dzień za dniem brakuje marchewek i piwa, ale jest mięso, sól, woda i potrawka z królika. Całe godziny i dni dziewczyny krążą wokół pieca i nachylają się nad gulaszem. I może są blade i mają pryszczate twarze, ale jedzą, a Verla odzyskuje siły.

Tylko Nancy wciąż cierpi, oszalała po tabletkach, pojawia się od czasu do czasu i gdzieś pędzi, grzebie w odpadkach, z zaczerwienionymi oczami, chwając się i coś bełkocząc.

Dziewczyny siedzą w jadalni, z twarzami nad miskami, łokciami na stole, z króliczymi kośćmi między palcami i sokiem spływającym im po przedramionach, wysysają kosteczki niczym chude, brudne dzieci.

Ale jest też i Boncer, który oblizuje kości i nabiera sił. Może i zrezygnował z Yolandy – ta wciąż mocno brzęczy pułapkami, gdy tylko mężczyzna zbliży się na odległość metra do niej czy do Verli – ale teraz przygląda się innym dziewczynom z kipiącym, mściwym pożądaniem.

Co mówiliby ludzie z ich starego życia o tych dziewczynach? Czy uważaliby je za *zaginione*? Czy w jakimś programie dokumentalnym na ABC, którego nikt nie ogląda, albo w którejś z tych cienkich gazet, których nikt nie czyta, powiązano by jakoś ich sprawy, odnaleziono by łączącą je nić, która pozwoliłaby uczynić z nich *temat*? Mogliby go nazwać *Zaginione dziewczęta*. Czy mówiono by, że „zniknęły” albo „się zgubiły”? Czy mówiono by, że zostały porzucone albo porwane, tak jak się mówi, że na dziewczynę napadnięto, kobietę zgwałcono, podkreślając tę ich kobiecość, jakby to sama kobiecość był powodem takich ataków? Jakby to same dziewczyny w jakiś sposób, naturalną kolejną rzeczą, same to sobie czyniły. Przyciągały porwanie i porzucenie, same siebie wtrącały do więzienia, w którym ścieliły sobie łóżka, a teraz, po raz kolejny, leżały w nich.

Maitlynd i Rhiannon wymyśliły grę w rodzaju tenisokrykieta, wykorzystując do tego kije z przypominającymi miotłę rozgałęzionymi końcówkami i kulę zrobioną z poskręcanej trawy. I grały w nią w każde popołudnie, mrużąc oczy w słońcu, całymi tygodniami. Pewnego popołudnia nagle walnęły kijami o ziemię i rzuciły się na siebie z wrzaskiem. Drapały, biły się nawzajem i opluwały. Nikt nie wiedział, o co ta bójka, ale wszystkie dziewczyny zbiegły się i ustawiły rzędem na werandzie, obserwując i krzycząc do tych dwóch – trochę bez przekonania – żeby przestały. Boncer i Teddy pohukiwali i przyklaskiwali. Potem Rhiannon poszła sztywnym krokiem do swojego boksu, położyła się na łóżku i szlochała, i szlochała.

Zakładając buty, Yolanda usłyszała delikatne skrzypnięcie zawiasu i przytłumiony trzask zamykanych drzwi z siatki. Nadstawiła uszu. O tej porze nikt nigdy nie wstawał. Niebo miało kolor głębokiego granatu, a powietrze czyste i wilgotny smak. Zmieniła nogę, wciągnęła drugi but i szybko go zawiązała. Usłyszała kroki wzdłuż werandy. Ścisnęło ją w żołądku. To Boncer. Nie zbliżał się do niej, ale wyczuwała jego nienawiść, to, jak obserwuje ją przez pryzmat swojego strachu, jak uwielbia wyobrażać sobie jej cierpienie. Gdyby była zwierzęciem, mogłaby na zawsze od niego uciec. Przez trawę, przez pola, aż na wzgórze, a krzewy furgotałyby tylko wokół niej, szybkiej niczym królik albo jastrzęb, śmigającej przez krajobraz.

Widywała czasami krążącego jastrzębia, gdy sprawdzała wnyki. Czasem dorwał się do królików, miały oderwane pyski. Czasem Yolanda niosła ze sobą kij i zerknęła na niebo.

Lecz to Verla wyszła teraz zza rogu, ostrożnie stawiając stopy na deskach podłogi. Minęła Yolandę i zeszła na żwir. Stała tam ze skrzyżowanymi ramionami. Była już silniejsza, prawie wyzdrowiała.

– Ja też idę – szepnęła.

Yolanda zarzuciła sobie dwie pułapki na ramię. Nic nie musiała odpowiadać.

Wyruszyły przez mokrą trawę. Wczoraj padało przez cały dzień i większość nocy. Niebo szybko się rozjaśniało, gdy schodziły w dół niecki, a potem po drugiej stronie w górę. Zbiorą łupy z pułapek i zastawią je z powrotem.

Dotarły do pierwszej pułapki. Yolanda przykucnęła. To był naprawdę wielki królik. Wydawał się stary, miał matowe futerko. Nieraz chyba walczył, to był wojownik. Na przedniej łapie widniała łysa, brudna, podrapana plama, jakby przytrzaśnięto ją lub ogryzano, dawno temu, ale przeżył. Teraz był martwy. Całe udo z tyłu zostało zmiażdżone metalową szczęką, a trawa i ziemia wokół poczerniały od krwi. Uniosła szybko jego głowę na dłoni, czując jej ciężar i patrząc w czarne oko.

– Przepraszam – powiedziała cicho do niego. – I dziękuję.

Zauważyła, że przez ostatnie tygodnie zaczęła inaczej odnosić się do królików. Teraz najpierw patrzyła na ich pyski. Czasami czuła wewnętrzny spokój, ulgę, gdy pułapka była pusta. Spojrzała na Verłę, spodziewając się grymasu odrazy, ale Verla wcale nie patrzyła, ani na królika, ani na pułapkę. Odwróciła wzrok, wbiła go w ziemię. Yolanda oczyściła pułapkę trawą i przywiązała królika (tym razem za przednie łapy, tylne były zbyt poranione) do paska. Jego duża, miękka głowa zwisała jej z boku. Verla nic nie mówiła, a gdy Yolanda wstała, była już gotowa iść dalej.

– Dlaczego przyszłaś? – zapytała wreszcie Yolanda głuchym głosem. Nic nie mówiła od wielu dni.

Verla obserwowała trawę. A potem mruknęła:

– Ha... – i skoczyła w bok, przypadając do ziemi. Wstała, trzymając coś w złożonych dłoniach.

Yolanda spojrzała na białego grzyba. Widziała je zawsze, gdy wychodziła. Teraz zaczęła się zastanawiać, dlaczego nigdy żadnego nie zerwała.

– Może być trujący – stwierdziła.

Verla spuściła wzrok i przyjrzała się zdobyczy, zaciskając różowe usta.

– No właśnie.

Co miała na myśli?

Szły dalej, Verla zbaczała czasem z drogi i pochylała się, napełniając podolek spódnicy grzybami. Yolanda też ich teraz szukała, dostrzegając małe wyrostki niemal wszędzie. Oprócz lśniących białych kul i postrzępionych jak pióra szarych boczniaków, były też oślizgłe pomarańczowe muszle i olbrzymie nadęte purchawki w kolorze miodu.

– Skąd będziesz wiedzieć? – zapytała Yolanda. Pracowały teraz razem, bo dała Verli worek na grzyby i pokazała jej, jak związywać łapy królików. Lecz Verla nie odpowiedziała, tylko posłała jej swój niepokojący uśmiech.

Verla ma to na końcu języka, kiedy wraca do swojego boksu. Rosyjska ruletka! Ale po chwili

wie, że wymyśla sensacje, że tylko je sobie wyobraża. Jest przekonana, że grzyby nie są niebezpieczne. Czuję rozczarowanie.

Nie czuje też zagrożenia. Im dłużej obserwuje Boncera, tym bardziej on staje się tym, który nie powinien czuć się bezpiecznie.

Każda miała teraz swojego podopiecznego. Albo wariowały, albo znajdowały sobie dziwne źródła szczęścia.

Leandra przykucała i przemawiała do swojego pieca, przekonywała go i strzegła.

Barbs kołysała swój wielki gar, myła go i obsesyjnie wycierała do czysta, codziennie rano odnosząc na biodrze w kącie kuchni, to swoje ciężkie, metalowe dziecko, i wrzucając do niego królicze ciała: *raz, dwa, trzy*.

Rhiannon znalazła na zboczach wzgórz szkielet starego pickupa, jak sterczące białe kości, ledwo widoczne pośród żółtych traw. Co rano dreptała pod górę, gramoliła się do środka ponad zardzewiałymi drzwiczkami przez całkowicie skorodowany fragment dachu i siadała na miejscu kierowcy. I siedziała tam, wśród pajęczyn i odchodów myszy i szczurów z buszu, moszcząc się na przegniłej poduszce spleśniałego fotela z gąbki. I siedziała tak, godzinę za godziną, z dłońmi na kierownicy, patrząc przez wybitą przednią szybę na białe niebo i kruki. To było jej codzienne zadanie: pomaszerować do pickupa i posiedzieć tam, doprowadzając się do szaleństwa, a o zachodzie słońca któraś z dziewczyn zawsze sprowadzała ją z powrotem, wiodąc za rękę przez łagodny zmierzch. Po pewnym czasie twarz Rhiannon tak spaliło słońce, że kazały jej zakładać jeden ze starych czepków, gdy tylko schodziła z werandy. Dłonie miała czarne jak sadza.

Joy i Lydia – a teraz też Izzy – miały siebie nawzajem i swoją pęsetę. Nigdy się nie rozdzielały, nieustannie obejmowały ramieniem talię albo szyję tej drugiej. Czesaly się z czułością, zaplatały sobie wzajemnie brudne włosy i związywały szmatkami, wrywały sobie brwi tak mocno, że te prawie już zniknęły. Siedząc na słońcu, oglądały sobie nogi, krocza i pachy, nachylając się ku każdemu wrogiemu włoskowi, który tylko się pojawił. Gładząc się nawzajem dłońmi, niczym czytający Braille’a, z zamkniętymi oczami, by mieć pewność, że nie umknie żaden zagubiony przezroczysty włos. Joy, Lydia i Izzy gardziły resztą dziewczyn, wszystkimi oprócz ich wydepilowanej trójki. Były zdegustowane owłosionymi łydkami Yolandy, cieniem nad górną wargą i ryżym meszkiem pod pachami Verli.

Podopieczna Maitlynd była prawdziwa: żaba, wielkie, obrzydliwe stworzenie, które czaiło się pod zbiornikiem z wodą. Maitlynd więc co rano patrolowała parapety w poszukiwaniu ciem, chwytając w dłonie te żywe i napełniając zagłębienie spódnicy martwymi owadami niczym płatkami kwiatów. Zanosila je i składała obok zbiornika, nucąc półgłosem i szepcząc, gdy wystawiała dłonie, a żaba przyskakiwała do nich, gulgocząc.

Hetty miała swoją religię i wszystkie musiały o tym wiedzieć.

– Bóg nas widzi – piała co rano. – On nas widzi! – I klękała, modląc się na żwirze: – Panie, uwolnij nas, uwolnij nas.

Hetty była kretynką, ale to było zaraźliwe: nawet Yolanda zaczęła odczuwać coś mistycznego, jakieś przeznaczenie w tej odmianie, w tym, że skończył się głód. Jakby to ona z tymi swoimi wnykami była Mojżeszem, jakby rozdzieliła morze, a teraz musiały już tylko ruszyć ku bezpiecznemu miejscu.

Uwolnij nas, uwolnij nas.

Lecz gdy tylko Yolanda znalazła się na powietrzu, brodząc wśród traw w poszukiwaniu pułapek, słowa Hetty były już tylko starą, odwieczną, pozbawioną nadziei modlitwą, równie użyteczną co „Wlazł kotek na płótek” czy „I will survive”. Modlitwa Hetty to tylko słowa, lekkie i suche niczym zwiędłe liście eukaliptusa, które rozsypują się w palcach.

Wędrując, żeby sprawdzić pułapki, Yolanda często widywała Verlę wśród traw, jej czerwona plastikowa miska migiała niczym mała flaga w oddali. Zawsze pierwsza w mglistym świetle poranka, szukająca grzybów pośród rosy. Kręcąc się po pastwiskach i od czasu do czasu opadająca na kolana z cichym okrzykiem. Yolanda, przykucając i otwierając lub zastawiając wnyki, obserwowała Verlę. Wiedziała, że Verla nie szuka tylko grzybów, gdy stoi tak długie minuty, przeczesując wzrokiem wzgórz i horyzont. Szukała tego białego konia ze swoich gorączkowych snów.

Pieśń, którą witam słońce, kiedy wstaje o świcie[2]. Verla wędruje pośród delikatnego, pokrytego rosą poranka, szepcząc strofy Whitmana. Zaskakuje ją, jak dobrze pamięta książkę, którą jej podarował,

wersy z szelestem zsuwają się z jej ust, gdy idzie co rano, szukając grzybów. Pamięta oczywiście te wczesne słowa, które mruczał, muskając ją nosem, gdy myślała, że sama pięknie niczym owoc od ciężaru całego tego kipiącego pożądania. Jego i jej. *Położyłeś głowę na moim łonie i delikatnie mościliś się na mnie*[3]. Brnie przez trawę, czuje jak kości jej wąskich stóp pracują w zimnych skórzanych butach. *I koszulę ściągnąłeś mi z piersi, i językiem dobrałeś się do mojego nagiego serca*[4]. Dzierzbowrony upuszczają w dół swe srebrzyste nuty. Verla czuje, jak dawne, powolne ciepło wzbiera w niej z każdym wyrecytowanym wersem. Tamta n a g o ś ć. Przed nim nie miała pojęcia, że nawet literowanie może być erotyczne. A tu wszędzie wśród mokrej złoto-zielonej trawy lśnią nieruchome od rosy pajęczyny. *I wreszcie namacałeś moją brodę, i wreszcie dotknąłeś moich stóp*[5].

Lecz teraz, gdy trawa łaskocze ją po kostkach, gdy rąbek tuniki nasiąka rosą, a słońce łagodnie ogrzewa ziemię, to nie fragment o pożądliwym języku ani nagiej piersi (a jednak, och, słodka, naga płaszczyzna jego torsu, chciało jej się płakać z tęsknoty i płakała), lecz inne, zaskakujące fragmenty, takie, o których nawet nie wiedziała, że je zna, przychodziły jej do głowy. *I omszałe strupy wijącego się płotu, stopy kamieni, czarny bez, dziewanna i szkarłatka*[6].

Dostrzega w drobnym zagłębieniu między kępkami trawy obrzmiałość świeżych białych wypukłości i rusza ku nim. *Samotny daleko w górach i w guszy poluję*[7].

Pochyla się, chwyta za nóżkę największy grzyb i unosi go ku twarzy. Pachnie ziemią i wilgocią, niemal jak człowiek. Muska czubkami palców po delikatnych fałbankach pod kapeluszem. To nie taki, jakiego chciała, prawdopodobnie. Ale mimo wszystko. Wrzuca go do innych, mniejszych, ukrytych w mroku poręcznej torby zrobionej z kuchennej serwetki.

Kapelusz grzyba ma taki sam cienisty, kredowy odcień bieli, co koń, którego widywała nocą. I jednorożec, wtedy w Paryżu.

W muzeum Cluny stali przed gobelinami, a jego kciuk gładził mocno i namiętnie kręgi u nasady jej szyi. Poddała się temu rytmicznemu uciskowi, chłonąc oczami i umysłem cudowność podziwianych starych tapiserii. Zdumiona tym, jakie wywarły na niej wrażenie, choć wszystkie inne stare i martwe rzeczy, które jej pokazywał, jedynie ją nudziły lub irytowały. Ale tutaj, te czerwienie i rudości, skore do zabawy króliczki i małpka wsuwająca pyszczek w kwiaty. Dziewica trzymająca mocno róg jednorożca, Verla wiedziała, jak czuje go w swej dłoni (nie była z nim już dziewczicą, ale on lubił udawać). A gdy wrócili do hotelu, obracali się i wsuwali pod siebie w promieniach słońca, a wszystkie splecione nici tapiserii stopiły się w niej w jedno: poezja, smaki, zapachy, dźwięki i obrazy, kwiaty i harpie, i My Only Desire, i Body Electric, i Verla wiedziała, że jej życie naprawdę się rozpoczęło.

To było dawno temu.

Kroczy po trawie, jej ciało raz jeszcze ożywia owo wspomnienie i odradzająca się świadomość tego, co różni ją od innych. Nie jest taka jak one. Została oszukana, owszem, ale nie przez niego. On jej nie wykorzystał, nie napadł na nią, nie była molestowana. Była wielbiona i pragnęła tego bez reszty. *Ciekawska wędrowniczka, dłoń, wędruje po całym cielem*[8]. Mimo upływu czasu wciąż wie, że to prawda.

Ciała, dusze, znaczenia, dowody, czystości, subtelność, skutki, obwieszczenia[9]. Wymuszone na nim zaprzeczenie (płakał – mówił – gdy pisał te słowa). Jej palce są zimne, teraz, w tym wilgotnym powietrzu o poranku. Wpycha pięści pod pachy, gdy idzie i szuka.

Relacje, których nie utrzymywał. Ale utrzymywał, żarliwie, i ona także. I gdzieś tam za nią tęskni, jest chory ze zmartwienia, pragnie jej powrotu, szepcze:

– *Przepraszam, tak bardzo przepraszam* – całym swoim nagim sercem.

[2] Walt Whitman, *Pieśń o mnie*, fragment 2, w przekładzie Andrzeja Szuby, w: Walt Whitman, *Pieśń o mnie i inne utwory*, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1996.

[3] Walt Whitman, *Pieśń o sobie*, fragment 5, w przekładzie Andrzeja Szuby, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1992.

[4] Ibidem.

[5] Ibidem.

[6] Ibidem.

[7] Walt Whitman, *Pieśń o sobie*, fragment 10, w przekładzie Ludmiły Marjańskiej w: Walt Whitman, *Żdźbła trawy* pod redakcją Juliusza Żuławskiego, PIW Warszawa 1966.

[8] Walt Whitman, *Spontaniczne ja* w przekładzie Andrzeja Szuby w: Walt Whitman, *77 wierszy*, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2005.

[9] Walt Whitman, *Kobieta czeka na mnie* w przekładzie Andrzeja Szuby, w: Walt Whitman, *Kobieta czeka na mnie*, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1991.

Hetty była debilką i choć to idiotyczne, to właśnie głupia, brzydka Hetty zdradziła Yolandzie sekret jej skarbów: króliczych skórek.

– Muug – chrząknęła pewnego ranka Hetty, mając usta wypełnione zupą instant. Stała, wytrwale przeżuując szary proszek, rozmiękczejąc go i gniotąc, wdychając i wydychając powietrze nosem, gdy mielila ustami.

Yolanda zignorowała ją, skupiając się na trzymaniu w górze kolejnej parującej wygotowanej skórki, która ociekała do metalowego wiadra. Może to był odór zepsutej skóry, a może samej Yolandy, której zapach zaczynał łączyć się ze smrodem zwierząt, sprawiając, że pozostałe dziewczyny zatykały nosy i jęczały, mijając ją.

Hetty w końcu przełknęła i powiedziała klejącymi się ustami, tym razem zrozumiale:

– Mózg. Powinnaś go używać.

Yolanda spojrzała na nią. Hetty wygrzebała brudnym paznokciem szarą breję spomiędzy zębów, po czym przesunęła po nich językiem, a dłonie wytarła w spódnice. Kiedyś jej kardynał oglądał niekończący się program o budowaniu domów. A potem inny z tym samym Angolem, który własnoręcznie budował sobie szałas. Wyprawiał skórę jelenia jego własnym mózgiem, oznajmiła Hetty. Cholera go wie, dlaczego.

– Rozgniatał go – powiedziała. – A potem wcierał.

Yolanda próbowała wszystkiego. Wrzącej wody, soli, octu, nic nie działało, nic nie powstrzymywało skórek przed zwijaniem się i twardnieniem w zmatowiałej, cuchnącej formie.

Mózgi zadziały.

Za pierwszym razem, gdy brała tę małą delikatną główkę w dłonie, czuła szacunek i stratę. Była niemal jak głowa ptaka. Trzymała ją delikatnie, malutki zamknięty pyszczek z poszarpaną, zakrwawioną szyją. Ale mimo wszystko nacięła cienką, mechatą skórę pomiędzy uszami i rozsunęła na boki kciukami, odsłaniając intymną, zimną warstwę czystej białej kości pod spodem. Siedziała na drewnianym schodku werandy, opuściła za uszy gładką kopułę króliczej główki na stopień poniżej, przytrzymała stopami. Wzięła nóż i młotek i *hup!* szepcząc *przepraszam*, rozdzieliła czysto na pół. I mózg leżał tam, niczym grudka trzewi. Chwyliła go palcami, wrzuciła do miski. Nie patrzyła, gdy po raz pierwszy ucisnęła, ugniotła na miazgę, gdy poczuła, jak pęka i się rozlewa.

Wkrótce do tego przywykła, a wilgotne, surowe rękawice ze skórek stały się jej ulubieńcami. Pozostałe dziewczyny, poza Verlą, unikały jej teraz jeszcze bardziej, gdy czerpała z tego jakąś odrażającą zmysłową przyjemność, odnajdywała pocięchę w rytmie zadań: ściągania futer i zdrapywania z nich tłuszczu i mięsa, zanurzania, gotowania i naciągania, wcierania soli, gładkiego przesuwania śliskich od króliczych mózgów palców, wmasowywania papki w jedwabistą skórę. Czuła, że wraz z tą emulsją daje miłość. Masowała te małe stworzenia z czułością i z podzięką przez wnętrza ich skórek.

Prawdopodobnie traciła rozum.

Verla siedziała z nią i znowu opowiadała o obrazach, które widziała w Paryżu z tamtym chujem politykiem. Verla, biedaczka, wciąż w niego wierzyła. Yolanda nie sprzeczała się, gdy Verla delikatnie dawała do zrozumienia, że uważa się za lepszą od pozostałych.

Głos Verli aż promieniał, gdy mówiła o kolorach na obrazach, o tym jak farba gromadziła się w niektórych miejscach i błyszczała w światłach muzealnych galerii. Jak te fizyczne grudki i maźniece farby sprawiały, że obraz tańczył, że gęsty, oleisty płyn stawał się polami zboża, szpitalnymi ogrodami, krabami i słonecznikami. To nie obraz, tylko *farba*, czy Yolanda to rozumie? Nie, Yolanda nie rozumiała... Tylko czasami, gdy słuchała, obserwując, jak jej palce robią musującą piankę z króliczego mózgu myślała, że *mogłaby zrozumieć*, zobaczyć światło wychwytyjące krzywizny pęcherzyków wśród mózgowej papki.

Czasem patrzyły na siebie i Yolanda czuła się rozumiana. Dla Yolandy Verla rzeczywiście była lepsza od reszty, lepsza od niej samej.

I wtedy Verla wstawiała, zabierała swoje lśniące obrazy i dziwną, zboczoną poezję z powrotem do kuchni, by posiekać królicze mięso na posiłek. Verla, podobnie jak inne, nie interesowała się futrami. Wszystkie śliniły się tylko do mięsa, ustawione wzdłuż blatu, szarpiące, tnące i rozrywające tępymi

nożami chude, pozbawione skóry ciała.

Lecz dla Yolandy skóry były wszystkim. Tak lekkie, tak delikatne – zbyt wczesne opalanie włosów albo nie dość dokładne rozsmarowanie mózgowej papki powodowało, że wysychały wtedy i twardniały w niewłaściwych miejscach. W nocy pociągała je za krawędzie, ciągnęła i napinała, żeby miękły i stawały się jedwabiste, cud sztywnej martwej materii przemieniającej się powoli podczas kilku tygodni w jej dłoniach w najdelikatniejszą irchę.

Wkrótce zawsze miała przy sobie ze dwie albo trzy. Wepchnięte za pasek, łopoczące, gdy się poruszała. Poszarpany pas okręcony i przywiązany wokół ramienia. Później coś w rodzaju apaszki, królicze łapki wykorzystane niczym wiązanie czepka. Szła, a skórki powiewały i kołysały się, nadymając jej figurę, gdy kroczyła świtem po pastwiskach.

Zrobiła stelaż do suszenia skórek na południowej stronie werandy – zbyt wiele słońca niszczyło je, potrzebny był cień i delikatne, stałe ciepło. Teraz nosiła już skórki ze sobą wszędzie, cały czas trzymała i gładziła jakiś kawałek, rozciągała na oparciu krzesła albo zdrapywała tłuszcz i tkankę małym ostrym kamykiem, których garście nosiła po kieszeniach.

Niektóre z dziewczyn mówiły, że Yolandzie odbiło, ale ona wiedziała, że nie jest chora na umyśle, że wręcz zdrowieje. Czy wszystkie nie zrobiły się silniejsze, teraz, gdy jadły mięso? Czy nie miały zajęcia, zamiast jedynie tkwić w niewoli?

Yolanda czuła, jak wzbiera w niej jakaś prymitywna siła, gdy skrobie i naciąga, gdy maszeruje po pastwiskach, zastawiając i uruchamiając wnyki. Ten wigor miał coś wspólnego z powietrzem. I z ziemią. Krwią i trzewiami zwierząt, księżycem i porami roku. To wykraczało poza jej nazwane *ja*, poza *dziewczynę*, poza *kobiecość*. Nawet poza *człowieczeństwo*. To wiązało się z mięśniem poruszającym się wokół kości, ze zwierzęcą szybkością, zapachem, krwawym łomotem serca i oddechem.

Okryta cuchnącymi skórami przykucała czasami wśród kęp trawy i obserwowała Boncera, który szukał jej i nie widział. Stawała się niewidzialna.

W schowku na mięso Verla zamyka drzwi i zasuwa skobel. Tylko Yolanda wie o tych grzybach, ale jest pochłonięta swoim króliczym królestwem, oddana mu, obojętna na wszystko inne.

To tutaj Verla przynosi swoje grzybowe zbiory, to jej laboratorium. Nikt tutaj nie przychodzi, do tego ciemnego, przewiewnego pomieszczenia ze ścianami z poobijanej siatki i podłogą z ubitej ziemi, schowanego za starą betonową pralnią w cieniu zbiornika na wodę. Gdy wacha gładką, wygiętą do środka powierzchnię blatu masarskiego, czuje tłusty, cuchnący odór starego mięsa. Jak dawno temu rozczłonkowywano tutaj oskórowane ciała owiec i bydła, oczyszczano z ostatnich kłębków wełny i pasów owłosionej skóry, siekano na kawałki i rozwieszano? Stara skrzynia na lód z obdartym chromowanym frontem i wypukłymi zawiasami służy teraz jako szafka.

Podchodzi do drewnianej skrzynki ukrytej za skrzynią na lód i ściąga worek, który przysłania jej zbiory, suszone grzyby, i dorzuca swój dzisiejszy łup do skrzynki. Jest już do połowy pełna. Przeciąga ją po podłodze i sięga do środka, wyciągając jedna za drugą niemal nic nie ważące pianki. Wykłada je na szeroką powierzchnię rzeźnickiego blatu. Znowu układa je rzędami, przyglądając się im i dzieląc, ucząc się ich kształtów i barw, subtelnych różnic w zapachu. Szerokie i płaskie brązowe to ławizna: pieczarki, zwykłe polne grzyby. Wyglądają nieciekawie, ale i tak przesuwają czubkami palców po falbankach na ich spodach (wspomnienie o Andrew przemyka przez jej głowę wraz z dotykiem aksamitnie układających się blaszek). Układa je po jednej stronie.

Pozostałe to te, które dają pewne możliwości, te, które trzeba sprawdzić. Są tam drobne i delikatne srebrne wiatraczki. Tak delikatne, że niemal rozpadają się przy dotyku; nauczyła się podnosić je za nóżki za pomocą dwóch patyczków użytych jak pęseta. Rozpuszczają się na języku, a poza leciutką goryczą nie czuć nic. Są też te śmieszne bajkowe, jaskrawoczerwone w białe kropki i wąskie z brązowymi kapeluszami przypominającymi kaptury, mnisie kaptury na szczupłych białych nóżkach. Kolejny zestaw krągłych jaskrawożółtych kopulek z poplamionymi, mięsistymi ogonkami. Gdy je obraca, spody kapeluszy lśnią lepko, przypominającą miód substancją. To tych musi dzisiaj spróbować: ich jadowita żółć i skrzepy krwistej pleśni wydają się obiecujące.

Dotyka palcem miodowej rosy i kładzie ją sobie na języku. Teraz musi poczekać i odmierzyć czas do wystąpienia reakcji. Wydrapuje numer i symbol na brudnej podłodze obok skrzyni na lód, pośród innych zapisków, i zaczyna odliczać sekundy. Czekać, układa grzyby w rzędach według kształtu, koloru i rozmiaru, cały czas licząc upływający czas.

Po pięciu minutach nadal nic. Musi odczekać godzinę, zanim stąd wyjdzie, a pewność uzyska dopiero po czterdziestu ośmiu. Chodzi tam i z powrotem, krąży po schowku na mięso, z kciukiem wsuniętym między zęby, czekając, licząc, odznaczając na podłodze kreski minut po pięć, a potem po dziesięć.

Dwa razy się zdarzyło, że miała cudowne halucynacje – falujące, oddychające, wspaniałe – ale tylko po jednym rodzaju brązowych mnisich kapturów, a więcej już takich nie znalazła. Innym razem zasnęła na niemal pół dnia i odwiedził ją znowu mały pstrąg, którego pamiętała z gorączki w izbie chorych. W śnie jego brązowe, lśniące, cętkowane ciało było pozbawione ciężaru i pełne spokoju, unosiło się w wodzie, jakby było w niej zawieszona.

Potem obudziła się z poczuciem suchości w ustach i przerażona, że ktoś ją nakryje, ale nikt nie przyszedł. Wytarła ślady ziemi z policzka i podreptała z powrotem do boksu. Żaden z tych efektów nie był tym, czego szukała. Ale jest wdzięczna za tę odrobinę pstrąga w sobie, gromadzącego spokój. Czasem zabiera go ze sobą do snu.

Krąży, czeka, godzina mija bez żadnego efektu. Niecierpliwi się. Odrywa kawałek wielkości kciuka z żółtego kapelusza, żuje go (*fuj! jakie gorzkie*) i połyka. Zaczyna liczyć od nowa, zbierając jednocześnie i odkładając na miejsce swoje łupy.

Może już ma halucynacje? Może któreś z nich wydzielają psychoaktywny gaz, bo czemu spędza tutaj tyle godzin w tym wilgotnym, pełnym zarodników półmroku, chodząc w kółko wokół blatu rzeźnickiego i wpatrując się w grzyby, z taką atencją, z taką miłością? Bo Yolanda może mieć te swoje króliki, Hetty swoją religię, wszystkie mogą mieć swoje ulubione rzeczy, ale ona ma plan. Obserwacja, identyfikacja, klasyfikacja. Zabezpieczenie, przechowanie, czekanie na odpowiedni moment,

wypatrywanie okazji. A potem: działanie.

Czasem w nocy ma piękne wizje: Boncer pełza, cierpiący, po podłodze, a Yolanda i Verla stoją nad nim, z założonymi rękami, niewzruszone. On szamocze się, skręca, błaga je o to czy tamto. Upokorzony.

Ale dzisiejszy dzień nie spełni tej wizji. Nadal nie czuje kompletnie nic. I wie, że w nocy też nic się nie stanie, tak samo rano, a jadowicie żółty grzyb okaże się równie oszukańczy i niegroźny jak inne.

Gdyby Lydia miała dziecko, nazwałaby je Dakota albo Siena. A może Judith, po swojej babci. Tego późnego popołudnia część dziewczyn leżała na deskach po zachodniej stronie werandy, ogrzewając się w ostatnich bladych promieniach zimowego słońca przed końcem dnia. Dakota brzmi ładnie, zgodziły się sennie.

– A gdyby to był chłopiec? – zapytała Maitlynd, ale Lydia zmarszczyła nos.

– Usunęłabym – oznajmiła.

Leandra, która leżała na plecach z podciągniętymi kolanami i rękoma wyciągniętymi za głowę i opartymi o gładkie, srebrzyste deski:

– Nie wiedziałabyś tego, dopóki byś nie urodziła, głupia.

Lydia przewróciła się na brzuch, spojrzała na swoje ramię, które spoczywało równolegle do krawędzi deski.

– Wiedziałabym. Zrobiłabym sobie taki specjalny test, a gdyby to był chłopiec, pozbyłabym się go.

Po drugiej stronie ścieżki Teddy i Nancy zeszli po schodkach spiżarni z rękoma pełnymi pudełek. Żadnej z dziewczyn nie wolno było tam wchodzić już od tygodni; nie miały pojęcia, ile jedzenia zostało. Nancy trąkotała coś do Teddy'ego, który tylko pomrukiwał w odpowiedzi. Zaczął znikać od czasu do czasu wraz z Nancy w gabinecie przy izbie chorych, skąd wracał na obiad z królika z zamglonym wzrokiem i wilgotnymi, czerwonymi ustami.

Dziewczyny obserwowały, jak Teddy wykorzystuje Nancy. Był obrzydliwy, jak wszyscy mężczyźni, były co do tego zgodne. To mężczyźni wszczynali wojny, to oni zabijali na całym świecie, gwałcili i okaleczali.

– Wyobraźcie sobie, gdyby to kobiety rządziły światem... – westchnęła Izzy.

Zapadła cisza.

Rhiannon mruknęła:

– Ale ja lubię facetów. – Wszystkie twarze skierowały się na nią, więc szybko dodała: – Ale oczywiście nie tych.

– Wyobraźcie sobie to miejsce, gdybyśmy były tu tylko my – powiedziała Barbs.

Pozostałe rozważyły to w milczeniu. W końcu Joy powiedziała cichym głosem:

– Wciąż byłaby Nancy.

– I Hetty – dodała Maitlynd.

Przeszedł je dreszcz.

Przyleciało stado białych kakadu, które zaczęły lądować hałaśliwie na płaskiej ziemi, a ich biała linia unosiła się i opadała niczym strzepywane prześcieradło.

– Tęsknię za groszkiem – stwierdziła z żalem Rhiannon. Zwykle jadła go wprost z kubka siedząc przed ekranem. Mrożony, łyżeczką. Jeśli zbił się w grudkę, unosiła ją do ust i wgrzyzała w nią, a lód mieszał się z groszkiem, wypełniając jej usta pysznym kremem.

Pewnego mroźnego poranka widziano Teddy'ego, jak wymykał się z pokoju Nancy, zapinając kombinezon. A później dziewczyny słyszały, jak Boncer i Teddy wykrzykiwali coś z głębi domu. Potem Teddy pozwolił Nancy wziąć się pod rękę, gdy wyszli z jej pokoju ze szklistym wzrokiem, i pozwolił jej położyć się obok siebie, gdy opalał się na macie do jogi. Oparli się wtedy oboje o ścianę i siedzieli tak w bladym zimowym słońcu. Od czasu do czasu Teddy wstawał i szedł na długi spacer, ale każdej nocy wracał do Nancy i jej tabletek.

Boncer zrobił się gorszy. Wciąż obserwował Yolandę z desek werandy z pełnym nienawiści pożądaniem, gdy przemierzała pastwiska, ale zawsze miała przy sobie wnyki, a on wołał się nie zbliżać. W związku z tym jego nienawiść do niej, jego pragnienie, przelewały się na inne. Pojawiał się nagle z tyłu rzędu dziewczyn ze swoją pałką, wciskał ją im między nogi, aż podskakiwały, przesuwał nią po ich karkach, gdy jadły, sprawiając, że aż się wzdrygały. Czasami Teddy lub Nancy odciągali go bez większego zaangażowania, bełkocząc:

– Daj spokój, stary – ale wszyscy wiedzieli, że to tylko kwestia czasu.

To Leandra znalazła sposób, jak wyjąć zasuwę z drzwi do ich boksów i przestawić je z drugiej strony. Teraz to one zamykały się na noc.

Stoją przy blacie w kuchni i zdrapują tłuszcz ze skór, gdy Hetty mówi przebiegle do Yolandy:

– Dlaczego tego nie zrobisz?

Gdy pozostałe dziewczyny orientują się, o czym mowa, przerywają pracę, wciągają powietrze i czekają, aż Yolanda rzuci się na Hetty. I swoim pordzewiałym żelastwem albo po prostu silną, brudną łapą chwyci ją za gardło.

Yolanda ostatnio rzadko się odzywa; od czasu do czasu słychać, że coś tam chrząka pod nosem albo mamrocze jakieś instrukcje dla Verli, ale do reszty z nich się nie odzywa. Teraz prostuje się nad królikiem leżącym przed nią na blacie i wbija wzrok w Hetty. Verli przypominają się kangury, które czasem zaskakują ją i Yolandę przypadkiem. Wyciągają się wówczas do góry, sztywne jak drągi i gapią przez długą minutę na dziewczyny, zanim odwrócą się i odskoczą swobodnie w dal, aż poszycie tylko pod nimi zatrzeszczy. W taki właśnie sposób Yolanda odwraca się teraz od przebiegłego uśmiešku Hetty i wbija nóż w kolejny sztywny, pokryty futrem brzusek. Hetty to jedynie ciekawostka, irytujący komar, a Yolanda ma przecież robotę.

Dziewczyny wracają do zdrapywania, ale Verla widzi, że rzucają spojrzenia na Yolandę, oceniając ją, jak prawdopodobnie czyni to Boncer, jak robi to Hetty. Mocna szczeka Yolandy, wysokie, szlachetne czoło. Szerokie, pełne usta, oczy Kleopatry o ciężko opadających powiekach. Wysokie, sprężyste ciało, w skórzanych strzępach ubrania zadziwiająco jeszcze bardziej majestatyczne. Ogolone włosy odrosły jej, tworząc tłuste, czarne futro na głowie. Żeby osłonić uszy i szyję przed chłodem poranka na pastwiskach, zrobiła sobie z króliczych skórek coś w rodzaju prymitywnego szala. Twarda, nierówno wygarbowana skóra sprawia, że szal sterczy na jej karku i ten kołnier z futra jeszcze bardziej podkreśla królewską postawę, przejrzystość szarych oczu zabójcy.

Jednak Hetty jeszcze nie skończyła.

– Mogłabyś mieć przywileje – mówi. – Zrobiłby, co byś chciała.

I Yolanda przemawia ochrypłym głosem:

– Po moim trupie. – I rozłupuje kość.

Hetty ironizuje:

– To spodobałoby mu się jeszcze bardziej. – A wokół rozchodzą się chichoty.

Izzy opiera się o framugę i pyta Yolandę wprost:

– Ale przecież robiłaś gorsze rzeczy, nie tak? I nikt nie słyszał, żebyś się skarżyła, jak je wtedy robiłaś.

Verla dostrzega na twarzy Yolandy cień koszmarnego bólu, który natychmiast znika. Nikt nic nie mówi, nikt się nie porusza. Izzy wygląda na przestraszoną, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, co powiedziała. Yolanda zachowuje się tak, jakby nic nie słyszała, obrabia królicze truchło, oddziera skórę od mięsa, spokojnie oddycha. Ale Verla czuje, jak serce Yolandy łomocze w jej własnej piersi.

Wreszcie Yolanda zwraca się do Hetty i chrypi z pogardą:

– Chcesz przywilejów? To zaoferuj siebie.

Wszystkie dziewczyny patrzą na Hetty. Nikt nie pomyślał o tym, że Boncer mógłby zaakceptować kogoś innego. Zwłaszcza Hetty. Jej to nawet nie przyszło do głowy. Ale Verla zauważyła, że ta myśl teraz w niej kiełkuje, wraz ze świadomością, jak bardzo Boncer jest zdesperowany. Hetty zastanawia się, kołysząc się na piętach i wyglądając przez okno ponad blatem. Przepycha się pomiędzy nimi, przechodzi przez jadalnię i zbiega ze schodków werandy.

Potem, na żwirze, Hetty oznajmia:

– Zrobię to.

Dziewięć dziewczyn stoi wokół niej: małej, pryszczatej Hetty, która zadarła wobec wszystkich podbródek, nagle potężna.

– Naprawdę? – Leandra patrzy na nią z odrazą, ale wszystkie odczuwają też ulgę. Skoro to zrobi, skoro Boncer będzie ją chciał...

– Potrzeba mi paru rzeczy – rzuca wyniośle tępa drobna buzia. Grube wargi, jasne, pozbawione rzęs oczy; jest zdeterminowana, jak nigdy dotąd.

Klatka piersiowa Yolandy, okryta futerkami ułożonymi na krzyż, unosi się i opada. Yolanda odwraca się do pozostałych:

– Dajcie jej, co chce.

Dziewczyny zaczynają pomrukiwać z oburzeniem – kto wybrał Yolandę, żeby rządziła resztą? – podczas gdy Hetty recytuje swoją listę. Myślą jednak wszystkie o patykowatych palcach Boncera pełznących po ich skórze, o jego cuchnącym oddechu na ich ustach. Skoro zadowolili się Hetty...

Verla podnosi wzrok na werandę, żeby sprawdzić, czy są obserwowane. Słyszą z głębi domu głos Nancy wdzięczącej się do Teddy'ego, ale Verla czuje, że za którymś zasłoniętym oknem czeka Boncer.

Yolanda już siedzi na żwirze, ściągając z nóg buty i zamieniając je na te Hetty z jedną kłapiącą podeszwą. Niektóre z dziewczyn rzucają Yolandzie rozgoryczone spojrzenia, ale spełniają żądania Hetty.

W efekcie Hetty ma najmniej znoszoną tunikę i najlepsze buty, wynegocjowała też więcej jedzenia i mniej pracy. Rozgląda się teraz wokół z triumfem, przygląda się swojemu ubraniu, szukając jeszcze czegoś, czego mogłaby zażądać. I znajduje.

– Jeszcze lalka – mówi.

Przez chwilę gapią się na nią, nie rozumiejąc, wszystkie twarze zwrócone ku niej w ciszy, białe niebo przyczajone od góry. Koło domu pojawił się właśnie Boncer, opiera się o balustradę werandy. Szyja Hetty nadbiega krwią, przedziwna marmurowa mieszanina bieli i czerwieni. Mimo wszystko Hetty nie odwraca wzroku, patrzy na nie wszystkie, a one wiedzą, że mówi serio. Chce lalkę.

Barbs odzywa się pierwsza, z niedowierzaniem:

– Co, taką do zabawy?

– Tak.

– Jak dziecko – oznajmia zdziwiona Rhiannon.

Tak. Hetty już nie jest zarumieniona. Stoi odważnie przed nimi, w nowym ubraniu, z dłońmi na drobnych, krągłych biodrach, z wyprostowanymi plecami.

– Lalka. Albo tego nie zrobię.

Pełen zdumienia szmer, pomruk: *skąd-niby-według-tej-głupiej-cipy-mamy-wytrzasnąć-jakąś-lalkę?*, a Boncer przesunął się na szczyt schodków. Widzi, że coś się dzieje. Orientuje się, że go obserwują i uśmiecha groźnie, bawiąc się pałką i rozstawiając szeroko stopy na deskach werandy.

– Zrobimy ci lalkę – mówi Verla.

– Na jutro – odpowiada Hetty.

– O Boże, chyba żartujesz – stwierdza Lydia.

– Na jutro – potwierdza Verla.

Hetty odwraca twarz w stronę werandy.

Czy można czuć wdzięczność wobec kogoś, kim się gardzi? Owszem, to właśnie odczuwała Yolanda. Gdy Boncer pojawił się na werandzie, aż zgęstniało powietrze. Dziewczyny umilkły i któraś – nie Yolanda, choć miała wielką ochotę – popchnęła Hetty do przodu. Hetty, biedna, głupia, mała Hetty, stała tam z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków, zaciskając i otwierając dłonie. Czy Boncer w tym momencie wiedział, czy rozumiał ten gest, to ustępstwo? Powoli obracał pałkę w dłoni.

I wtedy Yolanda też się odwróciła i zostawiła Hetty – jak do inspekcji. Boncer oparł się o słupek werandy i skrzyżował stopy, niepewnie badając wzrokiem Hetty, która stała poniżej na żwirze. Czekala, skrępowana, zerkając na boki. Gdy dziewczyny się oddalały, usłyszały jeszcze, jak Boncer warknął wściekły:

– Ta brzydka suka? Wezwijcie lepiej Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami! – A potem jego okropny głos się obniżył i zaczął mówić do Hetty słowami, których one wołały nie słyszeć. Podreptały do swoich boksów, zawstydzone, i zatrzasnęły za sobą drzwi.

W swojej celi Yolanda podniosła tłustą, niewyprawioną skórę z cuchnącego stosu, usiadła na łóżku i zaczęła skrobać ją na kolanach. Obrazy przychodziły i odchodziły – makabryczny nagi Boncer, jego penetrująca pałka, zaciskające się dłonie Hetty. Pozwoliła im przetoczyć się przez umysł i szybko zniknąć, niczym kruszący się marmur. Pośród chrobotania noża mignęły jej przed oczami rzeczy, które przychodziły do niej tutaj w snach: groźny pysk szczekającego psa, łopot skrzydeł, ciało wystawione przy drodze jako żer dla sępów.

Wystawiły Hetty na coś, co powinno być losem Yolandy.

Dziewczyny w swoich boksach najpierw były cicho, czekając na krzyki ze wzgórza. Potem któraś powiedziała, że Hetty to złożona przez nie w ofierze dziewica, a inna prychnęła:

– Raczej nie.

Chichot przechodził z boksu do boksu. Nie będzie im przykro. Ta głupia cipa sama się zaferowała.

Yolanda skrobała i skrobała, czując na nowo, jak z każdym oddechem miękko zapadają się jej zębra, czując niosącą ulgę lekkość pod nimi, gdy Hetty powiedziała:

– Ja to zrobię.

Chichot dziewczyn najpierw się zaciął, a potem urwał raptownie. Zapadło oskarżycielskie milczenie. Yolanda czuła je przez metalowe ściany. I wtedy Verla zawołała:

– Musimy zrobić lalkę.

Odpowiedziała jej znowu cisza, która tym razem oznaczała: *Sama ją sobie, kurwa, zrób.*

Yolanda nie mogła już znieść myśli o Hetty. Wzięła swoje pułapki i wyszła, a przerdzewiałe drzwi boksu z hukiem się za nią zatrzasnęły.

Zaczął kropić deszcz, niebo się obniżyło. Yolanda maszerowała, wnyki obijały jej się o uda, a ona myślała o zwierzęciu, które czeka w pułapce, o jego zimnej krwi skrzepłej na czarnych żelaznych zębach. Przeliczyła w głowie niewyprawione skóry suszące się przed boksami. Poczwała, jak jej własny oddech cofa się do płuc, naciągnęła mocniej skóry i kołnierz, by nie pozwolić deszczowi spływać jej po karku. Ochładzało się.

W końcu zeszła po łysiejącym stoku i znalazła pułapkę, niedaleko starej, na wpół zakopanej przegniłej gałęzi. W pułapce tkwił duży samiec, brązowooki, ze złamanym karkiem, martwy na amen.

Przykucnęła, żeby go wyjąć. Przyłożyła palce do miękkiego futra, ale coś ją powstrzymało. Był taki sam jak wszystkie inne, ale teraz zawahała się na moment przez jego wyjątkową urodę. Elegancję wyciętych uszu. Zaokrąglone kontury ciała, subtelny, przypominający szylkret wzór sierści pokrytej teraz drobnymi kryształkami deszczowej mgielki. Surowa biel ogona i wyraz rezygnacji w lśniących brązowych oczach.

I wtedy Yolandzie wydało się, że słyszy cichutki, przytłumiony jęk. Zamarła, obejrzała się za siebie na gruzłową ziemię. Dopiero po chwili dostrzegła, nieco w oddali, wtulonego między dwie wysokie kępy trawy trzęsącego się królika.

Przez cały ten czas ani razu nie widziała żywego z bliska. Przykucnięta obserwowała go w milczeniu. Gdy tylko ją zobaczy, z pewnością zerwie się do ucieczki. Deszcz padał coraz gęściej.

Przesunęła się, nadal w kucki, żeby mu się pokazać. Sądziła, że ją dostrzegł – musiał – ale tylko zatrząsł się jeszcze mocniej, zwinął w kulkę i wyglądał teraz, jakby miał konwulsje. Był chory.

Przysunęła się bliżej. Królik wiedział, że ona tam jest, jeszcze mocniej przywarł do ziemi roztrzęsionym ciałkiem. Znowu usłyszała cichutki, ledwo słyszalny dźwięk. Cierpiał. Deszcz na dobre się rozpadał, kapał Yolandzie z nosa, spływał po wnętrzu futrzanego kołnierza. Gdzieś tam Hetty kulila się pod Boncerem, oddając się jego cuchnącemu oddechowi, jego zimnemu, szybkemu uściskowi.

Powolny skurcz przeszedł przez ciało królika i Yolanda nagle zrozumiała, że on rodzi, a przynajmniej próbuje. W tym chłdzie i deszczu. Małe króliczki, kocięta, umrą tutaj bez osłony.

Yolanda wyciągnęła dłoń i złapała królicę. Zgarnęła ją, rzucającą się teraz i kopiącą, i wrzuciła sobie za tunikę, pomiędzy materiał a swoje ciało, szepecząc do zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Na ziemi, gdzie dotąd leżała królicza, nie widać było żadnych kociąt. Ogrzeje królicę swoim własnym ciałem, uspokoi ją. Ale samica kopała ją w brzuch, drapała wściekle pazurami. Mimo to nie podda się, zabierze ją w ciepłe, bezpieczne miejsce. Udało jej się stanąć chwiejnie ze skrzeczącym, kotłującym się ciężarem, owinęła się mocniej skórą wokół pasa, przyciskając zwierzę do siebie. (*Czy Hetty została mocno przyciśnięta? Czy broniła się, kopała?*). Ale te skóry, królicze futerka... przekonywała; czy królicza nie czuje zapachu swojego własnego gatunku?

Zacząła iść, przemawiając:

– Jesteś bezpieczna, jesteś bezpieczna. – I cały czas szła przed siebie. Królicza kopała i piszcziała, ale Yolanda była jej obrońcą w strugach deszczu, szła wciąż i szeptała: – Spokojnie, spokojnie. – Czowała, jak powoli zimne ciało królika zaczyna się rozgrzewać i uspokajać. Mniej się szarpał, tylko od czasu do czasu konwulsyjnie kopał.

– Cicho – szeptała. – Przepraszam. – Potem: – Zaraz będziesz bezpieczna.

A pulsujące ciało odprężało się i uspokajało wraz z jednostajnym ruchem marszu. Yolanda okrążyła wzgórze, przekonując do czegoś, namawiając i czując pulsowanie nowego życia. I wtedy, ojej! – skurcz porodowy, poczuła go na swoim ciele, przesunęło się po nim coś mokrego i ciepłego. *To już, wszystko będzie dobrze.* Znowu otarło się o nią coś mokrego i zaczęła stąpać tak ostrożnie, chroniąc i podtrzymując matkę i miękkie, wilgotne kulki maluchów rękoma i własnym ciałem, jakby niosła swoje własne rodzące się życie, jakby była teraz zwierzęciem. Była istotą, która poruszała się tak, jak trzeba, trzymała się ziemi z determinacją i powagą, biorąc udział w porodzie pośród ciemniejących pól pod deszczowym niebem.

Gdy Yolanda wypada ze swojego boksu i pędzi przez pastwiska, dziewczyny przestają rozmawiać i powraca cisza. Verla leży na pryczy. Na zewnątrz ściemnia się, a temperatura spada; wkrótce powietrze stanie się zimne i ostre i zacznie padać. Verla nie myśli o Hetty ani o Yolandzie, tylko o deszczu i białych główkach grzybów, delikatnie przepychających się spod ziemi.

Po chwili pośród trawy rozlegają się czyjeś kroki w kierunku boksów i czyjś zdyszany oddech. To Boncer prowadzi Hetty do jej celi. Rozlega się szept przez ściany, gdy słyszą jego kroki i kluczyki dzwoniące mu przy pasie. I domyślają się, że chce, by usłyszały, co zamierza zrobić. Zostają w swoich boksach, ale uchylają odrobinę drzwi, żeby zobaczyć, jak Hetty idzie korytarzem. Nie mogą porzucić jej w tej ostatniej procesji. Szura płasko stopami, za Boncerem, przypięta do niego znowu smyczą: jest teraz jej właścicielem. Wilgotne powietrze faluje, gdy przechodzą, a kilka sporych płatów łuszczącej się farby osuwa się na podłogę, kiedy mijają je ten makabryczny weselny pochód.

Gdy Hetty mijają drzwi Verli, wyłapuje przez szparę jej spojrzenie, a Verla wie, że pozostałe dziewczyny w boksach też czekają i obserwują.

– Sama chciała – powtarzają sobie. Po cichu plują jej imieniem, nazywają głupią zdirą za to, że się oddała. Sama sobie pościeliła.

Przechodzą, a Verla wygląda przez szparę, by zobaczyć, jak Boncer opiera ramię o drzwi boksu Hetty, żeby otworzyć je i wejść do środka. W tym momencie Hetty odwraca się i patrzy wzdłuż korytarza na wszystkie dziewczyny. Jej usta są napięte strachem. W jednej chwili zmienia zdanie, jej oczy błagają, ale jest za późno i ona to wie. Boncer pociąga za smycz, szarpnięciem w pasie wrzuca Hetty do boksu i znika wraz z nią. Drzwi zamykają się z ciężkim szumieniem.

Słychać tupot, gdy wszystkie dziewczyny wybiegają ze swoich boksów i pędzą na zewnątrz, byle dalej, w górę wzgórze. Nie będą słuchać tego, na co Hetty sama się zdecydowała.

Wspinają się jednak tylko na werandę i tłoczą, chcąc uniknąć deszczu. Bezczyinnie wyglądają na pastwiska w poszukiwaniu Yolandy, nie dostrzegając jej pokrytej szarym futrem postaci, która porusza się pośród wysuszonych traw w szarym świetle. Deszcz mocno się rozpadał, zamienia żwir w błoto, a porywy wiatru zawiewają krople pod metalowy dach. Dziewczyny stoją, zmarznięte i przemoczone, krzyżując ramiona, by utrzymać ciepło, i czekają, aż ofiara Hetty się dopełni.

Gdy Hetty i Boncer wychodzą z boksów, jest już po burzy. Słońce pod ostrym kątem wygląda zza czarnych chmur, które przesuwały się szybko nad horyzontem, i oświetla rząd czekających na werandzie dziewczyn. Boncer idzie pierwszy, a za nim Hetty. Wie, że jest obserwowana; zerka na dziewczyny, a potem prostuje plecy. Ma na sobie nocną koszulę – bosy drepcze po mokrej, błotnistej trawie – i niesie tobolek, własną tunikę owiniętą najpewniej wokół butów Yolandy, a może też bielizny. Teraz jest maskotką Boncera i on ją sobie zabiera. Hetty kroczy prosto, z wysoko uniesioną głową.

Ale zachowanie Boncera to niespodzianka. Jest całkiem inny. Rumieni się, zbliżając się do werandy. Wokół niego unosi się aura triumfu, ale też czegoś zupełnie innego: poddania. Trzyma w ręku smycz, prowadząc Hetty – nie jest już do niego przypięta – a pałka zwisa mu u boku, nietknięta. Gdy docierają do schodków, zatrzymują się i mężczyzna wyciąga dłoń. Lecz Hetty potrząsa głową, błyskawicznie, nie patrząc na niego. Nie chce, żeby zauważono, że trzyma go za rękę. Nie jest aż tak głupia.

Wchodzą po schodkach, a potem do środka domu. Hetty obrzuca dziewczyny jednym spojrzeniem, zatrzymując je na Verli, a potem przechodzi przez drzwi.

Stoją oniemiałe. Ale Verla wie, co Hetty miała na myśli.

– Musimy zrobić lalkę – mówi.

Potrzeba poduszek, sznurówek, nakrętek od butelek i skarpetek. Suche trawy do wypełniania. Piór, kory, trzciny, plastikowych torebek, papieru, drutu, sznurka, czegokolwiek. Do roboty!

Deszcz zelżał, a potem całkiem ustał. Yolanda szła i szła, szepcząc, niosąc swoje dzieci i ich wyczerpaną matkę, która teraz oddychała delikatnie. Ubranie Yolandy i królicze skórki utworzyły wygodną torbę dla wiercących się wilgotnych stworzonek i triumfującego ciężaru matki-królicy. Już się nie trzęsła. Spała w kołysce zwierzęcego *ja* Yolandy.

Ptaki zaczęły się kręcić w odzyskującym blask popołudniu.

Ostrożnie zesła z grzbietu wzniesienia. Inne dziewczyny może i zrobią dla Hetty lalkę, ale ona przyniesie jej prawdziwe dzieci do zabawy, do przytulania się policzkiem. Będzie je karmić, głaskać, a to nasyci jej nowe *ja*, którym się stała. Ono musi obrosnąć cienką, mokrą błoną, niczym owodnią. Nowa skóra na starej ranie, którą Boncer wypełnił swoją zgnilizną. Można stworzyć siebie na nowo, Yolanda właśnie to odkryła. I wyjaśni to Hetty, pokaże to jej właśnie teraz, mówiąc, żeby zamknęła oczy i wystawiła ręce. I położy na nich miękkie, puchaty ciężar – coś tak idealnego.

Gdy przemykała korytarzem między celami, usłyszała ciche głosy dziewczyn w boksie Verli.

Musi przygotować posłanie dla swojej rodziny, gniazdo ze skór. Musi utrzymać ciepło, zanim maluchom futro urośnie na tyle, by można je było oddzielić od matki. Uklęka na podłodze swojego boks, czując ciężar pełnej torby pod sobą, przyciągnęła stos skór i ułożyła je w kształt gniazda. A potem, mocno się pochylając, żeby jak najbardziej zmniejszyć odległość, delikatnie odwiązała wszystko, czym była opatulona, rozpięła tunikę i pozwoliła im wypaść, wiercącym się, w sam środek futrzanego gniazda.

Wypadła z miękkim głuchym odgłosem królicam-matka. Wypadły też ciemne, krągłe małe, chlup, chlup. Tylko, że one wcale się nie wierciły. Yolanda czekała. Wszystkie spały.

Przysunęła je razem, tłusciutki, małe wiercipięty, które się nie wierciły.

Nie, nie, nie.

Popchnęła maluchy do brzucha matki. *No dalej, maleństwa.* Pochyliła twarz nad gniazdem, tchnąc ożywym szepem.

– Obudźcie się, obudźcie.

W boksie Verli dziewczyny pokazują, co udało im się znaleźć. Verla siedzi po turecku na łóżku i przegląda znaleźiska z poszukiwań pośród mokrych pastwisk, wilgotnego prania, pod zbiornikami i budynkami. Dary złożone ze szmat, słomy, sznurków i ścierek, rzucone na łóżko Verli. Dziewczyny krzyżują ręce, ale jednak nachylają się, bo widok Verli je pociąga. Wiatr znów się zerwał, deszcz łomocze o blaszany dach. Czekają na Barbs. Yolanda nadal łązi gdzieś po polach, zniknęła, nie pomoże im, ale Verla pójdzie do jej boks i weźmie futerko albo dwa.

I wtedy wzdłuż korytarza rozlegają się kroki, dudniący odgłos biegnącej Barbs. Drzwi gwałtownie się otwierają i Barbs wpada do środka, całkiem bez tchu.

– Znalazłam to – dyszy, rzucając na łóżko brudną plastikową torbę na zakupy.

Verla szeleści mokrą, zwiniętą torbą. Ubłoconą, wyciągniętą chyba z jakiegoś śmietniska.

Barbs zaczyna szlochać.

– To nasze włosy.

Co?! Gromadzą się wokół. Skąd ona to wzięła? Na pewno?

Barbs ociera twarz rękawem, wyrывa torbę Verli i wyciąga kłębki, warkocze i kucyki. Dziewczyny łapią je, chwytają, rozpoznając swoje własne włosy w tym splątanym chaosie. I krzyczą niczym foki wołające swoje małe. Teraz już wszystkie płaczą.

Verla szuka swoich włosów wśród płaczących się, grzebiących dłoni, znajduje kręcone rude kosmyki. Zdumiewające, że to bogactwo mogło kiedyś należeć do niej; nawet gdy je przykładła do swojej głowy, nie może sobie tego wyobrazić. Izzy przyciska do piersi swój gruby jasny warkocz i głaszcze go.

– Nie oddam wam tego, to moje. – Reszta powtarza jej słowa: zatrzymają swoje włosy. Verla wyciąga grube, lśniące czarne pasmo z torby i przesuwa je sobie w dłoniach niczym aksamitny sznur. Wróciła – jakby wskoczyła nagle do zimnej wody – do tamtego poranka, gdy ocknęła się w tym pomieszczeniu i wpadła tu Yolanda, ta przestraszona dziewczyna z sięgającymi pasa włosami. Nagle i jej chce się płakać, nie nad sobą i własnymi włosami, ale nad Yolandą, która zwariowała przez ten króliczy syf i bebechy. Płacze nad zwykłą dziewczyną, jaką kiedyś była Yolanda, dziewczyną, która nigdy już nie wróci.

Zagląda do torby i patrzy, co zostało: mieszanina jej własnych rudych ścinków i brązowych strzępków włosów Hetty. I wtedy rozgląda się wokół: przycupnięta na brudnej pryczy w boksie wielkości psiej budy, otoczona siedzącymi w kucki dziewczynami, które szlochają i przeczesują palcami martwe bukiety swych dawno utraconych włosów.

W końcu udało się doprowadzić je do szaleństwa i to kompletnego. Verla siedzi, unosząc się na swoim gnieździe górującym nad kręgiem oszalałych dziewcząt. I nawiedzają ją obrazy z Paryża. Domy wariatów i wariackie uczynki. Ogród szpitala w Arles. Szpital w Saint Remy. To nie jest szpital, ale szaleństwo można wykorzystać!

Kiedy Verla wchodzi do boks Yolandy zaskakuje ją jej widok na podłodze. Rozwalające się buty Hetty leżą obok.

– Musisz pomóc mi zrobić lalkę – mówi delikatnie Verla. – Wykorzystam nasze włosy. Barbs je znalazła.

Unosi obie dłonie, w jednej trzyma pasmo włosów Yolandy, a w drugiej swoje kręcone kucyki. Yolanda ma zaczerwienione oczy, a całą twarz umazaną smarkami. Patrzy niewidzącym wzrokiem na garść swoich włosów i bierze je na chwilę od Verli. Zapach zagranicznego szamponu sprawia, że się cofa. Oddaje je Verli. Nie mają już z nią przecież nic wspólnego.

Dopiero podnosząc króliczą skórkę ze stosu w rogu, Verla zauważa kupkę martwych puchatych ciałek na podolku Yolandy. Yolanda napotyka jej wzrok i łzy znów zaczynają jej płynąć strumieniami.

Yolanda i Verla pracowały nad lalką całą noc, w migotliwym świetle świecy, w ciszy. Od czasu do czasu przesuwały się w ślad za plamą księżycy na podłodze. W trakcie tych mrocznych godzin lalka

stała się ich obsesją, jedynym celem. Podawanie ścinków, szmatek i króliczych skórek tam i z powrotem, wykańczanie za pomocą igły albo sznurka. Tułów zrobiły ze starej poduszki Yolandy – już dawno porzuciła ją na rzecz stosu skórek – obwiązanej jak baleron w odpowiednich miejscach, tak żeby powstały piersi i uda.

Napełniało to każdą z nich jakimś głębokim, żarzącym się powoli uczuciem, jakąś determinacją, której nie rozumiały. Powoli niekształtne, brzydkie ciało lalki wyrastało z ich własnego wstydu i poniżenia. Jedna para rąk kontynuowała dzieło, gdy druga była już obolała od przepychania igły przez cienką skórę, workowe płótno czy brezent.

Tułów zrobiony z poduszki, poplamiony łzami i potem, nabiera w dłoniach Verli kształtów. Dziewczyna pracuje nad nim w milczeniu, najpierw delikatnie przesywa materiał trawą, haftuje. *Ziła przesiąknięte balsamem mych piersi*[10], czytał jej. *Jedwabna nić, korzeń miłości, winograd i rozwidlona gałązka*[11], krążył opuszką palca wokół brodawek jej piersi, wędrował wszędzie. Bierze kolejne źdźbło trawy, robi trzy ścięgi, źdźbło się łamie. Bierze poszarzałe, krwiste królicze jelito, ścięg staje się delikatniejszy, piękniejszy (*listki-mogiły, listki-ciała*)[12], krąży i krąży igłą i króliczym jelitem, a piersi powstają i powstają, aż w końcu bezgłowy korpus jest gotów. Piersi to spirale pożądania, namiętności. Ciemnoszare brodawki wystają niczym uparte kulki, pokryte krwistym ścięgiem. Verla jest przerażona tą siłą, swoim pożądaniem. Odpycha kukłę od siebie i wspina się na łóżko Yolandy, i kładzie się na nim z twarzą zwróconą do ściany.

Potem Yolanda wzięła korpus i zaczęła w innym zabliznionym miejscu, między udami. Grzebała, kłuła, naciskała. Ciało lalki z brudnej poduszki poddawało się jej palcom, gdy przepychała igłę, pracując i pracując z płaczem nad małą ciemną kieszonką pomiędzy nogami, pchając ją i dziurawiąc, wycinając i zagłębiając się.

Szeptali do niej, gdy używali jej ciała. Niektórzy wydawali z siebie jakieś dźwięki, chrząkali, inni wołali straszne rzeczy. Ale najgorsi byli ci, którzy mówili słodkie słowa, obrzydliwe lepkie epitety, gdy przetrząsali i dźgali Yolandę od środka. Bezkształtną, pozbawioną formy i słów w ciemności. Ich kumple patrzyli. Nie ruszała się, nie krzyczała, zostałaaby potępiona. Zakopywała się w długim ciemnym korytarzu, tej cichej jamie wewnątrz siebie. Czy wiedzieli, gdy spuszczała się w jej wnętrze jak do kubła na śmieci, o tym tunelu w niej, czy do niego właśnie próbowali się dostać? Trzymała w rękach lalkę, tutaj w innym półmroku, z Verlą śpiącą na łóżku powyżej. Lalka nie miała jeszcze głowy, ale jej ciało było skończone. Yolanda zauważyła, że zrobiła lalce zagłębienie w łonie, akurat na malutkie królicze kocię. Ciało lalki jeszcze nie było skończone.

Verla budzi się z niespokojnego snu. Blade, jasne światło księżycy wpada przez okno boksu Yolandy. Wkrótce nastanie ranek i Hetty musi dostać swoją lalkę, więc powinna być gotowa. Poniżej na podłodze Verla widzi skuloną, wciąż pracującą Yolandę, z głową pochyloną nad korpusem lalki. Verla siada, opierając się o ścianę, i podnosi głowę kukły z koca. Yolanda, wciąż zajęta, chyba jej nie słyszy. Verla układa kulę lalczącej głowy w zgięciu swojego łokcia i wraca do pracy, dziurawiąc skórzany skalp, by przeciągnąć przez otwory pierwsze pasemka włosów.

Po krótkiej chwili przerywa i patrzy w dół na podłogę, obserwuje, jak Yolanda w końcu podnosi oczy znad lalki, leżącej na jej kolanach. Prostuje się powoli, a potem sięga za siebie i szuka czegoś pod łóżkiem. Nie zauważa, że Verla obudziła się i zerka na nią w chwili, gdy wyciąga spod łóżka, tuląc w dłoni, maleńkie martwe królicze kocię. Nie wie, że Verla jest świadkiem tego, jak jej palce wpychają wraz z garścią słomy nagie, pozbawione życia szare ciało do ukrytego w cieniu, przypominającego kieszeń zagłębienia w lalce. Yolanda szepcze coś do siebie, jakąś modlitwę, albo czułe przekleństwo, albo zaklęcie, wtedy gdy dopycha ciało kciukiem i starannie zaszywa dziurę.

Kończy, kładzie się na stosie skór i zasypia głębokim snem. W ramionach przy piersi trzyma bezgłowe, brzemienne ciało lalki, podczas gdy siedząca nad nią Verla dalej zajmuje się głową.

W którymś momencie w nocy na zewnątrz rozlega się jakiś dziwny dźwięk, jakby przytłumiony szelest.

– Dziękuję – szepcze Verla, gdy tuż obok niej biały koń delikatnie skubie i przeżuwa trawę.

O świcie niebo za żaluzjami w oknie Yolandy wreszcie pojaśniało.

Uniosły się na kolana i odczołgały od lalki, którą zrobiły. Położyły się, opierając o ściany. Lalka siedziała, wyprostowana, pomiędzy futrami na podłodze. Jej nowe ciemne warkocze sterczały na głowie jak szaleńcowi, każde pasmo inne: jedno z przypominających lukrecję włosów Yolandy, drugie z wełnistych rudych loków Verli, a trzecie z kawałków ostatniego szorstkiego kucyka, który znalazły w torbie – włosów Hetty.

Dopiero teraz dziewczyny spojrzały po sobie, zdumione, co stworzyły. Totem, być może, albo ducha. A może wojowniczkę, lalkę voodoo, boginię, trupa?

[10] Walt Whitman, *Ziola przesiąknięte balsamem mych piersi* w przekładzie Stefana Napieralskiego w: Walt Whitman, *Poezje wybrane* pod redakcją Hieronima Michalskiego, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1971.

[11] Walt Whitman, *Pieśń o mnie*, fragment 2, w przekładzie Andrzeja Szuby w: Walt Whitman, *Pieśń o mnie i inne utwory*, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1996.

[12] Walt Whitman, *Ziola przesiąknięte balsamem mych piersi* w przekładzie Stefana Napieralskiego, op. cit.

Rano lalka siedziała z wyciągniętymi nogami, na deskach werandy. Zza siatkowych drzwi do kuchni Verla i Yolanda obserwowały, jak Hetty zbliża się do niej podejrzliwie.

Kukła była wielkości dwuletniego dziecka i to całkiem sporego. Głowę miała zrobioną z wypchanej piłki z króliczej skóry, uszytej z nierównych ścinków połączonych razem trudnymi, wypukłymi ściegami za pomocą króliczych jelit. Nogi i ręce tworzyły skarpetki wypchane suchą trawą z pastwisk. Ciało lalki pokrywały blizny ściegów: wyglądała jak torturowana albo poparzona. Sutki z czarnej spirali króliczych jelit były jak zwęglone, wzdęty srom jakby wyrwany i bestialsko z powrotem przyczepiony. Hetty pochylała się nad nią i przyglądała się jej zszokowana. Ale zaczynała rozumieć to, co wiedziały już Verla i Yolanda. I co wiedzieć będą wszystkie dziewczyny: że to są blizny po bitwie. Coś w tych wyhaftowanych śladach wojny ją fascynowało.

Hetty uniosła lalkę ze jedno ze sztywnych, szeleszczących ramion, a potem upuściła ją nagle z krzykiem. Rozpoznała swoje własne włosy, wplecione w kędzierzawe loki Verli i grube czarne pasma Yolandy! Ale potem przykucnęła przy niej, milcząca, zapatrzona, chłonąc jej magiczną, złowieszczą siłę voodoo.

Pojawił się też Boncer, gapiąc się na lalkę jak sroka w gnat. Przyszedł za Hetty na chłodną werandę i stanął tam teraz bosy, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, zaczarowany przerażająco brzydką kukłą.

Hetty wstała i odwróciła się do niego.

– Skąd żeś to wziął?

Patrzył tylko, stojąc z założonymi rękoma, a twarz wykrzywił mu wyraz zadziwionego obrzydzenia.

Coś w tej lalce sprawiało, że poczuł lęk, więc odwrócił się do Hetty, ogarnięty trwożną żądzą, potrzebą synka mamusi. Wyciągnął rękę ku jej piersi. Lecz Hetty trzepnęła go w dłoń.

– Odwal się – mruknęła. Wycofał się, urażony.

– Nie ma twarzy – powiedziała, patrząc na lalkę. Ta siedziała w gnieździe z najlepszych króliczych skórek Yolandy i Hetty nie mogła się powstrzymać, by nie przykucnąć znowu i nie sięgnąć, dotknąć. Ranek był zimny, a futra ciepłe.

– Chodź tu do mnie, dziecinko – wdziękzył się Boncer, wyciągając ręce w stronę Hetty. – Potrzebuję cię.

Dopiero wtedy Hetty spojrzała w górę, i zauważyła Verłę z Yolandą, czekające za siatkowymi drzwiami. Boncer zaczął gładzić Hetty po szyi, ale ona patrzyła na nie.

– No chodź – powiedział, pociągając ją za tunikę.

Hetty zamknęła oczy i westchnęła.

– No chodź! – powtórzył niecierpliwie. Wracało jego stare *ja*. Nie miał swojej pałki, ale szukał jej w powietrzu dłonią, a Hetty usłyszała ją w jego głosie.

– Dobra – powiedziała niskim, zrezygnowanym tonem, po raz kolejny skupiając wzrok na lalce. Gdy Boncer chwycił dziewczynę za ramię swoim kościstym uściskiem, złapała lalkę. I spojrzała na Verłę i Yolandę, przytrzymując ją przy piersi niczym niemowlę albo tarczę, kiedy Boncer prowadził ją z powrotem przez werandę i korytarzem do swojego pokoju.

Późnym popołudniem siedziały przy stole w jadalni i czekały na gulasz. Izzy i Barbs miały dyżur w kuchni, więc przynajmniej dziś powinien być jadalny. To właśnie Barbs stwierdziła, że żywienie się samym królikiem je zabije – tak powiedział kiedyś Stephen Fry w teleturnieju „QI”, więc to prawda – w związku z czym codziennie wysyłała dziewczyny, żeby zbierały chwasty. Gotowała stopy łądy i liści w swoim garze, z solą, co chwila próbując i smakując zieloną breję. Trzy różne rośliny okazały się jadalne – a przy najmniej dało się je wziąć do ust bez plucia z powodu goryczy – lecz najlepsze, najbardziej pożądane były długie, poszarpane na brzegach liście mniszka. Od tygodni, gdy tylko zauważono pojedynczego mlecza – a najlepiej całą ich kępę – rozlegał się po pastwiskach stłumiony okrzyk triumfu.

Eksperymenty Verli z grzybami nadal pozostawały dla wszystkich tajemnicą. Tylko Yolanda mogła o nich wiedzieć, bo nieostrożność innych dziewczyn mogłaby przecież zaalarmować Boncera. Verla towarzyszyła Yolandzie, gdy ta podchodziła do swoich pułapek o świcie. Zbierała i chowała świeże grzyby w ubraniu do chwili, aż mogła ukryć je w schowku na mięso.

Yolanda osunęła się na stół i zasnęła z głową na rękach. Po drugiej stronie blatu Verla kołysała się na krześle, a oczy same jej się zamykały. Pozostałe obserwowały je obie, domyślając się, że coś robiły przez całą noc, ale nie widziały jeszcze lalki Hetty. Wciąż podekscytowane mruczały i szeptały na temat swoich włosów, kucyków, które zabrały ze sobą do łóżek, ocierając nimi nos i przesuwając między palcami, a potem wepchnęły pod poduszkę czy wsunęły pod nocną koszulę. Otrzymały nowe życie, nową nadzieję, dzięki tym kosmykom pochodzącym z ich dziewczęcych *ja*. Skoro odnalazły się swoje włosy, może odzyskają też inne części siebie?

Miejsca Boncera i Hetty przy stole były puste. Nancy i Teddy'ego także. Teddy trząśł się nad Nancy, odkąd dowiedział się o Boncerze i Hetty. Wyglądało na to, że cała odpowiedzialność za nią spoczywa teraz tylko na nim. Cały dzień towarzyszył jej chwiejnym krokom, próbując nie dopuścić, by się pocięła albo połknęła tabletki. Od godziny starał się nauczyć ją paru pozycji jogi, ale Nancy tylko osunęła się z jękiem na deski obok niego.

Teddy wszedł właśnie do jadalni. Z kieszeni zwisał mu nędzny, byle jak zawiązany stryczek.

Nie traktowała tego poważnie – stwierdziły dziewczyny – w przeciwnym razie poszłaby na płot.

Słodki do obrzydliwości zapach dotarł z kuchni wraz z zapachem królika. Aż pocięła im z głodu ślinka. Wiele dni temu Izzy znalazła karton saszetek kurczaka z morelami w ostatnim pudle w spiżarni. Jaskrawopomarańczowa kleista papka stanowiła miłą odmianę. W przyjemnej ciemności własnych ramion Yolanda znów pomyślała o swojej babci, która robiła kurczaka w morelach, ale takiego prawdziwego: morele w syropie z puszek i mieszanka do francuskiej zupy cebulowej. Matka Yolandy tylko przewracała oczami, ale Yolanda i Darren go uwielbiali. Ale to był kurczak, prawdziwy kurczak.

Wyprostowała się, gdy gwałtownie otwarły się drzwi i do środka wszedł Boncer, niosąc dodatkowe krzesło. Postawił je pomiędzy swoim krzesłem a miejscem Hetty i wysunął je trochę do przodu. Dziewczyny powoli się prostowały, czekając.

Weszła Hetty. Wszystkie gwałtownie wciągnęły powietrze, bo w ramionach niosła lalkę. Natychmiast odwróciły twarze do Verli i Yolandy, które zrobiły tę koszmarną rzecz, a potem znów spojrzały na Hetty, która stała tam, wystawiając się na pokaz.

Wyglądała na wykończoną, ale w jej zmęczonych oczach była jakaś brutalność i siła. Lalka już jej nie obrzydzała. Hetty wydawała się napawać drżeniem, które zawisło w powietrzu, gdy dziewczyny patrzyły, jak przyciska ją do siebie. Majestatycznym krokiem podeszła do stołu, przesuwając lalkę na swoje biodro, jakby niosła prawdziwe niemowlę. Hetty nabrała jakiejś szlachetności w obliczu tego *czegoś*, tego odrażającego królewskiego dziecka. Posadziła lalkę na dodatkowym krześle, strzepując królicze skórki, a potem usiadła z godnością obok. Boncer stanął z tyłu i przysunął oba krzesła.

W przytłumionym świetle jadalni lalka zajęła swoje miejsce przy stole.

Weszła Izzy, niosąc miski z parującą pomarańczową zupą. Zobaczyła lalkę, przestraszyła się i krzyknęła. Opanowała się zaraz jednak, postawiła dwie miski i uciekła z powrotem do kuchni. Gdy wróciła, ochłonawszy, była już w towarzystwie Barbs, która została wcześniej ostrzeżona i teraz gapiała się, ale nie panikowała. Po cichu chodziły wokół stołu, rozstawiając kolejne naczynia. Gdy Barbs dotarła do Hetty, zawahała się i przytrzymała naczynie w powietrzu.

– Czy...? – skinęła w stronę strasznego dziecka.

– Nie bądź głupia – warknęła Hetty. – To lalka.

Usiadły i zaczęły jeść, głośno, ale bez rozmów, obserwowane przez pozbawioną twarzy lalkę Hetty z króliczej skóry.

Później nada mu imię Ransom, ale na razie to była tylko lalka. Dziesięć dziewczyn wysysało królicze kości pod jej bezokim spojrzaniem.

CZĘŚĆ III

ZIMA



Yolanda wyszła z budynku i minęła dom, poruszając się bezgłośnie pośród świtu. Przykleiła oderwaną podeszwę buta Hetty papką z rozgniecionych króliczych wnętrzności, a potem owinęła but długim pasem skóry, żeby kleista masa zastygła. Zostawiła go tak na dzień i noc, aż klej stwardniał. Gdy potem włożyła w niego stopę, odkryła na nowo ciepło króliczego futra. Więc wzięła kolejną skórę i owinęła podobną rękawicą drugi but. Na początku ślizgała się na takich podeszwach. Przypominało to chodzenie po gruzłowanej trawie. Ale potem jej kostki przywykły, znalazła nowy sposób stawiania stóp i wkrótce czuła się bez ocieplaczy jakby szła boso.

Wypuszczając z ust mgiełkę przy każdym oddechu, przemierzała równinę. Poranki zrobiły się teraz bardzo chłodne, gdy wstawiała po ciemku i wsuwała stopy w pokryte króliczym futrem buty, owijała się sztywnym, powyginanym płaszczem ze skór i spinała go paskiem obciążonym wnykami. Przez kolejne miesiące przepychała nóż przez skóry, robiąc dziurki, a potem związywała je szmatkami. Na pokrytych odciskami dłoniach nosiła wielkie futrzane mitenki, rękawice poklejone króliczymi wnętrznościami i zszyte króliczymi jelitami.

Słońce wciąż kryło się za horyzontem, lecz blad różowy pas wychylał się już wraz ze świtem zza grzbietu wzniesienia. Szła dalej, w górę krawędzi suchej niecki. Po pewnym czasie zatrzymała się, by poprawić wnyki przy pasie. Spojrzała do tyłu na równinę. Wchodziła na wzgórze w półmroku, ale teraz niebo rozjaśniło się i zobaczyła, że trawa jest upstrzona drobinami zamrożonych pajęczyn: kawałkami srebrnej gazy wielkości dłoni zawieszonymi pomiędzy źdźbłami. Setki, a może tysiące, wszędzie na pastwisku poniżej. Stała tam, gdy niebo jaśniało, i obserwowała coraz więcej pajęczych gwiazd. Droga Mleczna na równinie.

Zadrzała i ruszyła dalej pod górę, podzwaniając pułapkami. Królicze skórki ogrzewały jej ciało i dłonie, ale twarz miała przemarzniętą. Słońce wkrótce wstanie; Yolanda uniesie wtedy twarz ku jego blademu ciepłu.

Dni nabrały spokojniejszego rytmu, odkąd Hetty oddała się Boncerowi, a on spędzał czas węsząc za nią i przymilając się do niej. Resztę ignorował.

Verla miała swoje zajęcie z grzybami, zbierała je, sortowała i ukrywała. Rhiannon codziennie wędrowała do szkieletu pickupa, by wyruszyć w wyobraźni ku wybrzeżu. Leandra rąbała podpałkę i karmiła piec, bawiąc się w dom z Barbs, która dźwigała swój gar, niczym bohaterka „Małego domku na prerii” z niemowlęciem na biodrze. Hetty porzuciła modlitwy, odkąd miała lalkę do zabawy. Joy, Izzy i Lydia miały swoją pęsetę, zabiegi i mantry (*skóra to największy narząd*, pouczała Lydia Joy i Izzy, które z namaszczeniem kiwały głowami, szukając sobie gnid we włosach). Maitlynd przykucała przy zbiorniku na wodę i karmiła swoją tłustą, przyczajoną żabę albo sprawdzała parapety, żeby zebrać dla niej cmy.

Nie powiedziałyby tego, nawet gdyby w ogóle się jeszcze odzywała, ale dostrzegła coraz więcej piękna na pastwiskach. Różowe niebo, pajęczyny niczym gwiazdy. Nocą śniło jej się, że ma pazury i wykopuje norę. Kopie tunel pod płótem, ku zieleniejącemu buszowi. Nie wraca do starego życia, już nigdy. Ale wchodzi w głąb, w dół, biega na czterech kończynach, wdycha zapach trawy i ziemi, tak znajomy, jak zapach jej własnego ciała. Śniła o wolności zwierzęcia.

Yolanda wiedziała też, że Verla ma również swoje prywatne marzenia. Nie tylko spisek o otruciu Boncera (mrzonka, ale kim była Yolanda, żeby ją rozwiewać?). Jednak, choć Verla już o tym nie wspominała, Yolanda wiedziała, że nadal rozgląda się po wzgórzach za wymyślonym białym koniem i wciąż wierzy, że on przychodzi w nocy skubać trawę wokół boksów.

Trzy białe kakadu zaskrzeczały jej nad głową, a ich skrzydła załśniły różowo w promieniach wschodzącego słońca. Przykucnęła przy pierwszej pułapce – pustej, nie po raz pierwszy tutaj, będzie musiała ją przenieść. Chmura zasłoniła słońce, sprawiając, że znów zadrzała. Rozległ się hałas: jak głębokie westchnienie od strony grzbietu wzgórze. To nie chmura sprawiła, że Yolanda wstała i zaczęła gapić się na olbrzymią pomarańczową wypukłość, która pojawiła się na niebie, liżąc czarne drzewa.

To był balon. Balon na gorące powietrze. Olbrzymia, plisowana bulwa na czystym, jaśniejącym niebie. Wargi dziewczyny wypuściły obłoczek zmrożonego oddechu. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Balon uniósł się wyżej. Był akurat tak wysoko, że muskał czubki drzew. Zakołysał się

i przesunął w jej stronę, ponad nią. Był niczym planeta z innego wszechświata, która przelatywała szybko, niemal dotykając jej własnej planety i wkrótce miała zniknąć.

Spojrzała w dół wzgórze w stronę domu i zabudowań gospodarczych. Nikt się tam nie poruszał, nie unosił się żaden dym, niczego nie było widać ani na pastwiskach, ani wokół boksów. Verli z czerwoną miską też nigdzie nie widziała. Nie było nikogo, tylko Yolanda, biorąca udział w tym misterium, w tym sunącym marzeniu. Nogi jakby wrosły jej w ziemię. Podmuch gorącego powietrza znów zaszumił, a zbliżająca się planeta uniosła się nieco ku niebu. Jej olbrzymi cień przesunął się, zabierając serce Yolandy.

Byli tam ludzie. Dwoje, troje, może pięcioro, i patrzyli z kosza w dół na korony drzew, płynąc po niebie w jej kierunku. Słyszała ich głosy. Palce Yolandy sięgnęły do pasa, rozpięły go, upuściły wnyki. Zaczęła biec. Zawołała:

– Pomóżcie nam! – Biegła, potykając się, bo patrzyła w górę. Zaraz ją przegoni. – Błagam – wołała, lecz z jej gardła dobywał się jedynie niski skrzek. Dwie twarze spojrzały jednak w dół i spostrzegły ją. Biegła, zaczęła machać. Słyszała tych ludzi, ich głosy wyraźnie rozchodziły się w mroźnym powietrzu. Wołali pozostałych, a potem wszyscy pięcioro pokazali się z jednej strony kosza, przechylili się, wskazując na nią. Balon dryfował, podskakiwał w powietrzu.

Yolanda biegła, pędząc i gramoląc się po nierównym gruncie. Zawołała: *Jesteśmy uwięzione. Sprowadźcie pomoc.* Była zdyszana od ciągłego biegu za balonem. Ale nie wydobywały się z niej żadne słowa, tylko jęki. Ludzie obserwowali ją, machali, ich ramiona poruszały się leniwie, niczym wahadła na tle nieba.

– Halo! – wołali w dół. – Piękny poranek!

Pełne zachwyty ochy, gdy balon obniżył się, a potem znów uniósł, przefruwając nad doliną. Pozdrawiali Yolandę, która ich ścigała. Potknęła się, ale nie przestała.

– Pomóżcie nam! – spróbowała zawołać ponownie. Czy słyszą jej zdyszany oddech? Na pewno ją widzą, muszą ją słyszeć. Balon zaczął unosić się wyżej i wyżej. Zawyla wtedy, wydobywając z siebie nieludzki dźwięk, ryk zranionego zwierzęcia. Wiwatowali. Yolanda znów puściła się biegiem, wrzeszcząc na nich, wymachując w powietrzu rękoma w króliczych mitenkach. A wtedy balon porwał do góry gwałtowny podmuch, w dół pofrunęły okrzyki zaskoczenia i śmiechy. Ktoś wychylił się za krawędź i zawołał:

– Pa! – rozległ się huk wystrzelonego korka. Napili się szampana.

Yolanda wyła rykiem złapanego w pułapkę zwierzęcia.

– Pa, pa! – wołali, śmiejąc się, machając i pobrzękując kieliszkami. Balon unosił się coraz wyżej, frunąc po czyściutkim różowym niebie. Zdawał się zwalniać i ciemnieć, gdy się unosił, wyżej i wyżej, a błękit nieba upstrzony był teraz śnieżnobiałymi obrysami chmur. Balon kurczył się powoli, tak że wkrótce stał się już tylko czarnym punkcikiem na bezkresnym niebie. Yolanda stała i patrzyła, jak inny świat, który tak bardzo się zbliżył, wirując, znika.

– Myślisz, że jestem aż tak głupi? – zadrwił Boncer przez stół.

Aż tak, kurwa, głupi? Unosi pałkę, a Verla kuli się, zasłaniając uszy i głowę.

Nikt inny się nie porusza. Dziewczyny siedzą nieruchomo, wpatrując się w powierzchnię stołu. Każda spuszcza wzrok na drobny wzór laminatu, z niezwykłą uwagą i skupieniem, jakby to była intrygująca mapa maleńkiego kraju, który odwiedzić może tylko ona, jeśli będzie wystarczająco nieruchoma, wystarczająco niewidoczna, gdy czeka tak przy stole, aż podskoczy, a miski rozprysną się wraz z uderzeniem dobrze im znanej furii Boncera.

Naczynia wypełnia gulasz z królika, lecz po raz pierwszy na każdym widać też odrobinę pokrojonych grzybów. To właśnie one sprawiły, że zerwał się z miejsca.

Przez ostatnie tygodnie był tak odmieniony, że to było jak święta. Lecz tego wieczoru, przez Verłę, powróciła jego dawna brutalność. To ona, z tymi swoimi grzybami, sprowadziła z powrotem starego Boncera i teraz czuje niczym falę gorąca kierujący się ku niej gniew dziewczyn. Nawet Hetty kurczy się do swojej dawnej wycofanej postaci, przyciska lalkę do piersi i obserwuje Boncera kątem oka, gotowa uchylić się przed uniesioną przez niego pałką, gdyby ta opadła w jej stronę. Nancy i Teddy pozostają nieruchomi, czujni, na końcu stołu.

Lecz Boncer nikogo nie uderza. Widzi, jak Hetty przyciska do siebie podbródek, który spoczywa na głowie lalki, i ogarnia go z powrotem czułość kochanka. Wyciąga rękę do Hetty i głaszcze jej głowę jak szczeniaka. Teraz Hetty zawsze jest u jego boku, z Ransomem przyciśniętym do siebie albo przerzuconym przez jej ciało niczym brudna torba, bezwładne ramię ze skarpety zahaczone o wyświechtaną stopę. Podczas posiłków albo siedzi sztywno na jej kolanach i wtedy ona musi sięgać nad nim po jedzenie, albo przysuwa mu się dodatkowe krzesło. Czasem Hetty kołysze go w ramionach jak prawdziwe dziecko.

Boncer rzuca teraz Hetty przepaszające spojrzenie. Verla zauważa, że Hetty przypomina sobie swoją nową rolę, swoje triumfy i jak się w nich urządzić. Wraz z lekkim skinieniem głowy w stronę Boncera powraca jej królewska postawa oraz brzydki grymas w kierunku Verli. Prostuje się na krześle i poklepuje uspokajająco wypchane trawą plecy Ransoma. Lalka wydaje z siebie słomiany dźwięk.

Do Verli Boncer mówi:

– Ty to zjedz.

Popycha swoją miskę przez stół w jej stronę tak szybko, że Verla musi wysunąć dłoń, żeby ją zatrzymać, a gorący tłuszcz z królika ochlapuje jej rękę. Wysysa go z nadgarstka. Potem, patrząc Boncerowi prosto w oczy, bierze na palec kawałek grzyba i wsuwa do ust, przegryza go i połyka. Trudno nie przymknąć oczu, jest taki smaczny. Boncer jest głodny, obserwuje ją. Verla przesuwa językiem po zębach i ponownie przetyka. Czy zaryzykuje uniesienie brwi w jego kierunku? Nie, nie robi tego, on wciąż trzyma w dłoni pałkę.

– Mam zjeść więcej? – mówi cicho, ocierając kroplę sosu grzybowego z podbródka.

Nęci go ten smak, poznają to po wyrazie jego twarzy, ale mówi:

– Wszystko. Ze wszystkich talerzy.

Wtedy odważa się na uśmiech i sięga po widelec. Dziewczyny jedna po drugiej przesuwiają miski w jej stronę, a ona zjada grzyby z każdej. Żuje i połyka piszczące pod zębami pieczarki ugotowane w sosie z królika, a ich smak jest nieskończenie dobry. Dziewczyny garbią się z dłońmi pod pachami i ssą własne zęby z głodu.

Yolanda obserwuje to razem z innymi.

Podsuwają Verli kolejny talerz: wybiera grzyby i znowu je połyka. Odsuwa miskę, bierze kolejną, zjada z niej, ociera sok palcem i oblizuje go. Boncer gapi się zawzięcie, obejmując ramieniem szyję Hetty. Wszyscy czekają. A potem, gdy już wszystkie grzyby są zjedzone, a miski z potrawką z królika znów stoją przed dziewczynami, wolno im jeść. Pochylają się i mlaskają jak psy. Lecz Boncer nie tyka swojego posiłku. Obserwuje Verłę jak wcielenie wrogości. Odwraca się i długo przygląda się Yolandzie, która połyka mięso z twarzą tuż nad miską. Jej czarne włosy przypominają brudną mierzwę. Boncer wygląda na głodnego, ale wcale nie jedzenia. Gapiąc się nieustannie na Yolandę, nachyla się i gwałtownie całuje Hetty, jakby ją gryzł, w szyję. Hetty szarpie się w bok, zdumiona, ale

przyzwyczajona już do takich ataków na jej ciało. Zamyka oczy i odzyskuje równowagę, tak jak owcza matka wytrzymuje bodące ją jagnię, i je dalej.

Verla siedzi, próbując ogrzać się siłą woli. Jest jej tak zimno, nie pamięta już nawet, jak to jest, gdy nie jest zimno, bez tej lepkiej warstwy chłodu na skórze. Każda część jej ciała, nawet pod kocami w nocy, jest zimna i wilgotna. Na zewnątrz pada deszcz, tak samo jak padał cały dzień i całą poprzednią noc. Nieustające bębnienie ulewy będzie towarzyszyć Verli podczas snu, zawsze płytkiego, gdy z podciągniętymi nogami szuka ciepła przez całą noc.

A teraz Boncer poznał jej plan. Pociera ręce między kolanami, zgina i rozgina palce u stóp wewnątrz wilgotnej, rozpadającej się skóry butów. Po drugiej stronie stołu Yolanda garbi się z miską w obu dłoniach, wylizując ją do czysta. Obojętna na zimno.

Z jej skóry unosi się zbutwiały ciepły smród.

Tej nocy też jest zimno, gdy Verla wstaje z łóżka, zostawiając cienki, wyświechtany koc. Powoli odsuwa skobel i wychodzi z boksu, po cichu przechodzi korytarzem do celi Yolandy. Puka delikatnie w drzwi i szepcze:

– To ja.

Słyszy skrzywienie sprężyn łóżka, a potem w otwartych drzwiach staje wysoka i naga w lodowatym świetle księżycy Yolanda. Wciąga Verłę do środka, zamyka i rygluje za nią drzwi, gdy ta gramoli się do wyłożonego futrami gniazda Yolandy. Po chwili leżą razem zwinięte, Verla podciąga kolana pod nocną koszulą, która nie jest już taka sztywna po miesiącach używania, ciepło ciała przyjaciółki otula jej plecy. Od tak dawna nie czuła bicia serca innego człowieka. Ale w Yolandzie bije teraz serce zwierzęcia.

Verli śni się, że przynoszą jej głowę jagnięcia, a ona musi ją założyć. Naciąga ją, jej własna głowa z trudem przeciska się przez wilgotną krawędź jagnięcej szyi, ciągnie i ciągnie, aż wąska twarda czaszka nasuwa się na jej własną. Ociekająca krawędź szyi sięga jej ramion. Nasiąkłe wilgocią wełniane frędzle chłodzą jej nagi kark. A potem musi przywdziać ciało jagnięcia, jego skórę, jej ciało zastępuje jego, wnętrzości wylewają się jak woda z kąpieli. Musi wypełnić sobą ciało jagnięcia. Patrzy jego nabiegłymi krwią oczami na zimny, splamiony różową barwą świat.

W schowku na mięso Verla znowu próbuje nowego gatunku grzybów. Na pewno jest halucynogenne, bo każdy kęs wywołuje odlot. Ciekawe, co robi teraz jej ojciec? Tęskni za nią bez słowa i nikt nawet o tym nie wie.

Ta słonawa bulwa, kiedy przytknie ją do nosa, przywołuje zapach wodorostów oplecionych wokół kostek nóg na malutkiej piaszczystej plaży pod molo. W wilgotnym, ciemnym pomieszczeniu pozwala porwać się tej wizji.

Bywały dni, gdy wiozła go na molo i parkowała go tam w wózku, a sama paliła papierosa. Potem rozwijała papier z rybą i frytkami i wsuwała każdy kęs w jego wykrzywione chorobą, wrażliwe usta. Kryształki soli na jego białym języku i popękanych wargach, na krzywych, żółtych zębach. Jego przezroczysta dłoń pieszcząca powietrze delikatnie i natrętnie.

Wtedy tego nie wiedziała, była zaskoczona mroźną beczynnością matki, odzwierciedlającą tę jego nieruchomość, zupełnie jakby niedowład jego mózgu dotykał też jej głowy. To było, zanim matka nie wyjechała znowu do Timoru Wschodniego i już prawie nigdy stamtąd nie wracała. Ale teraz Verla już wie, wdychając wraz z zarodnikami grzyba wspomnienie swojego kalekiego ojca o mózgu dziecka, że tylko ktoś młody mógł robić takie rzeczy dla starego. Teraz postarzała się o te miesiące tutaj i rozumie już, że tylko dziewczyna beztrosko ciesząca się własnym ciałem, tylko młoda dziewczyna o brzaskwiniowej cerze i błyskotliwym umyśle może radośnie wrzucać gorące frytki do ust pozbawionego rozumu starego ojca. Wtedy nie rozumiała, czym jest strata czy rozpad. Mogła mu oferować swą absolutną uwagę, bo jego rozkład nie miał nic wspólnego z jej życiem.

W ten sposób ona i ojciec prowadzili pozbawione słów rozmowy przez długie popołudnia, na różne zresztą tematy. Gdy zaczęła spotykać się z Andrew i sprawy się skomplikowały, znajdowała ukojenie w tym, że zawoziła ojca na miejsce i siedziała przy nim, a jego dłoń poruszała się w powietrzu niczym wiatrowskaz, a ona obserwowała, jak pelikany i mewy opadają i unoszą się w brudnej wodzie. Czasem sięgała i poprawiała mu szalik, a on przymykał oczy z akceptacją i mamrotał ostatnie słowo, które mu zostało, *cholernie*, ale ona wiedziała, że tak wyraża wdzięczność.

Całą wiosnę i lato spędzone z Andrew to robiła. Pojawiała się w holu, rozkładała wózek inwalidzki, mówiła: *Chodź, tato* i uśmiechała się nad jego ramieniem do pielęgniarki o zaciśniętych ustach. Obejmowała go, żeby go podnieść i podprowadzić w szurającej rumbie ciał do wózka, a potem – siup – opuścić. Wtedy układała mu kończyny, ubierała, obwiązywała szalikiem, ignorując uwagi pielęgniarki o zajęciach terapeutycznych czy porze na to czy tamto.

Pędziła z nim w dół podjazdem, zbyt szybko i niebezpiecznie wchodząc w zakręty, gwałtownie zatrzymując się, żeby ominąć róg budynku (czasem widziała, jak jego przerażone dłonie zaciskają się na poręczach wózka), ale gdy już znaleźli się na ulicy, uspokajali się, prowadziła wózek wolniej i czuła, jak ojciec rozluźnia się. W milczeniu wszystko mu opowiadała, gdy tak szli i jechali razem, ukojona jego ciepłą, niemą, zwierzęcą obecnością oraz faktem, że on kocha ją bez wysiłku, że jest po prostu jej ojcem.

W półmroku schowka na mięso Verla trzyma w ręku jaskrawy grzyb i wciera go sobie w usta i nos. Kruszy go, odczuwając łagodną żalobę za pociechą, jaką dawał jej ojciec. Czując żal z powodu jego samotności i zdziwienia, dlaczego go już nie odwiedza.

Po pewnym czasie strzepuje z ubrania grzybowe okruchy. Jej ojciec żyje albo nie, tkwi na wózku w dziennym ośrodku opiekuńczym, a może jakoś się uwolnił, pojechał na koniec moła i utonął. Przesyła mu modlitwę: *Nadal jestem twoją córką*.

Zabiera się teraz do pracy, udokumentowania i opisanego tego grzyba. Suchy, słony, jak kawałek ciemnego koralu, wysoki na półtora kciuka, szeroki na trzy palce. Jak dotąd – czyli w ciągu siedemdziesięciu dwóch minut – wywołujący przyływ wspomnień, być może halucynacje, ale nie trujący.

Robi dla niego malutką obręcz z kory i układa go w starej skrzyni na lód, żeby tam się ususzył.

Kiedy znajduje muchomora sromotnikowego, grzyb okazuje się tak wyraźnie i ewidentnie sobą, że Verla aż wybucha głośnym śmiechem. Jak mogła mylić z nim inne? Wie to od razu, nawet z takiej odległości, z kilku metrów. Jeszcze zanim uklęknie na mokrej trawie, coś drgnie w niej na jego widok, widok lśniącego blasku okrągłego kapelusza. Z bliska widzi bodącą, upartą główkę, gruby, biały trzonek, delikatną falbankę pod kapeluszem. A gdy bada go patykiem – blaszki. Idealnie białe.

Verla leży na brzuchu na mokrej trawie, zwlekając z zerwaniem grzyba, podziwiając go, zdumiewając się nad nim, patrząc z miłością. A potem przewraca się na plecy i patrzy w niebo. Wśród fałd chmur pojawia się błękit. Czeka na nią długa, jasna dolina.

Nazajutrz, kiedy Hetty wbiega do jadalni, krwawa głowa jagnięcia ze snu powraca do Verli. Kości jej czaszki zaczynają załamywać się do wewnątrz, z chwilą gdy aksamitna głowa zwierzęcia nasuwa się na jej głowę, a wzrok przesłania pokryta niebieskim żyłkowaniem błona. To musi być sen, ta siatka krwi na jej oczach, bo w przeciwnym razie, dlaczego Hetty miałaby na sobie jej czerwoną kurtkę na suwak?

Nagła szamotanina w pokoju, krzyk, odpychane i przewracane krzesła. Yolanda trzyma dłonie na gardle Hetty, a Lydia krzyczy:

– Ty pieprzona zdiro!

Wszystkie szarpia i drapia, pomimo błysków młócej już pałki Boncera. Uderza w kości, wali w skórę. Upadają jedna po drugiej, dysząc i wrzeszcząc. Teddy odciąga Yolandę. Hetty chowa się za Boncera, zdyszana, zapłakana, przyciskając dłoń do czegoś na szyi. To chyba naszyjnik Yolandy

z reniferem, który ta dostała od Darrena.

Cały pokój dyszy i wrzeszczy. Yolanda już nie ryczy, powalona na podłogę. Krew spływa jej po szyi, tworząc własny, jaskrawy i splątany naszyjnik. Mamrocze, ciężko oddychając, wpatrując się jasnym, groźnym wzrokiem w Hetty:

– Nie żyjesz, nie żyjesz, nie żyjesz.

Teddy trzyma Barbs za ramię, ta walczy i pluje na *zdradziecką kurwę*, a Teddy syczy do Boncera:

– Po coś ją tutaj w ogóle przyprowadzał, pieprzony debilu?

W głosie Boncera pojawia się nowe, spokojne okrucieństwo. Mówi prawdę, stwierdzając:

– Jeśli któraś z was jeszcze raz ją tknie, pozabijam wszystkie. – I dopiero teraz zauważają, że wcale nie bił ich swoją pałką, tylko jakimś długim czarnym kijem i teraz wskazuje nim na nie. Macha tym czymś w powietrzu, niczym czarno-srebrną różdżką. Gapią się, no bo co to jest? Rodzaj mopa, sekatora, nożyc ogrodowych? Tylko dlaczego ma spust jak kolba pistoletu?

– To moja kusza! – wrzeszczy Teddy.

Boncer przesuwając srebrną końcówkę, by wymierzyć ją w Teddy'ego, jednocześnie uśmiechając się tym krzywym uśmiechem. Nagle widać wyraźnie – to kusza do nurkowania najeżona strzałami.

– Zgadza się. A teraz siadać i jeść ten pieprzony obiad!

Siadają. Teddy głośno oddycha, a Nancy z tymi swoimi obojętnymi, pustymi oczami przysuwa się na ławie bliżej niego. Jaskrawa brutalność Boncera, szok z powodu tego, co zobaczyli, oszołomiły ich. Dziewczyny siedzą i krwawią, skrobią miski w milczeniu, przełykają jedzenie razem ze łzami. Żalność z powodu tego, co zrobiła Hetty, wypływa z oczu każdej z nich.

Teraz wszystkie są zakładniczkami tej potwornej rodzinie: Hetty w ukradzionych im ciuchach, Boncera ze straszliwą kuszą i Ransoma, ich butwiejącego dziecka, leżącego z rozkraczonymi nogami na krześle pomiędzy nimi.

Hetty siedzi napuszczona u boku Boncera, tak żeby wszystkie to widziały. Pod czerwoną płócienną kurtką Verli ma czarny T-shirt Lydii w wielkie pomarańczowe kropki; poniżej jej brudne uda wystają z krótkich szortów Joy z jasnego dżinsu, które ledwo zakrywają jej tyłek. Na szyi ma złotego reniferka Yolandy. Na stopach, a owszem, ma nowiutkie botki Izzy od Chloé, te, za którymi Izzy tak płakała, odkąd się tu znalazły. Czarne, zamszowe, na piętnastocentymetrowej szpilce. Hetty chwieje się na jednym obcasie, chwyta się Boncera, a potem krzesła przed sobą. Zarzuca brudne włosy za ramię, a potem wdrapuje się na krzesło – kurtka Verli opina jej szeroką talię, szwy zdają się wręcz rozchodzić – i przyciąga do siebie miskę.

Kolory jej ubrań robią tak wstrząsające wrażenie, bo pokazują na nowo, jak bardzo zostały wszystkie poniżone. Dziewczyny nie mogą oderwać oczu od tej czerwieni, od tych pomarańczowych kropek. To czyste, olśniewające, nasycone barwy. Zachwycają się nimi, nie mogąc wprost uwierzyć, że kiedyś nie zwracały uwagi na tak szokujące bodźce, na otaczające je zdumiewające piękno, które nosiły przecież na własnym ciele. Widzą siebie same i siebie nawzajem na nowo. Brudne, o poszarzałych zębach, pokrytej krostami skórze, przeżartej liszajem. Ich tuniki są pozbawione barw, przetarte, postrzępione i cuchnące. Te ich przegniłe brązowe buty! I to, jak stwardniała im skóra od zimna, wiatru i słońca, usta pokryły się pęcherzami, a policzki zrobiły szorstkie. Nawet uda Hetty pokrywa gęsia skórka, choć reszta jej ciała ma ciepło pod czerwonym materiałem i nowiutkimi botkami.

Verla wie, jaka ciepła i miękka jest ta jej nieodżałowana kurtka. Czuje, jak jej dawne życie pulsuje gdzieś wewnątrz niej, przytrzymywane przyjemną surowością suwaka przesuwającego się przez pierś. Zamyka oczy, przełyka włókna króliczego mięsa i powraca do swojego snu. Naciąga mocniej jagnięcą głowę na swoją własną, przyciąga bliżej jagnięcą skórę, przywierają do niej strzępki tłuszczu, krwi i tkanki. Będzie zajmować i wypełniać to śnione ciało tak długo, aż umrze Boncer. I Hetty też. A potem uniesie znad ciała Hetty swoją czerwoną kurtkę, leciutko, niczym płatek maku, i zostawi ją leżącą nago, by zajęły się nią ptaki.

Ransom zaczął cuchnąć. Smród padliny towarzyszy Hetty wszędzie, ale ona nigdy nie odkłada

lalki ani nie zostawia jej na zewnątrz. Tylko Yolanda i Verla wiedzą o malutkim ciałku zaszytym w środku. Jednak nic nie mówią, nawet między sobą, i wraz z innymi zatykają nosy i usta, gdy tylko Hetty kolebie się obok nich, zdzierając botki Izzy. Niech Hetty nosi swoje gnijące dziecko. Niech gnije razem z nim.

Co wieczór ustawiają się wzdłuż stołu, co wieczór wnoszone są te same miski, co wieczór dzieje się to samo. Boncer obserwuje je, gdy jedzą grzyby i króliki, i chwasty. Nawet Hetty je. Siedzi w ukradzionych ciuchach, z cuchnącą lalką na krześle obok. Boncer jest jednocześnie królem i królewskim strażnikiem, kusza sterczy pionowo obok nich, tkwi w jego zaciśniętej pięści niczym bagnet gwardzisty.

Teddy boi się teraz Boncera. Pewnego popołudnia próbował namówić go do wyjęcia strzały z kuszy, sugerując, że wystarczy lekki wstrząs, żeby sama wystrzeliła i przypadkiem zabiła Hetty, czy nawet samego Boncera. Ten przyjrzał się Teddy'emu i popatrzył na naprężony gumowy naciąg przytrzymujący bełt. Powiedział jednak:

– Przymknij się, cioto – i wycelował kuszę w Teddy'ego, żeby ten zniknął mu z oczu. Teddy przeskoczył szybko werandę, z niedomkniętym plecakiem, z powiewającym w powietrzu rękawem jasnoniebieskiego stroju do nurkowania i z pomarańczowymi klapkami w dłoni. I przeprowadził się do izby chorych, gdzie mieszkała Nancy, na dobre.

Teraz przy stole Boncer obserwuje, jak Hetty je kolację. Próbował powstrzymać ją od jedzenia grzybów, ale Hetty jest zbyt łakoma. Połyka grzyby, a on przygląda się jej, z oczami wilgotniejszymi od strachu, wypatrując objawów zatrucia.

Tak jak cała reszta, Verla je, nie czując smaku, ze wzrokiem skupionym na obtłuczonej, poszarzałej misce. Napis HARDINGS wypisany wokół jej brzegu. Jakie to dziwne, że kiedyś bali się albo wyczekiwali Hardingsa, tej mitycznej bestii. Równie dobrze mogli liczyć na pojawienie się jednorożców albo smoków.

Nagle dłoń Boncera strzela w górę i zgarnia ku sobie talerz Yolandy, zostawiając ją z widelcem w powietrzu.

– Ja to zjem – stwierdza i zaczyna wsuwać, z twarzą tuż nad naczyniem. Przymyka oczy, tylko na chwilę, czując wreszcie smak grzybów.

Potem każdego wieczoru zabiera miskę innej dziewczynie.

Powietrze straciło ostrość, a słońce znajduje się teraz ponad wzgórzem. Zima się cofa.

Kiedy Verla towarzyszy Yolandzie w taki sposób, czyli trzymając się od niej w pewnej odległości, inne sprawy też się oddalają. Myśli Verli mogą przychodzić i odchodzić z prostą jasnością, nieobciążone morderczym szpikiem nieszczęścia, który wypełnia jej kości w boksie, zanieczyszczając umysł przez resztę czasu. Spędzanego w jadalni lub gdziekolwiek indziej w pobliżu Boncera albo Hetty lub Nancy. Czy nawet Teddy'ego, teraz też będącego na łasce Boncera (ale nie, nie będzie dla niego litości, nie ze strony Verli). Tutaj na pastwiskach i na zboczu grzbietu wie, że obie są... niezauważalne. Nie grożą im pałki ani związanie sznurkiem, ani zapięcie na smyczy, ani kusza. Nie są ani dziwkami, ani więźniami. Nie są tu nawet dziewczynami, lecz nasionami niesionymi przez wiatr.

Spogląda w górę na delikatny blask słońca, które oświetla grzbiet tak, jak robi to od zawsze. Chciałaby mu podziękować.

Zimne powietrze poranka jakby uskrzydliło Yolandę, która porusza się prędko do przodu, gwałtownie oddalając się od Verli, sunąc w futrzanych mitenkach swoich króliczych butów przez kłującą trawę i po nierównym gruncie.

Dziś Verla z łatwością nadaża, rozglądając się uważnym, jasnym wzrokiem po pastwiskach, stawiając kroki śladem Yolandy. Teraz już wie, gdzie zwykle można znaleźć grzyby, wyobraża sobie malutkie, wybrzuszone kształty, zanim je spostrzeże. Ledwo przystaje, gdy zatrzymuje się, by wyciągnąć je z ziemi i zgnać do nosidełka na piersi.

W schowku na mięso, ukryte w zagłębieniu zardzewiałego żelaza za słupem, tkwią trzy małe, lepkie muchomory, opatulone kawałkiem przetartej szmatki. Od kilku tygodni nie napotkała już ani jednego, ale poszukiwania nie są takie pilne. Teraz, gdy Boncer nabrał zwyczaju jedzenia z misek różnych dziewczyn co wieczór, nie ma pojęcia, jak podać mu truciznę. Co dzień mężczyzna obserwuje ją, gdy przynosi grzyby do kuchni, przeszukał nawet schówek na mięso, ale niczego nie znalazł.

Być tak blisko jego śmierci, ale nie móc jej zadać – to trudne do zniesienia.

Yolanda skręca i zaczyna wspinać się po zachodnim zboczu. Verla nie słyszy nawet jej oddechu. Yolanda porusza się bezdźwięcznie, choć droga jest teraz stroma i trudna. Verla pnie się za nią w górę z pewnym wysiłkiem. Kamienista, stroma ścieżka sprawia, że trudno utrzymać równowagę. Nie udaje już, że jest wystarczająco sprawna, by nadażyć. W końcu Yolanda zatrzyma się i poczeka na nią, patrząc ponad nią daleko w dół wzgórza, tam, gdzie zaczęły się wspinać, gdy Verla pochylił się z rękoma opartymi o kolana, żeby złapać oddech.

Czy Yolanda pamięta tamten pierwszy szklisty, przerażający dzień, gdy maszerowały tędy, przypięte do innych i do Boncera? To było tak dawno temu, że wydaje się snem. Jakże się zmieniły. Kiedy Verla próbuje sobie teraz przypomnieć tamtą dziewczynę, siebie, próbującą otrząsnąć się z oszołomienia wywołanego lekami, nie potrafi. Zupełnie jakby chciała zamieszkać w innej istocie, w jakimś niemożliwym bycie, jakiejś mątwie, robaku, drzewie. Yolanda zmieniła się bardziej niż którakolwiek z nich. Czy są przyjaciółkami? Verla zastanawia się nad tym, prąc do przodu. Być może, ale w taki cielesny, pozbawiony słów sposób, jak człowiek i pies. Yolanda nie chce ludzkiej przyjaźni, Verla to wie. Szuka wzrokiem daleko z przodu – jednak się nie zatrzymała, posuwa się w górę zbocza, nie zwalnia, nie czeka. Drobną figurką poruszającą się stałym tempem, znikająca i pojawiająca się na nowo na tle wyciszonych barw krajobrazu w szarym kamuflażu ze zwierzęcych skór.

Verla odsuwa kosmyk włosów z czoła i rusza dalej, czując pot pod pachami i w pachwinach.

Słońce powoli się przesuwają.

Słyszy dźwięk płotu. W niektóre dni wydaje jej się, że ucichł – ale gdy się zbliżają, obie uświadamiają sobie, że jego dźwięk stał się tak znajomy, jak głosy ptaków czy nieustający wiatr. W inne dni, jak dziś, gdy wiatr wieje z odpowiedniego kierunku, jego brzęczenie jest donośne. *Nigdy nie ucichnie*, myśli z goryczą. Jest tak nieskończony, jak niebo.

Verla od tygodni nie widziała swojego konia. W mroku wstaje z łóżka i czeka na niego. Zeszłej nocy wyszła nawet na światło księżyca, wołając go sekretnym szeptem. Wypatrując pośród ciemnych równin, wzgórz i zarysów budynków mignięcia jego przesuwającego się, bladego kształtu. Stała tam bosymi stopami na zamrożonej ziemi, ale nie dostrzegła go. Wie, że on gdzieś tam jest, brnie przez

wzgórza, a jego długie zęby chwytają i wrywają trawę. Utrzymuje się przy życiu, czeka. To kolejna pewność, która dotarła do Verli wraz z muchomorem: że koń i ona są w jakiś sposób związani. Że w pewnym sensie ten koń jest nią, Verlą, w jakieś wyzwolonej, uduchowionej formie. I pewnego dnia – gdy sprawy z Boncerem zostaną załatwione – koń i ona zjednoczą się. Nie umie powiedzieć, w jaki sposób, ani co to będzie oznaczać, ale w głębi duszy wie. On wróci, a ona wdrapie się, by położyć się na ciepłym, oddychającym grzbiecie i przyłoży policzek do potarganej, usianej rzepami grzywy. Poniesie ją ku jej właściwemu życiu, do malutkiej książki Whitmana, do Andrew czekającego na nią z okrzykami żalu i poezją.

Dysząc, Verla wciąż wspina się na grzbiet. Wreszcie dogania Yolandę, która zatrzymała się i stanęła powyżej z dłońmi założonymi za głowę. Z sylwetką zarysowaną na tle nieba wygląda jak wojowniczką w futrach, cuchnącą króliczymi szczynami i śmiercią, umięśniona jak mężczyzna. Gdy tylko Verla ją dogania, Yolanda odwraca się i rusza dalej. Została już tylko jedna pułapka do sprawdzenia. Dzisiejsze wyjście to rodzaj wyprawy poszukiwawczej. Verla jest już zmęczona, przestaje więc rozglądać się za grzybami. Yolanda znajduje się na ścieżce tuż nad nią, Verla trzyma się teraz blisko niej, idzie twarzą w twarz z pękiem związanych królików, zwisających z pasa Yolandy. Patrzy na ich główki i wytrzeszczone oczy, na długie, miękkie ciała kołyszące się w rytm kroków.

Yolanda chrząka coś, gdy omijają duży skalny odłamek na ścieżce i zatrzymuje się tak gwałtownie, że Verla na nią wpada. Futrzana kolumna króliczych trucheł dotyka jej ciała; cofa więc się z odrazą.

Yolanda zatrzymuje się, bo w ostatniej pułapce nie ma królika. Ziemia wokół jest jakby przekopana i zaorana. Długi metalowy szpikulec pułapki wciąż tkwi wsunięty pod ciężki kamień, ale szczęki zacisnęły się na długiej, gładkiej stopie wielkiego szarego kangura. Kangur żyje. Do tej chwili leżał dziwnie na boku, ale gdy się zbliżyły, wyprostował się. Uwięziona, zakrwawiona łapa sprawia, że zwierzę zatacza się i chwieje ze spuszczoną głową. Malutkie przednie łapy zwisają, bezużyteczne, przy piersi.

Verla stała kiedyś w buszu, a kangury mijaly ją w pędzie. *Tak było* – myśli – *to nie była tylko gorączka*. Czuje to ponownie, ten pęd powietrza. Prędkość, zwierzęcą siłę. Ale teraz to tylko marne stworzenie.

Jak to się stało? W przypadku każdej innej pułapki, którą zastawiła Yolanda, jedno szarpnięcie takiego dużego zwierzęcia wyciągnęłoby szpikulec z ziemi. Kangur musiałby wlec zaciśniętą pułapkę za sobą, ale nie byłby uwięziony. Jednak tutaj przypadkowy kąt ustawienia szpikulca pod skałą sprawił, że nie dało się go poruszyć. Mimo szarpania i ciągnięcia, przypięty łańcuch nie puszczał.

Kangur jest wzrostu dziewczyn. Czują docierający do nich oddech zwierzęcia, wilgotny, pełen strachu.

Przestaje się w końcu szamotać i patrzy wprost na nie. Uszy ma ustawione pionowo, strzygące, drżące. Gruby, muskularny pień ogona przyciśnięty do gruntu, podpira duży ciężar. Dziewczyny stoją nieruchome, nie odzywając się. Kangur znów delikatnie porusza się, szarpie. A potem opuszcza głowę i wyciąga swoją potężną szyję, wbijając w dziewczyny swoje czarne oczy, i wydaje z siebie trzy długie, ochryple warknięcia. Jego pysk się rozpląszcza, błyskają nozdrza. Dysząc z wysiłku, opada, by oprzeć się na potężnej podporze ogona. Wszędzie wokół na zrytej ziemi leżą drobne kulki odchodów.

– Musimy otworzyć wnyki – szepcze Yolanda i stawia ostrożnie krok w stronę zwierzęcia.

Verla syczy:

– Nie! – Pazury kangura, nawet na delikatnych przednich łapach, są długie i ostre; te potężne z tyłu przypominają grube, rzeźbione ostrza. By otworzyć pułapkę, Yolanda musiałaby przykucnąć z twarzą tuż przy tych czarnych skalpelach. Pochyliła się, by ukucnąć i zaczyna przesuwać się powoli do przodu. Kangur opuszcza głowę i rzuca się w jej kierunku, wydając z siebie kolejne ochryple, ostrzegawcze warczenie: głośniejsze niż wcześniej, wyższe, to groźba. Verla już widzi jak to wielkie ciało atakuje Yolandę, jednym kopnięciem rozcina jej brzuch w króliczych skórkach, a drobne czarne pazury z przodu rozrywają jej twarz, pozbawiając rysów. Yolanda wycofuje się po ostrzegawczym warknięciu. Prostuje się, zarumieniona, instynkt przetrwania wywołuje w niej wstyd. Verla wie, że serce

szybko jej bije.

– Co się z nim stanie? – pyta Verla. Gdzieś w głębi niej pęka i otwiera się łupina nasiona. To ma wyraźnie coś wspólnego z tym okaleczonym kangurem i z jej przychodzącym nocą koniem. Zaczął w niej kiełkować strach – uświadamia to sobie teraz – już od chwili, gdy koń zniknął. I rośnie w niej, niosąc ze sobą niski pomruk, jak brzęczenie płotu pod napięciem. Ma ochotę odwrócić się i zbiec po kamienistym zboczu. Wolałaby nigdy nie ujrzeć tego złego znaku. Jasny, piękny księżycowy koń Verli leży gdzieś chory, schwytyany, jak ten tutaj.

To było pytanie retoryczne, ale Yolanda i tak odpowiada. Być może sobie:

– Umrze.

Stoją osobno, patrząc na kangura, jak bezsilnie miota się i dyszy. To nie do zniesienia. Nie mogą go tak zostawić.

– Boi się nas – szepcze Verla, chwytając Yolandę za ramię. Chce zaciągnąć ją za głaz, żeby zwierzę ich nie widziało. Jeśli odpocznie, to może nabierze sił i samo się uwolni.

Yolanda opiera się o kamień, zaciskając usta. Królicze spódnice zwisają jej z pasa. *Ona jest teraz stworzeniem natury*, stwierdza Verla. *Myśli jak zwierzę, znajdzie sposób*. Przykuca w cieniu skały, siada na wilgotnym podłożu.

– Musimy dać mu wody – stwierdza Verla.

Yolanda kręci głową.

– Lepiej uderzyć go w głowę. – Zaczyna szukać wzrokiem kamienia w trawie.

– Nie! – mówi Verla.

Zwraca się ku niej zimne spojrzenie łowcy.

– O co chodzi?

Jeśli przyniosą wodę i jedzenie – Verla raz po raz masuje sobie kciukiem wnętrze dłoni, wie, że teraz błaga – to odzyska siły na tyle, by wyciągnąć szpikulec spod skały. (Jej koń, gdzieś tam, dyszy w niewoli). On nie może umrzeć.

Yolanda prychna.

– A potem co? Pociągnie za sobą wnyki i umrze, powoli i w cierpieniu, z powodu infekcji?

Jednak zagląda za skałę, a Verla dostrzega, że nawet łowca, który tkwi w Yolandzie, jest poruszony wyrazem żalu i wyczerpania na pysku kangura, jego koszmarną samotnością. Zna to uczucie. Zwierzę zostało oddzielone od wszelkiego życia, a mimo to wciąż w cierpieniu ślepo żyje. Sprawiała to jej pułapka.

Yolanda odwraca się, a Verla widzi jej twarz i wie już, że wrócą tu z jedzeniem i wodą.

Zakradają się wokół głazu, by ostatni raz spojrzeć na walczące stworzenie. Znów dyszy, a one wdychają opary. Zanim sobie pójdą, Verla rozwija szmatkę z grzybami i rozrzuca je na ziemi wokół kangura. Yolanda potrząsa tylko głową nad taką głupotą.

– Może weźmie – mówi Verla, ale kangur znowu jedynie się szarpie, przerażony toczącymi się grudkami. A potem ponownie opada, obserwując je swoim lśniącym, bezradnym wzrokiem.

Idą w milczeniu. Nikomu nie powiedzą, co widziały. Myślą o kuszy Boncera ze strzałami, o jego ryczącym śmiechu. Zatrzymują własne sekrety dla siebie, gdy tak maszerują: o ryjących ziemię pazurach, o smutku, o bladych, wolno poruszających się w księżycową noc kształtach.

Nazajutrz kangur nawet się nie poruszył, gdy przechodziły po trawie wokół skał. Usiadły w cieniu głazu i obserwowały zwierzę. Najwięcej much latało wokół stopy, opuchniętej teraz w metalowych szczękach. Od czasu do czasu zwierzę wydawało z siebie niskie stęknienie, odgłos cierpienia. Było zbyt bliskie śmierci, by dotknąć miski z wodą czy trawy, którą przysunęły mu wczoraj za pomocą kija. Widziały, jak czarne muchy roją się wzdłuż metalu, zajęte lepką, poczerniałą raną. Głowa kangura leżała teraz na ziemi. Patrzył w dół na swoją tylną łapę z zamglonym brakiem zainteresowania. Kilka mniejszych much latało wokół jego głowy. Uszy drgały mu od czasu do czasu, bezskutecznie, nie mogąc ich odpędzić. Pysk miał otwarty, cicho dyszał.

– Nic nie możemy dla niego zrobić – powiedziała Yolanda, wychodząc zza załomu skały. Poza tym, co mogła zrobić z kamieniem w rękę. Było coś ludzkiego w leżącym kształcie kangura, wygiętych w łuk plecach, zdrowej nodze podciągniętej do brzucha, na którym skrzyżował drobne przednie łapy. Gruby pień ogona ciągnął się z tyłu, słaby i już bezużyteczny. Jądra widoczne w mosznie leżały na płaskiej żółtawej trawie.

W chwili, gdy Yolanda usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok niego na ziemi, kangur już nawet nie drgnął. Verla patrzyła spod skały, z dłońmi wsuniętymi pod pachy. Skupiła wzrok na swobodnej tylnej łapie i pazurach z przodu. Wydawała się nieobecna, jakby znajdowała się poza sobą i poza tym miejscem. Yolanda przysunęła się bliżej zwierzęcia, uniosła jego długi, elegancki pysk i położyła sobie na kolanach. Był zbyt słaby, by zrobić cokolwiek poza drobnym, bezwładnym drgnięciem. Yolanda wzięła słoik i spróbowała nakapać mu wody do pyska, ale nie był w stanie przełknąć. Woda wsiąkała w jego sierść i w tunikę Yolandy. Zobaczyła, że coś wypływa mu z nosa. Musiała wstrzymać oddech, by nie wdychać cuchnącego zapachu, przekręcała od czasu do czasu głowę w bok, by zaczerpnąć powietrza. Spojrzała na Verłę, siedząc tak z umierającym stworzeniem na kolanach.

Nie było sensu otwierać teraz pułapki i nie było też potrzeby używać kamienia, bo kangur i tak miał zaraz umrzeć. Jego brzuch unosił się i opadał od szybkich, płytkich oddechów.

W Rzymie Verla widziała kiedyś marmurową matkę tulącą lśniącego, martwego syna. Andrew wyjaśnił jej, że pieta jest cudownie nieproporcjonalna, by ramiona Marii mogły objąć całego mężczyznę. Mówił dalej o kamieniu i rzeźbiarzu, ale w tętniącej życiem przestrzeni pod kopułą Verla czuła, że jest tylko ona i ta kobieta. Rozumiała ją, jakby to jej własne palce przylegały do wiotkiego, pozbawionego życia ciała. Straszne, zwisające bezwładnie ramię, przywarłe do niego, silne palce matki. I oto siedzi tutaj Yolanda, jej własna pieta w brudnej trawie pod jasnym, chłodnym niebem, nucąca i pociągająca nosem, mruczająca coś w pokryte kurzem futro, tuląca je i kołyszająca.

Verla wie, że coś straszego stało się z jej księżycowym koniem.

Drżące odgłosy kangura, te jądra na trawie, jej ojciec w szpitalnej piżamie, gdy matka pomaga mu skorzystać z toalety. Verla, jedenastoletnia, patrzy, jak nagle cały starczy ciężar męczyzny spoczywa na przedramieniu żony. Jego nagi kościsty tyłek, jądra jak narządy tego biednego zwierzęcia: skurczone, delikatne w obwisłej osłonie. Później, w domu, jego ochrypły głos wołający w nocy. Niesmak matki wobec jego marniejącego ciała, nieobecnego umysłu. W Verli wzbiera burza i przypomina jej się odraza matki do Andrew. Verla przed sędziami w biurze przewodniczącego partii, szlochająca, roztrzęsiona. I jej matka drwiąca z nich:

– Dobry Boże, we Francji w ogóle nie byłoby sprawy.

Ale tak naprawdę była zdegustowana Verlą, swoją córką, gdy siedziały na parkingu po ciemku.

– Jesteś taka banalna – powiedziała to córce, a potem wsiadła w samolot i odleciała.

Ojciec Verli leży gdzieś i się boi. Jej koń też się boi, uwięziony albo chory. Śmierć przyjdzie teraz po nich wszystkich – poza Boncerem, który powinien umrzeć, ale żyje, a one zamiast niego zabiły to stworzenie.

Czuje, jak z nieba przychodzi zimny wiatr i zaczyna schodzić w dół grzbietu wzgórze.

Potem Yolanda nawet się nie wzdrygnęła, odcinając stopę kangura.

Następnego ranka czuć w powietrzu zapach surowego mięsa, gdy znajdują Nancy w łóżku martwą. Lydia i Izzy relacjonują, że Teddy siedział w brudnej pościeli i trzymał podbródek Nancy w jednej ręce, płacząc i próbując wygrzebać białą papkę i okruchy tabletek z jej biednych martwych ust. Kawalki kangura wiszą w cieniu werandy przy kuchni i ociekają krwią na drewniane deski.

Kakadu krążyły i wołały o świcie, kiedy głęboki granat nieba zaczynał jaśnieć. Nancy nie żyła.

Yolanda leżała w swoim boksie w gnieździe z króliczych skór i, po raz pierwszy od wielu miesięcy, tęskniła za Robbiem. Tęskniła za swoim policzkiem przyłożonym do jego twardego torsu, do jego szorstkich swetrów. Tęskniła za jego silnymi ramionami, obejmującymi ją, przyciskającymi do jego ciała i kołyszącymi ją razem z nim, gdy oglądali mecz rugby albo stali przy jego samochodzie na podwórku matki Yolandy.

Yolanda obróciła się w swych futrzanych kocach i spojrzała na blednące za oknem gwiazdy.

Teddy zostawił Nancy na łóżku i wytoczył się jak pijany, biegnąc na suche pastwiska z rękoma obejmującymi głowę, jakby chronił ją przed biciem. Dziewczyny obserwowały go z werandy. Widziały, jak jego postać wspina się na zbocze, ciemna na tle żółtej ziemi, i słyszały odgłosy szlochu dorosłego mężczyzny, które godzinami przynosiły im powiewy powietrza znad pól. Robbie tak płakał, nagle odległy, gdy Yolanda powiedziała mu, co się stało. A potem wstał z kanapy, wyszedł i nie powiedział jej miłego słowa ani razu podczas tego wszystkiego, co potem nastąpiło.

Wciąż za nim tęskniła. Pozwoliła sobie pomyśleć – krótko – czy on też za nią tęskni. To znaczy za nią dawną, za Yolandą z poprzedniego życia. Gdyby Robbie ją teraz zobaczył, nie rozpoznałby w niej swojej ukochanej dziewczyny. Wykrzywiłby usta z odrazą i mruknął do kumpla:

– Chryste, spójrz na to, puknąłbyś to? – I roześmialiby się wprost do otwartych butelek piwa, odwracając się w drugą stronę.

Przez cały dzień dziewczyny zbierają chrust, najsuchsze łodygi trawy, liście eukaliptusa, jakie udaje im się znaleźć. Związują grube patyki i łupiny kory, wszystko, żeby móc spalić Nancy. Verla chodzi po pastwiskach, podnosząc drobne gałązki i wyciągając stare, do połowy zakopane w ziemi słupki ogrodzenia. Maitlynd wyłania się spod domu wraz z ciągnącymi się za nią jak ślubny tren długimi kawałkami desek podłogowych i bali. A Leandra targa wielkie kawałki przegniłych gałęzi ze swojego drogocennego zapasu drewna do pieca. Stos robi się coraz wyższy.

Wreszcie przynoszą biedną Nancy. Izzy i Barbs niosą ją między sobą, owiniętą w brudne prześcieradło z łóżka w izbie chorych. Nie mają trudności z uniesieniem ciężaru, bo Nancy przestała jeść wiele dni wcześniej, więc jej ciało jest teraz lekkie jak ciało dziecka. Jest naga pod prześcieradłem: zabrały i spaliły już jej kombinezon. I umyły ją na łóżku najlepiej, jak potrafiły, szorując ścierką cuchnące zagłębienia jej pach, miejsca między udami, pod kolanami i za uszami. Wytarły jej brudną twarz, usunęły zaschnięte resztki wymiocin i wygładziły brwi. Umyły i zaczesaly do tyłu włosy.

Teraz wszystkie gromadzą się wokół. Chwytają rogi i brzegi prześcieradła i wciągają Nancy wysoko na stos drewna i patyków, unosząc zwinięty kokon niczym nosze, ciągnąc i przesuując, aż znajdzie się na samym środku. Prześcieradło się odwijają, drobne, posiniaczone ciało ukazuje się niebu, blada, miękka skóra rozpięta na delikatnej ramie, łata gęstych włosów łonowych zaskakująco czarna pod sterczącymi ostro kośćmi biodrowymi. Głowa odchyła się do tyłu, spierzchnięte usta otwierają się. Jej twarz już przypomina szkielec, pożółkła skóra jest napięta na policzkach i łukach brwiowych. Suche jasne kosmyki włosów sterczą z czaszki, wplątując się w sprężyste łożo z patyków i gałęzi.

Dziewczyny siedzą przy ogniu aż do rana i przez całe popołudnie.

Nienawidziły Nancy, życzyły jej śmierci, śmiały się bezlitośnie, wiedząc, że cierpi. Lecz teraz leży tam w swojej nagiej dziewczęcej skórze. Dostrzegają, że była tylko jedną z nich, że to tylko chude kości i zapadnięte ciało. I po raz pierwszy zastanawiają się, czy ona też miała matkę, gdzieś w tym

małym miasteczku, z którego pochodziła. Czy gdzieś jakaś współlokatorka z mieszkania nadal narzeka, że nie zapłaciła czynszu? Czy właściciel piekarni kiedykolwiek zapytał, gdzie podziała się Nancy?

Dzień pełnie dalej, ogień płonie, a dziewczyny zbijają się w gromadkę, obejmując się ramionami. Podtrzymują ogień, trzymają straż, czuwają. Joy zaczyna śpiewać czystym, niskim głosem. Barbs i Izzy dołączają swoimi cienkimi, wysokimi i fałszującymi głosami, próbując zgrać się w krótkich hymnach powstałych z połączonych piosenek Rihanny, Lady Gagi czy Lany Del Ray. Maitlynd i Lydia odwracają twarze i płaczą cicho, wtulając się sobie nawzajem w ramiona, gdy płomienie ogarniają ciało, a biała skóra Nancy powoli zaczyna ciemnieć i trzeszczeć, i płonąć.

Muszą podsycać ogień, dodając gałęzie, suche łodygi ostu i kawałki drewna z ogrodzenia, przyciągnięte o zmierzchu z rozpadającej się zagrody dla owiec. Zanim niebo pociemnieje od chmur i spadnie kilka wielkich kropel deszczu, ogień zapłonie mocno i intensywnie, i nic go już nie powstrzyma. Verla i Yolanda siedzą razem po turecku na ziemi, opędzając się przed dymem. Po pewnym czasie ich dłonie odnajdują się nawzajem pośród zakurzonej trawy. Verla obserwuje płomienie i wie już to samo, co wie Yolanda. Uświadamia sobie, że jej koń o północy nigdy nie był prawdziwy i nigdy by jej nie uratował.

Kilka godzin później zapada ciemność. Przychodzi Hetty, staje i patrzy na krąg dziewczyn wielkimi oczami. Stoi osobno, z rękami po bokach. Nareszcie nie ma przy sobie Ransoma. Choć Hetty nic Nancy nigdy nie zrobiła, wszystkie wiedzą, że jest winna, bo jest dziewczyną Boncera.

Co więcej, Lydia i Joy trącają się łokciami i szepczą, wskazując głowami rosnącą wypukłość brzucha Hetty, wystającego teraz spod brzegu brudnego T-shirta Lydii. Zabawne, jak wyraźnie teraz go widać, gdy ogień ostatecznie to potwierdza, tu w ciszy, gdy Nancy płonie. Jedno ciało rozpada się w płomieniach, a inne formuje się w wodzie, komórka po dzielącej się komórce. Hetty stoi samotnie i patrzy w ogień.

Boncer ani Teddy nie wychodzą z domu, nawet żeby popatrzeć z werandy. Wygląda na to, że chowanie zmarłych, podobnie jak pranie, karmienie i rodzenie, to babska robota.

To jednak nie był krzyk ptaka.

Yolanda spojrzała w górę z miejsca, w którym przykucnęła, trzymając pułapki. Od czasu kangura znówu wychodziła co rano sama. Nie chciała towarzystwa Verli, a Verla już za nią nie chodziła. Śmierć kangura zniszczyła coś pomiędzy nimi i Verla nie opowiadała już o swoim nocnym koniu. Yolanda poruszała się z ręcznie o świcie, wnyki brzęczały u jej pasa, niosąc ukojenie rytmicznymi uderzeniami stali pobrzękującej o jej biodro. Cieszyła ją rosa, która teraz, gdy robiło się cieplej, obrębiała dół jej spódnicy i moczyła uda, gdy Yolanda kroczyła pośród wysokich traw.

Na chwilę, nim usłyszała głos ptaka, poczuła coś dziwnego. Ogarnęło ją niejasne uczucie, a potem zniknęło, niczym kropelki leciutkiej mżawki latem na twarzy. Czy to szczęście? Możliwe, gdy jest tu sama, zajęta pracą.

Podeszła teraz do pierwszej pułapki i przyklękła – niczym do codziennej modlitwy – przy sztywnym, pokrytym futrem ciałku, które znała jak własny gatunek. Niedługo będzie mogła połączyć się z samą ziemią, a tyle tęsknoty było w tej świadomości, w tej cętkowanej słodczą halucynacji... Podobnie jak ludzie, którzy umierają wśród śniegu, powinna oprzeć się pokusie, by zanurzyć się i zasnąć w zabójczym otoczeniu. Dlaczego? Nie wiedziała, poza tym, że instynkt mówił jej: *opieraj się*. Opieraj.

I wtedy właśnie usłyszała kolejny krzyk i spojrzała w górę ze swojego miejsca w płytkiej dolinie. I zorientowała się, że to nie ptak, ale długie, samotne wołanie człowieka. Jakaś postać poruszała się po odległym wzgórzu. Prąca do przodu brudna smuga perkalu, drobna kropka wspinająca się pod górę i wydająca z siebie ten dziwny sowy krzyk.

Inna Yolanda mogłaby zareagować inaczej: dawna Yolanda mogłaby rzucić pułapki i krzyknąć, zawołać, tak, jak zrobiła to z balonem. Ale wiedziała, że ta mała smuga to wspinająca się z trudem Hetty. Zrzuciła skradzione ubrania, znów miała na sobie więzienną tunikę. Yolanda domyślała się urywanego oddechu i szlochów, które wydawała z siebie, wspinając się pod górę, bolesnego trudu oddychania, wołania, tłącego się w niej lęku. Wiedziała, dokąd zmierza Hetty – w górę grzbietu, a dalej łysym, kamienistym szlakiem, którym maszerowały tamtego pierwszego dnia za Boncerem.

Później Yolanda pójdzie tam z innymi, niosąc szpadel.

Teraz obserwowała, jak Hetty powoli wdrapuje się na zbocze, jak robi się coraz mniejsza i mniejsza, aż znika z oczu. Yolanda stała, obserwując swój własny bezruch, patrząc, jak wcale nie biegnie z powrotem na podwórze, nie wszczyna alarmu, nie rusza w pościg, nie próbuje uratować Hetty. Ta Yolanda, która kiedyś mogłaby to wszystko zrobić – ta, która biegła za balonem, prawdziwym lub szalonym snem – ta Yolanda mogłaby też przynajmniej wyszeptać: *Żegnaj, Hetty*, ale nie wyszeptała nic. Stała z rękami na biodrach, patrząc, aż Hetty zniknie. A potem z długim, cichym westchnieniem wypuściła powietrze i opadła z powrotem na kolana, wsunęła dłonie pod drobne ciałko w pułapce i uwolniła zmiażdżoną przednią łapkę. Odwróciła i pogładziła stworzenie, zanim rozpięła pas, wsunęła skórzany pasek przez otwór, którzy wycięła w kończynie królika między mięśniem a kością i zapięła z powrotem wokół talii.

Podniosła wnyki i usunęła włosy, drobne okruchy kości i krew ze stalowych szczęk, z taką czułością, jakby to mogła być Hetty, oddana już ziemi i przemieniona, oferująca Yolandzie bogate ciepło swojej skóry, białko mięsa, użyteczność jelit i rozpaćkanego mózgu. Ofiarowała się już raz, czemu nie znów?

Wszystko to czyniło Yolandę silną i mówiło jej, że jej czas tutaj dobiega końca. Czasem, gdy myślała o końcu, odczuwała jakąś pustkę. I wtedy wycofywała się gwałtownie, jak teraz, do owego cichego, zwierzęcego triumfu: przetrwania. Nancy odeszła, króliki zdechły, Hetty umrze, a każda z tych cudzych śmierci oznaczała, że Yolanda przetrwa.

Verla obserwuje twarz Boncera, gdy Yolanda wraca z zastawiania pułapek. Wpada do środka, rzuca truchła królików na ławę i przesuwając dłoń po spódnicy. Zerka na swoją pierś i usuwa krwistą grudkę z materiału, a potem mówi:

– Hetty poszła do płotu.

Boncer obraca się gwałtownie.

– Odpierdol się – mówi, zaledwie z lekkim niepokojem, ale sięga po swoją kuszę. Wrzeszczy na Izzy, żeby poszła i przyprowadziła Hetty z powrotem. Ta patrzy na Yolandę i wybiega. Wszyscy wiedzą, że coś się stało, powietrze aż zgęstniało. Izzy wraca, patrząc wytrzeszczonymi oczami. Staje tak, żeby znaleźć się jak najdalej od kuszy Boncera, gdy podaje mu Ransoma za jedno z rozpadających się ramion i mówi:

– Nie mogę jej znaleźć.

Boncer robi się błądy i jakoś dziwnie przełyka. Chowa kuszę pod pachę i bierze Ransoma w ramiona, gapiąc się na Izzy. Zaczyna płakać, przytulając lalkę do piersi, jak dziecko, tak, jak robiła to Hetty.

Yolanda prowadziła, maszerując ze szpadlem niesionym przy piersi. Boncer dreptał obok niej, z Ransomem wciśniętym pod ramię i z kuszą w drugiej ręce. Potem Verla i reszta dziewczyn, a na samym końcu Teddy.

Gdy ją znaleźli, jej dłonie wciąż zaciśnięte były na drutach płotu, choć głowa odchyliła się całkiem do tyłu. Zwisła tam tak, naciągając i odginając druty. Verla ominęła wzrokiem dziwnie sztywne ciało Hetty i popatrzyła na świat za płotem.

Yolanda zwróciła twarz ku ziemi, wbiła w nią łopatę.

Boncer i Teddy przynieśli gumowe rękawiczki, zabrane z izby chorych Nancy. Teddy tym razem założył robocze buty z gumową podeszwą. Płot pod napięciem cykał i brzęczał. Każdy z nich wziął drewniany kij. W jednej chwili ciało Hetty zostało zdjęte z płotu i opadło z głuchym tąpnięciem na miękką żółtą trawę. Teddy rzucił swój kij i odsunął się, krzyżując ramiona. Po Nancy nie zbliży się już do żadnego ciała.

Boncer przykucnął przy Hetty, wciąż przytrzymując lalkę. Ze łzami w oczach patrzył na zniszczone ciało, na pokrytą pęcherzami skórę. Nie tknie jej. Dziewczyny zgromadziły się wokół, w pierwszej chwili bojąc się dotknąć drobnych, poczerniałych dłoni, przypominających łapy kangura, twarzy pozbawionej kolorów i opuchniętej, trzeszczących włosów.

A Yolanda, stojąc za nimi, unosiła szpadel i wbijała jego ostrą krawędź w twardy grunt, raz za razem.

Jeszcze w domu Leandra znalazła ich stare ubrania upchnięte w jej piecu: czerwoną kurtkę, a nawet botki od Chloé, wszystko zwęglone, zniszczone, nie do uratowania. To był kolejny powód, by nienawidzić Hetty – ale teraz, gdy trzymały jej drobne ciało w swoich dłoniach, nie mogły jej nienawidzić. Ruszyły do pracy, dotykając ciało w milczeniu, zdejmując z niego ubranie. Wypalone łąty na tunice można zaszyć, buty – kiedyś Yolandy – wciąż były w lepszym stanie niż te, które miały na nogach. Ich dłonie pracowały nad Hetty, pilnie rozpinając i zdejmując suknię, skarpety, bieliznę, którą wymieniły z nią wtedy, gdy została oddana Boncerowi. Przeszukały jej brudne, splątane włosy w poszukiwaniu ukrytych gumek i spinek, przesuwając opuszkami palców po jej ciele, szukając jakichkolwiek nitek czy śladów biżuterii. Badały ją.

Dół był gotowy – niezbyt głęboki, ale wystarczająco głęboki, by ją pochować, zanim pojawią się dingo albo jastrzębie.

Yolanda była spocona. Wyprostowała się, stękając z wysiłku przy ostatnim ruchu łopatą. I wtedy biedna Hetty, cięższa niż dziewczyny się tego spodziewały, została niezgrabnie podniesiona, a potem pociągnięta, skulona i naga, na skraj dołu. Starły się nie zadrapać jej skóry, gdy ją wtaczały. Odwróciły wzrok, kiedy Yolanda wzięła z powrotem łopatę i rzuciła pierwszy deszcz grudek ziemi na Hetty w dole.

Boncer miał spuszczoną głowę, gdy chowano Hetty, łzy spływały mu po twarzy. Przywiązał Ransoma niczym torbę przez swoją pierś, tak, jak robiła to Hetty, i sztywno trzymał przed sobą dwoma rękoma kuszę. Była skierowana w górę, jakby miał oddać salwę honorową, jak gdyby był żołnierzem z karabinem, a nie zaciskał dłonie na wędkarskiej kuszy.

Teddy czał się za nim, chwiejąc się lekko, z rękoma złożonymi grzecznie przy sobie. Oczy miał podbiegnięte krwią, a źrenice rozszerzone. Zabrał ze sobą małą żółtą fiołkę z tabletkami, wyciągając ją z kieszeni od czasu do czasu i wrzucając do ust pigułkę albo trzy. Boncer odwrócił się szybko, żeby ruszyć ze wzgórza, a wtedy Teddy objął go za ramiona – uważnie obserwując kuszę – i zaproponował fiołkę. Boncer otworzył wolną dłoń, a potem wsunął tabletki do ust. Znów byli braćmi.

Yolanda obróciła się właśnie, by ruszyć za procesją milczących, obszarpanych dziewczyn, z których każda niosła coś należącego do Hetty, kiedy spostrzegła, że Verla oddaliła się wzdłuż linii płotu. Stała w pewnej odległości i patrzyła w trawę.

Gdy Yolanda do niej dotarła, siedziała na żółtej ziemi, kołysząc się na stopach i wpatrując w grunt w śmiertelnej ciszy. W pierwszej chwili Yolanda nie mogła dostrzec, co przykuło jej wzrok, co sprawiło, że tu utknęła, kołysząc się w ten przerażający sposób. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jej ramienia – i wtedy to zobaczyła. W trawie u stóp Verli leżał jakby zwój rozpadającego się szarego płótna. Zapadnięta, rozsypująca się klatka piersiowa konia tkwiła do połowy w ziemi, nadal częściowo okryta skórą, tak bladą i cętkowaną jak tarcza księżycy.

Verla odwróciła się do Yolandy i zaszlochała w jej silne, zatęchłe ciało. A Yolanda utuliła ją i kołysała. I płakała razem z nią, patrząc na – przypominające cynowe naczynia – kopyta, zapadnięty balon brzucha, długą, szlachetną szczękę głowy gnijącej w ziemi, która obserwowała je okrągłą czarną głębią pustego oczodołu.

Później, gdy cały kondukt schodzi w dół zbocza, pozostawiając Hetty w zimnej ziemi, a białego konia gnijącego pośród trawy, lśniąco srebrne wersy błyskają w głowie Verli.

Nie pytam, kto jesteś, jest mi to obojętne[13].

Jakby chłodna rtęć drzemała w jej żyłach. Nie zna tych słów, ale wie, skąd pochodzą.

Będziesz tym i będziesz miał to tylko, czym ja zechcę cię obdarować.[14]

Zrozumienie przychodzi powoli. To *ja* Verli, to prawdziwe nagie *ja*, które odstąpiła i zaoferowała, *ja*, które wydawało jej się tak wyjątkowe, tak żywo odmienne od innych, nie zostało... dostrzeżone. Andrew nie szukał jej teraz, bo nigdy jej nie szukał. W każdej chwili, którą z nią spędzał, w każdym akcie, dostrzegał tylko i wielbił swoje własne biedne *ja*. Rtęć rozprzestrzenia się w ciele Verli, zimna, nie do powstrzymania. Była pustą przestrzenią do zapelnienia. Gdyby jej nie było, znalazłby inną. Już tak zrobił.

Ta świadomość nadchodzi jasną, płonąca bielą: konstelacja różniąca się od wszystkich gwiazd wokół.

[13] Walt Whitman, *Pieśń o mnie*, fragment 40, w przekładzie Andrzeja Szuby, w: Walt Whitman, *Pieśń o mnie i inne utwory*, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1996.

[14] Ibidem.

Ta nowa konstelacja wciąż lśni wewnątrz Verli, gdy tego wieczoru samej sobie podaje muchomora.

Ze stopami na zimnym linoleum stoi przed staroświecką płytą pieca i potrząsa patelnią, na której pokruszony muchomor obraca się i skwierczy. Była na tyle ostrożna, że nie zerwała go gołymi dłońmi. A teraz on leży na patelni, syczy, gdy wypływa z niego sok, jest łagodny. Ta mała rzecz na pewno nie potrafi sprawić tego, czego Verla pragnie. *Dziś o północy bez mąk przestać istnieć*[15], bo męka będzie, wiadomo. Boi się bólu. O, tak. Zaczyna znowu popłakiwać, potrząsając patelnią. Wszystkie inne trzymają już swoje miski, jedzą. I wszystkie przeżyją. Boncer też. Tego popołudnia, gdy pochowali Hetty, wskazał swoją kuszą na Izzy i kazał jej iść do jego pokoju.

To tylko kwestia czasu, kiedy Yolanda zostanie zabrana, kiedy wszystkie zostaną zabrane, jednak Verla utraciła już wolę przeżycia, przetrwania. Jest już tak zmęczona tym całym wysiłkiem, że właściwie to tylko mała, głupia niespodzianka. Że to nie Boncer umrze w ten sposób, tylko ona.

Chłopak od rzeźnika zdejmuje swój skrwawiony fartuch[16].

Przerzuca muchomora na swój talerz. Po drodze do jadalni oblepia ją gęsta ciemność korytarza. Zajmuje swoje miejsce przy stole. Do tej chwili nie wie, czy pożegna się z Yolandą. Ale nie, nie pożegna się. Zastanawia się lekko rozmarzona, czy Yolanda przyjdzie i zapłacze znów przy jej łóżku, gdy wątroba Verli przestanie działać. Czy podtrzyma jej głowę, gdy Verla będzie wymiotować krwią, czy owinie ją króliczym i kangurzym futrem, ucałuje jej zimne dłonie, spróbuje otrzeć żółć z jej skóry, z zażółconych oczu?

Po drugiej stronie stołu Yolanda siorbie sos z królika, nie odrywając oczu od miski. Jest już teraz niemal zwierzęciem. Nie owinie Verli w swoje cenne futra, nie będzie trzymać jej za rękę. To nie ma znaczenia. Verla patrzy na drobne brązowe kawałeczki na swoim talerzu, na czekający na nią sekret. Coś na kształt spokoju miesza się teraz z jej lękiem, a ona czuje, jak pełnie powoli przez jej ciało. H A R D I N G S, odczytuje. To się wkrótce skończy. Podnosi widelec i zamyka oczy.

Gdy je ponownie otwiera, widzi przed sobą pusty stół. Boncer zgarnął jej miskę. Verla otwiera usta, żeby krzyknąć, lecz on mamrocze do niej coś obrzydliwego. Jego głos jest przytłumiony, bo łączywie pochłania jedzenie. Wepchnął już połowę w swoje wilgotne, czerwone usta. Gapi się na niego, a jej okrzyk przeradza się w niski jęk, przechodzący z jej gardła z powrotem w głąb trzewi.

I wtedy Verla gwałtownie wraca od śmierci do życia, unosi się coraz wyżej, pędzi po jego powierzchni, zachłystując się powietrzem: Boncer umrze! Nareszcie umrze!

Czy na pewno?

Siedzi nieruchomo, obserwując każdy jego ruch, panując nad wyrazem twarzy, wdychając fioletowe powietrze, bo świat na zewnątrz jadalni zanurza się już w mroku. Jej klatka piersiowa rozpuszcza się od wewnątrz, niczym zaskorupały piach podmywany przez wodę. Boncer połyka, wkłada kolejną porcję do ust i ponownie przełyka.

Pośród zmierzchu na zewnątrz miodojad obrywa krzew kuflika na skraju werandy. Ptak skubie roślinę rytmicznie, tak jak dawniej jej znajomy koń. Verla ma wrażenie, jakby jej członki zalała powódź. Ulga – strach? – jest niczym otwarta śluza, a wraz z potopem przychodzi dźwięk, jak rżenie albo stłumiony jęk, i w tym momencie Boncer przestaje przeżuwać, jakby nabrał podejrzeń. Ale zaraz potem zlizuje smak z warg, a jego szyderczy wzrok przesuwają się po Verli, gdy wkłada do ust kolejny pełny widelec. Drugą ręką pieści lalkę. Nikt z nich nie wie, co się właśnie stało, poza Verlą, a ona w to nadal nie wierzy. Wkroczyła w zagubioną, białą przestrzeń, słyszy dziwną muzykę i cykady na zewnątrz; obrywającego roślinę ptaka. Kiedyś widziała, jak kołnierz kolorowej jaszczurki rozwijał się i kurczył, na zmianę stroszył się wysoko i płasko opadał. Świat pędzi przez czas, niczym przyspieszony obraz ewolucji: czarna przestrzeń, podnosząca się woda, błoto zmieniające się w amebę, potem w rybę, a potem we wszelkie gatunki, w żyrafę i w człowieka, i lądowanie na księżycu, i komputery, i jaszczurka stawiająca kołnierz, i opuszczająca go, stawiająca i opuszczająca, a wszystko to prowadzi do tego punktu w czasie i przestrzeni, w którym Boncer zaraz umrze.

Być może.

Nie wygląda, jakby miał umrzeć. Wygląda zupełnie normalnie. Połknął to, z całą pewnością.

Wszystko. Nic się nie zmienia. Przesuwa teraz palcem po talerzu, zlizuje sos z królika. Opiera się o krzesło i pociąga nosem, i ociera go. Huśta Ransoma na kolanie. Wysysa resztki spomiędzy zębów i odwraca się, by zanucić coś w łuszczący się skórzany kark dziecka.

Kołnierz jaszczurki stroszy się i znika.

Verla zbiera naczynia, zbiera swoje serce, które wciąż bije tym swoim dziwnym, porozumiewawczym stukotem, i wynosi je do kuchni, poruszając się miękko na swych nowych stopach, stopach zabójczyni. Stoi w milczeniu przy zlewie, wpatrzona w miskę, nie wiedząc, co uczyniła albo czego nie uczyniła. Yolanda przyszła za nią i patrzy, co ona robi z patelnią, obsesyjnie splukując ją raz za razem wrzątkiem. Verla wie, że Yolanda zauważyła. *Obie jesteście teraz zabójczyniami*, myśli. Może Yolanda też tak myśli, ale to już dzieło jej króliczego umysłu, a nie dziewczęcego, więc nic do Verli nie mówi.

Verla podaje patelnię w zadziwieniu: co za instrument?! I to wszystko, czego trzeba. Może to właśnie wszystko, czego trzeba, ta mała, obtłuczona patelnia w jej dłoni. Zachowuje się tak, jakby nic się nie stało. Bo nic się nie stało.

W tej swej nowej upiorności idzie do swojego boksu, zamyka drzwi i wsuwa patelnię głęboko pod łóżko. Wspina się na nie jak do brudnej kołyski i przykrywa zapleśniałym kocem z niedowierzaniem i przesyconym zdziwieniem przerażeniem.

Nie pomyślała, co zrobią, gdy Boncer umrze.

Śni jej się Hetty i to małe gnijące coś w jej wnętrzu. Śni, że Hetty idzie przez pastwiska i krwawi, a potem przykuca i rodzi na trawie małe królicze dzieci. Yolanda i Verla siedzą przy niej, gdy wciera się w ziemię, dysząc i pochrząkując. Siedzą i gładzą ją po plecach, kiedy rodzi. *Przykro nam, Hetty*, mówią, *przykro nam*, ale ona ich nie słyszy, skupiona wyłącznie na zadaniu bycia samicą.

Następnego dnia Verla budzi się z przyśpieszonym tętnem. Wcześniej wychodzi z boksu i o poranku już zbiera grzyby, jakby nic się nie zmieniło. W oddali widać srebrzysty ruch Yolandy, która zajmuje się swoją pracą.

Verla zanosí swój grzybowy łup – tylko dwa małe grzybki – do kuchni, gdzie guzdrają się pozostałe dziewczyny. Boncera z nimi nie ma. Ale nie ma też Izzy. *Robi jej coś w swoim pokoju*, myśli Verla. Zerka w głąb ciemnego korytarza, ale nic nie słyszy.

Wokół niej rozpoczyna się stukot naczyń, pusty dźwięk zgniatanych kartonowych pudeł. Spizarnia jest opróżniona do cna, ale dziewczyny zawsze, gdy mają okazję, przeszukują dom, otwierają szafki i zaglądną do kartonowych pudeł. I od czasu do czasu skowyczą z triumfem, gdy znajdą zapomniane, obgryzione przez szczury, pełne moli opakowanie płatków śniadaniowych czy połamanego makaronu.

Verla porusza się w powietrzu, niczym w gęstym żelu upstrzonym bąbelkami możliwości. Ktoś przepycha się obok niej, a ona nic nie mówi. Staje przy oknie i wygląda na pastwiskai. Yolandy już nie widać.

Nie odezwie się, zniszczyłaby czar. Czy jest chory? Martwy?

Izzy wchodzi do kuchni, pociągając nosem i masując sobie zebro. Oddech Verli zamiera. Nie zapyta. Izzy grzebie w szufladach, rozgląda się. Verla nie zapyta. Kołnierz jaszczurki stroszy się i opada. Izzy nic nie mówi, tylko grzechocze, aż znajdzie łyżkę, a potem drepcze w stronę stosu obtłuczonych naczyń, jakby nic się nie stało. Nic się nie stało.

I wtedy nadchodzi, wzbiera wielki przypływ porażki. Coś, o czym nigdy nie pomyślała, nawet przez ułamek sekundy: to nie był muchomor. To nie były muchomory. Nakarmiła Boncera zwykłym grzybem. Siebie też by nie zabiła. Wrywa jej się przytłumiony jęk. Dziewczyny zerkają na nią, a potem patrzą po sobie.

– Co jest? – pyta Lydia, lecz Verla nie może odpowiedzieć.

Życie nigdy nie było trudniejsze do zniesienia niż w tej chwili. Zrywa się, strąca rzeczy, ucieknie stąd, natychmiast. Dobiegnie do płotu, jak biedna Hetty, chwyci go, pozwoli by przepływające przez niego napięcie zamieniło w strzępy jej mózg i spaliło ciało. To się musi skończyć, teraz!

Lecz Izzy blokuje drzwi, wierci się przy nich, trzyma dłoń na framudze. Gdy zdruzgotana Verla patrzy na nią z dna swojej porażki, Izzy mówi:

– On wymiotuje.

[15] John Keats, *Oda do słowika* w przekładzie Zofii Kierszys, w: John Keats, *Poezje wybrane* w opracowaniu Juliusza Żuławskiego, Warszawa 1962.

[16] Walt Whitman, *Pieśń o sobie*, fragment 12, w przekładzie Andrzeja Szuby, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1992.

Ile to potrwa?

Czy Boncer zacznie polować na nie w szale choroby? Kiedy Verla mówi im, co zrobiła, wszystkie dziewczyny zamykają się w swoich boksach od środka i czekają. Nie przychodzi.

Czy zbierają się po cichu pod jego pokojem, by obejrzeć spektakl? By patrzeć, jak pełza, sra na zielono i wymiotuje? Czy przyciskają twarze do okiennej szyby, uradowane niczym publiczność w cyrku, widząc jego cierpienie? Czy przeszukują jego szuflady i szafki, gdy on jęczy i rzuca się w bólu i czy podają sobie kolejno jego rzeczy i wszystko mu zabierają? Czy tym się stały?

Tak, robią to. Tak właśnie robią. Tak, tak i tak.

Poza Yolandą, która słysząc ich trajkot, zabiera swoje żelastwo i znika w głębi pastwisk.

Po pierwszym dniu żadna z nich nie mogła już patrzeć na cierpienie Boncera. Ale Teddy naprawdę się wystraszył. Chwycił swoją kuszę i zaciągnął straż nad rozpadającym się ciałem Boncera, wydając dziewczynom rozkazy, by przynosiły przegotowaną wodę i pielęgnowały chorego. Izzy pierwsza się lituje, czyści mu tyłek, myje go w stęchłej wodzie ze zbiornika, opróżnia pełne wymiocin miski. Przez dwa długie dni wydaje się, jakby Boncer odzyskiwał siły – ale potem znowu mu się pogarsza. Zmieniają się przy nim, Teddy siedzi w kącie i rozkazuje, wskazując to czy tamto swoją kuszą. Dziewczyny wchodzą i wychodzą, sprzątają, wdychają zapach zbliżającej się śmierci.

Na początku Boncer wołał do siebie Ransoma, ale teraz stracił lalkę z krawędzi łóżka, a jej przegniły materiał wreszcie się poddał. Verla pochyla się, by zebrać fragmenty lalki. Zwisająca głowa jest nienaruszona, ale reszta to strzępy, rozsypane siano i kurz. Gdy podnosi lalkę z podłogi, malutki ciemny gruzełek, niczym suszona śliwka, stukocze *tik tak* w zetknięciu z deskami podłogi.

Poza pokojem, w jadalni, dziewczyny dzielą się rzeczami Boncera. Rozdzielają między siebie lśniące resztki po nim. iPad – oczywiście rozładowany. Telefon satelitarny w zapleśniałym skórzanym etui – też rozładowany. Portfel ze zdjęciami jego rodziny.

– Jego matka wygląda zupełnie normalnie – stwierdza ze smutkiem Leandra, przekazując dalej tę tajemnicę. Joy nosi jego dzinsy i czerwony podkoszulek surfera, dopóki Teddy nie ryknie i nie każe jej pod groźbą użycia kuszy iść do jego pokoju i się rozebrać. A potem trzyma ją tam każdej nocy, grożąc kuszą, jeśli odejdzie zbyt daleko.

Torbę z laptopem Boncera i grami na Xboxa rozpakowują w zdumieniu, długo nad nią ślęczą.

– Pamiętam ten stary badziew! – szepcze Rhiannon, przekładając gry z takim szacunkiem, jakby to były obrazki ze świętymi. Nawet na samym początku, gdy mieli jeszcze prąd, nie byłoby na czym w nie grać. Dziewczyny przeżywają pewien wstrząs: nawet Boncer nie wiedział, dokąd trafi!

Nie ma już morfiny, Nancy zużyła wszystko. Wypróbowują na nim resztę leków, ale nikt nie wie, na co są. Po niektórych jest mu jeszcze gorzej.

Niektóre z dziewczyn opuszczają swoje boksy i przenoszą się do domu. Otwierają pokoje, w których nigdy dotąd nie były, szykują sobie spanie na starych czerwonych kanapach, które widziały pierwszego dnia i od tamtej pory ani razu. Za to Yolanda nigdy już nie wchodzi do domu. Je palcami, siedząc na werandzie, zostawiając wylizane do czysta miski i kości porozrzucane dla szczurów.

To Verla zgłasza się na ochotnika na nocną zmianę, do słuchania urywanego oddechu Boncera i jego delirycznych jęków za matką. Ostatniej nocy, gdy pólleży na krześle, słyszy zmianę w jego oddechu. Jego twarz wydaje się szara na tle poduszki, usta są suche i rozchylone, a policzki zapadnięte. On już wygląda jak trup i cuchnie – delikatną zgnilizną, jak psujący się owoc – ale nadal oddycha. Teraz jego płytkie wydechy zmieniają się w nierówny, nieregularny stukot. Na chwilę oddech się urywa, a cisza wokół jest głębsza niż kiedykolwiek – ale potem powraca świst powietrza wdychanego i wydychanego przez ciało.

Verla wstaje i patrzy ze smutkiem.

– To było nieuniknione – szepcze do niego. To musiało się stać. To, że Boncer umrze, było nie

do powstrzymania, jak nadejście kolejnej pory roku. Sam to na siebie sprowadził. Lecz Verla nie może się powstrzymać, bierze jego bladą rękę w dłonie i trzyma ją. Jego skóra jest sucha i chłodna. Przesuwa się luźno na kościach. Myśli o wszystkich tych chwilach, gdy trzymała smutną, starą dłoń ojca i w jednej ulotnej chwili unosi rękę Boncera do ust.

Niczym echo umierającego oddechu Boncera wokół pokoju rozlega się potężny, niski dźwięk, jakby budynek również umierał. A potem pod drzwiami pojawia się szokująco biały pas światła.

Verla puszcza dłoń Boncera i podchodzi do drzwi, otwiera je i widzi światła płonące w całym domu.

Wrócił prąd.

Boncer umiera cicho, sam, podczas gdy dziewczyny biegają z piskiem tam i z powrotem po korytarzach.

W pierwszej chwili nie są w stanie podnieść wzroku, pędzą przez pokoje pod blaskiem fluorescencyjnych świetlówek, robiąc sobie z dłoni daszki nad oczy. Jak jasno!

– To znak – oznajmia Joy, wchodząc do jadalni, gdzie się zgromadziły, nadal mocno mrugając oczami. Mała Joy, spocona, zdyszana, trzyma w drobnej dłoni kuszę – krótszą, bez strzały. Sama nie wie, jak to zrobiła, ale gdy światła się zapaliły, wiedziała, że to znak i zanim się zorientowała, co robi, zeskoczyła z łóżka Teddy’ego, złapała kuszę i wystrzeliła do niego.

Joy pociera sobie ramię powyżej opuszczonej broni.

– To diabelstwo ma odrzut. – Drży, uśmiechając się z triumfem, w poszarpanym ubraniu. Oświetla ją jarzeniówka i w jej świetle widać krew. Patrzy na nie, uśmiechając się swoją drobną, gładką buzią, czekając na aplauz.

– To był odruch – mówi. Jej klatka piersiowa faluje w górę i w dół, dźwigając to, co uczyniła w nieruchomym powietrzu nocy. A potem upuszcza kuszę na podłogę i wyciera zakrwawione dłonie w spódnicę, a jej drobne ciało całe zaczyna się trząść.

Powrót prądu oznacza jedno i wszystkie są tego świadome. Przyjedzie Hardings.

Nie spały całą noc, chodziły po korytarzach, śmiały się, płakały. Gadały albo milczały, kręciły się, przejęte.

Pod koniec tamtej nocy i na kolejne dwa dni zapanował wokół niezwykle spokój, jakby to była Wigilia. Ogarnął je zachwyty, pełen tęsknoty i zadziwienia. Ich dawne życia zaczęły powracać, najpierw drobnutką strużką, potem strumieniem, a na koniec ruszyły lawiną – praca, ulice, domy, w których mieszkały. Chłopcy.

Czy rodziny je rozpoznają? Gdzie będą teraz mieszkać? Świat na zewnątrz: *wyobraźcie to sobie!* Czy on nadal istnieje? Czy je przyjmie? Kto będzie na nie czekać?

Nie miały pojęcia, jak długo tutaj przebywają.

Nie rozmawiały o tym, ale gdy zaczęły swobodnie poruszać się po domu (zaginięły, ale przecież wkrótce zostaną odnalezione) zauważyły, że powoli powracają do starych rytuałów: Leandra przy piecu, Maitlynd szczebiocząca do żaby, Barbs z wielkim garem, Rhiannon przemierzająca pastwiska, by po raz kolejny wsiąść do szkieletu pickupa.

Yolanda nie przerwała wędrówek po pastwiskach i już prawie wcale nie zbliżała się do domu.

Tylko Verla porzuciła zbieranie grzybów. Siedziała na werandzie w słabym słońcu i patrzyła przed siebie.

Joy, Lydia i Izzy posprzątały po Boncerze i Teddym, zostawiły ich na łóżkach, uczesały im włosy, złożyły dłonie jak świętym. Musiały zostawić strzałę z kuszy w ciele Teddy’ego, owinęły ją tylko szmatami, tak że wyrastała z jego piersi niczym wojowniczy kwiat. Izzy chciała strzelić z kuszy w głowę Boncera, ale odwiody ją od tego.

–Nigdy tego nie zapomnisz, Iz. Zostanie w twojej głowie na zawsze, wcale tego nie chcesz.

Wzięły teczkę z raportami o zdarzeniach i czytały w milczeniu, siedząc wokół stołu w jadalni. To, jak Boncer potraktował Hetty, było niewybaczalne. Wydawało im się, że nawet ją kochał, na swój dziwny, straszny sposób. Nosił jego dziecko. Ale teraz czytały, jak ciasnym, szkolnym charakterem pisma streścił ją w czterech słowach: „Samobójstwo klientki: porażenie prądem”. Lydia też była bardzo sumienna, bo przeszukała wszystkie pokoje, każdą szufladę i szafkę. Hetty spaliła wszystkie ich prawdziwe ubrania, tak właśnie było. Z ich dawnego życia nie pozostało nic.

Jak miały się przygotować do wolności?

Ostatnie wieczory przypominały szalone święto. Nawet Yolanda weszła do środka, żeby coś zjeść, a Izzy ciskała miski gulaszu na stół, podśpiewując, że wkrótce już nigdy przenigdy nie będą musiały jeść tego cholernego grzybowo-króliczego gulaszu! Odpowiedziały jej wiwaty. Niektóre zaczęły nucić:

– *Hardings jedzie! Hardings jedzie!* – Ułożyły krótką piosenkę, a Joy i Rhiannon zatańczyły wokół stołu.

Tylko Yolanda się nie uśmiechała, a jedynie skubała różowe mięso królika i pochrząkiwała, jakby zawsze taka była.

I dziewczyny odwróciły się teraz, by na nią spojrzeć, zobaczyć ją w cuchnących, zakrwawionych skórach, jedzącą poczerniałymi rękoma, odrywającą mięso od kości. Kto będzie chciał coś takiego z powrotem w świecie? Wymieniono spojrzenia, osłonięto dłońmi krzywe uśmieški. Wyobraźcie sobie ten syf w jakimś mieszkaniu albo w biurze. Wyobraźcie sobie Yolandę *na zakupach*. Zaczęły chichotać.

Yolanda jakby nic nie zauważyła. Wzięła teczkę z raportami o zdarzeniach i zaczęła drapać po niej swoimi ubrudzonymi ziemią łapami.

Następnego popołudnia słyszą to, czego się spodziewały. Rozlega się krzyk, dziewczyny biegną na werandę, żeby stać i patrzeć na odległą, małą figurkę żółtego autokaru, który zjeżdża zakosami z grzbietu, znika w buszu i pojawia się, migając, pomiędzy czarnymi drzewami. Obserwują, jak toczy się po trawie, wokół tamy, miażdżąc wszystko.

Rządek dziewczyn. Ze spletanymi włosami, brudnych i wychudzonych. Włosy w miejscach intymnych rozrosły się, piersi opadły nisko, biodra mają szerokie lub wąskie. Dzikie istoty, takie jak one, nigdy nie przebywały w zwykłym świecie.

Żółty autokar pojawia się i znika, kanciasty kształt pośród kęp trawy, wzdłuż zwirowej drogi zbudowanej przez dziewczyny. Jego słaby odgłos nabiera mocy.

Na werandzie nie ma Yolandy. Verla szukała jej od świtu na pastwiskach, wśród zabudowań i spiżarni, w domu i w boksach. Autobus huczy głośniejsze, a Verla jeszcze raz biegnie przez dom, a potem wpada do boksów i woła, woła Yolandę.

Gdy wchodzi do jej celi po raz trzeci tego ranka, zastaje pustkę. Zniknęły wszystkie skóry. Nie ma stosu małych kości ani strzępków futer.

Nawet się nie pożegnała.

Verla rozgląda się za jakimś skrawkiem, czymś, co mogłaby ze sobą zabrać. Ale pomieszczenie zostało opróżnione ze wszystkiego, co było Yolandą. Z drogi dochodzi hurgot autobusu. Serce Verli zaczyna bić szybciej. Pora iść. Rzuci ostatnie spojrzenie na pusty boks, wychodzi przez drzwi i wpada... prosto na Yolandę.

Ta stoi, spokojnie oddychając, spięta pasem i obładowana kocami ze skór, pułapkami, zwisającym nożem. Kiwa Verli głową i wskazuje na pola, wyciągając brudną rękę w mitence. Verla nieruchomieje. Autobus się zbliża.

W domu czeka ojciec w swoim wózku, wymachuje przezroczystą dłonią. W domu są miękkie deski na molo i połyskująca woda.

– Szybko – szepcze Yolanda. Obie słyszą autobus, nadjeżdżający nierówną zwirową drogą.

Verla odnajduje palce Yolandy wewnątrz futrzanej rękawicy i bierze ją za rękę. Patrzy w małe, ciemne zwierzęce oczka i mówi:

– Chcę do domu.

Stoją w ciemnym korytarzu między boksami. Verla czuje zwierzęcy oddech Yolandy, wyczuwa giętki, delikatny szkielet pod jej skórą. Czuje przyspieszone bębnienie jej serca w jamie klatki piersiowej. Yolanda przyciąga Verłę do siebie po raz ostatni, a potem ją puszcza. Naciąga mocniej nieporęczny płaszcz ze skórek i cicho rusza korytarzem, a potem przechodzi przez drzwi i znika w jaskrawym świetle. Verla wybiega z boksów, wspina się z powrotem na werandę. Odwraca się, by spojrzeć słaby błysk futer Yolandy, który – ledwo widoczny – przesuwa się szybko przez trawę.

Jest już daleko, gdy autokar w końcu wjeżdża na wzgórze z budynkami, wzbijając za sobą kurz. Pojawia się przed nimi wielki i nowoczesny, w nienaturalnie jaskrawym żółtym kolorze, brutalnie mechaniczny. HARDINGS INTERNATIONAL widnieje na boku drobnymi czarnymi literami, ostro i wyraźnie, gdy jest już bliżej.

Autokar zatrzymuje się z szarpnięciem, w ciszy rozlega się długie syczące westchnienie układu hydraulicznego. Uniesiony kurz wisi w powietrzu. Po chwili powoli otwierają się drzwi.

Mężczyzna – ogolony, podtatusiały, w czystym niebieskim kombinezonie – schodzi po schodkach i woła do nich:

– Halo, drogie panie, jak sobie radzicie? – Jest tak mało prawdziwy, tak czysty, przybył z tak odległej krainy.

I wtedy je dostrzega, ich brud i rozkład. Mówi łagodnie, patrząc na ich rządki.

– Co my tutaj mamy? Ojacie, ojacie. – Dziewczyny przestępują z nogi na nogi, nagle przestraszone jego wzrokiem.

Mężczyzna robi krok w ich stronę. Mówi:

– Biedulki, biedulki.

Sztywnieją, zbijają się bliżej, rzucają ukradkowe spojrzenia. *Biedulki*. Mężczyzna wsiada

z powrotem do autokaru, znika na moment, a potem pojawia się z kartonowym pudłem. Nasłuchują, ale to prawda, nie powiedział kurwy, tłuste szmaty, brudne suki, zdziury. Powiedział: *biedulki*.

Dziewczyny słyszą swoje własne oddechy. Trzymają się za ręce, przestraszone. Mężczyzna postawił pudło na ziemi, a teraz zaczyna wyjmować z niego nowiutką papierową torbę podarunkową, a potem kolejną i kolejną. Odlicza je, zawieszając sobie na nadgarstku. Gruby wytłaczany papier w kolorze pudrowej, kremowej bieli. Ma się ochotę przesunąć palcami po tej czystej, niedotykannej powierzchni, wzdłuż ostrych, czystych krawędzi. Ma się ochotę ją potrzymać, poczuć jak się kołysze i przechyla z powodu ciężaru, z cieniem głębokiej zieleni bibułki wewnątrz.

Dziewczyny spoglądają po sobie, przysuwają się bliżej, próbując odczytać przyszłość ze swych napiętych twarzy. Stoją bez ruchu, zbyt przestraszone, by zejść z werandy, z tej wyspy rozpadającego się drewna, ich zbutwiałego domu. Czują teraz zapach mężczyzny, gdy pochyla się nad pudłem i grzebie w nim. Słychać szelest bibułki. Sztuczny, chemiczny zapach mężczyzny unosi się ku nim, niczym lukrecja, niczym cynamon, niczym wspomnienie bardzo odległej przeszłości, gdy były czyste, gdy znały innych czystych ludzi. Jakże on im się wydaje nagi. Jak noworodek.

Rusza w ich kierunku, z pękiem toreb w każdej dłoni, obracających się na uszkach z czarnej satynowej wstążki. Torby ocierają się o siebie z luksusowym szelestem.

Nawet stąd Verla dostrzega klinicznie czyste dłonie mężczyzny i jego paznokcie – przycięte i różowe. Zaciska swoje własne dłonie w pięści.

– A tak przy okazji jestem Perry – woła mężczyzna ponad niebezpiecznie dużą przestrzenią cętkowanej trawy i uśmiecha się. Stoi w słońcu. Torby przesuwają się jak żywe. Śliskie i lśniące jak konie wyścigowe. Dziewczyny nie mogą się napatrzeć. Na co? Co jest w tych torbach? Obietnica, zapowiedź czegoś: czułości, spokoju, opowieści o miłości, dalekiej od tego miejsca.

To Lydia szepcze z niedowierzaniem:

– Wyglądają jak od Phaedry.

Niemożliwe.

Barbs wie.

– Prawdziwe Phaedry kosztują gdzieś... – i tylko potrząsa głową, więc nie, to niemożliwe. Ale coś im świta, wszystkie pamiętają, jak Maitlynd powiedziała im pewnej nocy, wołając ze swojego łóżka. Jak jej były szef dał jej maleńką próbkę od Phaedry, i jak *niewiarygodna* była nawet taka mała ilość. Zupełnie jakby się miało *nową skórę*, przysięgała. Dziewczyny patrzą w dół, pośpiesznie, na swoje pogryzione, poczerńiałe dłonie.

Mężczyzna czeka z cierpliwym uśmiechem, ale zaczyna wyglądać na zaniepokojonego. Odwraca się w stronę autokaru, torby się kołyszą. Dziewczyny czują, jak ich ciała tego pragną, jak je przyciąga, choć jeszcze się nie poruszają. Rhiannon mruczy:

– Może to jakby nagroda? – I wtedy coś przypomina się Lydii, która pracowała kiedyś przy imprezach charytatywnych. – Może Phaedra współpracuje z Hardings? – patrzą na nią. – Jest sponsorem.

Nie są jeszcze pewne, ale to, co widzą, to bez wątpienia nie dające się z niczym pomylić wirujące wytłoczone „P” i jakieś drobniejsze literki. I spójrzcie znowu, mignięcie intensywnego, głębokiego turkusu bibułki. Bibułki? Raczej jedwabiu, turkusowego jak ogromny, przechodzący w morze basen. Każda z dziewczyn wraca do swego wnętrza, do wspomnień, do pragnień, do zmysłów dawno temu zapierających dech w piersiach. Verla trzymała w palcach wykrochmalone płótno prześcieradła z paryskiego hotelu. Wsuwała do ust ciastka złożone z mnóstwa maślanych warstw. I stała na ulicy przed wystawą Loubutina, na której pantofelek z ostrą jak igła szpilką skierowaną ku szklanej kopule wyglądał jak klejnot, próbkówka, strzykawka. Jak jakiś cudowny lek, który cię naprawi, uzdrowi, uleczy.

W bardzo odległej przeszłości zimne dłonie Teddy’ego i Boncera zostały złożone na ich piersiach. Są teraz starymi duchami ze snów, jak pokryty kurzem biały koń Verli. Prawdziwa przyszłość jest tutaj, w tym czystym, odprasowanym kombinezonie i lśniącym żółtym autobusie, a kremowe okręty z pergaminu w jego rękach odbijają promienie słońca. Verla chce po prostu dotknąć, przesunąć palcem po idealnej, ostrej jak nóż krawędzi papierowej plisy.

Nie mogą oderwać wzroku od toreb.

Gdzieś daleko za nimi biedna szalona Yolanda bawi się w brudne zwierzę. Wciąż zniewolona, szarpiąca zarośla, wpychająca się w liście, kopiająca, drażąca. Kompletna wariatka.

Barbs w końcu nie jest w stanie dłużej czekać. To grubokoścista Barbs mówi do mężczyzny cichym, grzecznym głosem:

– Możemy zajrzeć?

– Oczywiście, skarbie! – odpowiada rozpromieniony Perry, który stoi w tej chwili przy drzwiach autobusu. Barbs (*oczywiście, skarbie!*) rusza po trawie w rozpadających się skórzanych butach i ostrożnie odbiera torbę z jego rąk. Pochylają się, wstrzymując oddech, obserwując, jak Barbs sięga i zagląda i wykrzykuje:

– Och! – i wyciąga ciężkie, czarne, błyszczące pudełko i piszczy: – To faktycznie Phaedra! – a one widzą aksamitne wnętrza i wieczko ze szlifowanego szkła. Barbs przyciska torbę do siebie i patrzy na dziewczyny z rozjaśnioną twarzą. I wtedy rozlega się tupot stóp na deskach. I już kucają przy ziemi, rozrywając małe paczuszki. To nie tylko Phaedra, niewiarygodne, ale też Martha Jones i Nyfödd, i NaturescienceSeries II! Mężczyzna uśmiecha się łagodnie z góry, a one krzyczą, odkręcają buteleczki, wyciskają kremy na dłonie, wklepują brudnymi palcami błyszczki w łuszczące się wargi. Verla rozgląda się za Perrym, którego nie ma już z nimi na zewnątrz. Wślizgnął się do domu.

– Czekaście – syczy do dziewczyn, ale one wszystkie piszczą, bo Lydia unosi srebrną golarkę, zadziera spódnicę i patrzy na swoje pokryte miękkim futerkiem nogi i szłocha z żalu i ulgi. Wszystkie nurkują w torbach w poszukiwaniu lśniącego przedmiotu i wyciągają go, piękny, opływowy kształt, skalpel w ich dłoniach. Serce Verli zaczyna bić zbyt szybko.

Wstaje i rozgląda się po równinie za Yolandą. Osłania oczy i przeczesuje wzrokiem płaski teren, nierówne zbocze wzgórza, trawiaste pastwiska, lecz Yolandy nigdzie nie można dostrzec, nie ludzkim okiem. I nagle Perry jest już z powrotem obok niej na trawie z tym swoim wyperfumowanym zapachem ogolonego mężczyzny.

– Zabierzmy was stąd – mówi, a w jego głosie słychać litość i żal. Jakby wiedział, co im tutaj uczyniono i że to nie powinno się już nigdy zdarzyć. Czy znalazł Boncera i Teddy’ego? Znowu się rozpromienia i nawet nie musi nic mówić, bo dziewczyny już zaczęły pakować się do autokaru, rozgadane i zapłakane. Oglądając się za siebie na trawę, żeby sprawdzić, czy niczego nie zostawiły, czy nie zgubiły żadnego ze swoich skarbów. Dłonie mają pełne turkusowej bibułki Phaedry, lśniących białych tubek, ciężkich szklanych słoiczków i wciągają do płuc cudowny, zapomniany zapach kwiatów, ziół i pieniędzy.

Verla stawia nogę na stopniu, jej nietknięta torba kołysze się na nadgarstku ciężka, bogata i pachnąca. Ze środka autobusu słychać, jak Leandra krzyczy z pełnymi ustami:

– Czekolada! – Verla waha się moment, lecz słyszy:

– No dalej, skarbie – i dłoń Perry’ego popycha jej plecy, zbyt mocno, z za dużą wprawą, za szybko, po schodkach. Już jest na pokładzie, w środku świeżego, czystego tunelu autobusu, ze wszystkimi innymi. A drzwi zamykają się za nimi z miękkim, przypominającym westchnienie dźwiękiem, zapieczętowując je w środku. Perry wślizguje się na miejsce kierowcy i rozlega się ryk ożywionego silnika. Każda z dziewczyn opada na podwójne siedzenie – *jakie miękkie!* – i siedzą, popiskując z zachwytu, otulone niczym w gniazdku tubkami i paczuszkami.

Autobusem trzęsie, gdy sunie drogą, którą zbudowały dziewczyny – *naszymi dłońmi, na własnych kolanach* – oddalając się od zabudowań. Jednak we wnętrzu Verli jakby coś zaczyna cieknąć, śmiertelnie krwawić, coś zgnilego. Verla nie otwiera ust, nie otwiera torby. Ta leży swoim ciężarem czystej bieli w poprzek jej kolan. Verla wygląda przez przyciemniane okno, patrzy na pastwiska, przeszukuje wzrokiem busz. Słońce jest coraz niżej. Nie dostrzega jej.

Biedulki.

W autokarze panuje hałas, dziewczyny nawołują się niczym ptaki. Izzy znalazła na dnie swojej torby szczotkę do włosów i piszczy, przechwalając się nią, a reszta natychmiast nurkuje w głąb toreb i teraz czeszą swoje – przypominające ptasie gniazda – włosy.

Leandra szoruje sobie twarz wilgotnymi chusteczkami o zapachu kwiatów cytryny i wzdycha:

– Jezu, kurwa, patrzcie – na widok schodzącego brudu.

Zawodzą na widok swoich twarzy w szybach:

– O, mój Boże, o, mój Boże!

Droga robi się wyboista, gdy zjechali z betonu i żwiru, więc autokar zwalnia, unosi się i kołysze z boku na bok. Wspina się po kamienistym zboczach, w górę w kierunku grzbietu. I wtedy się wyłania: płot. Czarny, olbrzymi.

Dziewczyny nagle milkną, z otwartymi ustami przyciskają czoła do przyciemnianych okien, każda wstrzymuje oddech i czeka, czy to się naprawdę wydarzy. Autobus zwalnia, zatrzymuje się i drży, podczas gdy – wstrzymują znowu oddech – masywny owinięty drutem panel płotu przesuwa się, terkocząc i grzechocząc, i otwiera drogę.

W tym momencie, rozgrywającym się jak w zwolnionym tempie, tylko Verla się porusza, śmiga z jednej strony autobusu na drugą. Widać tylko szary, skłębiony busz. Autokar przejeżdża przez otwartą bramę. Verla osłania oczy tuż przy szybie, modląc się, *blagam, blagam*, i wtedy dostrzega ją: malutką futrzaną figurkę biegnącą nisko wzdłuż boku autobusu. Mała postać mija płot i skręca gwałtownie, obracając się nisko i błyskawicznie, i niknąc w zaroślach niczym królik.

– Żegnaj, Yolando – szepcze Verla do szyby. – Żegnaj.

Kremowa torba o jedwabnych uchwytach opiera się obok niej o fotel. W powietrzu unosi się nieco mdlący zapach.

Verla sięga do fałdów swojej tuniki, gdy autobus znowu się wspina po zboczach, odpina małą brudną kieszonkę i kładzie jej zawartość sobie na kolanach. We wnętrzu Verli coś nadal cieknie, nie przestało po zamknięciu bramy za nimi, więc Verla już wie, co teraz zrobić.

W szmatce na kolanach ma drugiego muchomora.

Słońce zachodzi. Autobus dojeżdża do skrzyżowania i wszystkie dziewczyny, poza Verlą, wyciągają szyje, podziwiając długą, jasną, żwirowaną drogę w obu kierunkach. To jeszcze nie szosa, ale prawdziwa droga. Dziewczyny wiwatują, a potem z powrotem zakopują się w swoje skarby, nie zwracając uwagi, nie widząc, że autobus skręca na zachód, a nie na wschód. Dokładnie ku zachodzącemu słońcu, nie w przeciwnym kierunku. Verla zauważa, że Perry obrzuca je – ten swój ładunek – szybkim spojrzaniem w lusterko, a potem znów patrzy na zakurzoną drogę.

Dom z martwymi ciałami, rozwalające się budynki i boksy są już daleko za nimi. Verla dostrzega, że chmara lśniących ptaków kręci piruety na tle nieba. *Biedulki*. Ten Perry wcale nie miał na myśli tego, co im tam uczyniono. Miał na myśli to, co ma dopiero nastąpić.

Rozpakowuje szmatkę, odłamuje kawałek grzyba i przytrzymuje go w palcach przez materiał.

Musi wiedzieć, czym jest. Jest córką, więc szepcze przeprosiny dla ojca. Widzi siebie samą, jak to robi, i wsuwa kawałek grzyba do ust, żuje go, miażdży, opiera głowę o drżącą szybę, przelyka. Zamyka oczy i wybacza matce, żegna się z ojcem. Mówi do Andrew, *Jeśli zatęsknicie za mną, szukajcie mnie pod podeszwą buta*[17], i bez bólu odczuwa zwyczajny, prosty fakt, że nigdy jej nie kochał.

Dziewczyny świergola na siedzeniach za nią. Verla trzyma zabójczą drobinę grzyba w dłoni i zanim położy ją sobie na języku, woła w głowie przez busz do Yolandy, swojej opiekunki, bliskiej istoty: *Kocham cię. Jestem twoją siostrą, a ty jesteś moją*. I nareszcie Verla wie, że jest kochana. Zaciska opuszki palców na owiniętym materiałem kawałku grzyba.

Lecz wtedy Yolanda odpowiada. Jej głos dochodzi z delikatnej szarej smugi, która mknie pośród traw przez równinę, do samego wnętrza Verli. I nie jest to wcale głos starego, martwego Walta Whitmana. Ten, którego dźwięki słyszy, to świeży, żywy rytm bijącego serca, napływającej krwi i łap uderzających o ziemię. Verla czuje nagle ten puls w swoim ciele. Perry znowu zmienia bieg, opiera się o fotel, przygotowując na długą jazdę prosto. A trzy słowa przepychają się przez ciało Verli, przedzierają przez te wszystkie miesiące, przez porażki i strach, i poniżenie, walczą z tą ostatnią klęską. Przebijają się przez wnętrze Verli i rozkwitają nagle w jej ustach. Trzy słowa: NIE ZGADZAM SIĘ.

Już jest na nogach. Przechodzi na przód autokaru i zagląda Perry'emu w twarz, zaskakując go.

– Zatrzymaj.

Czuje zmianę w powietrzu za sobą. Ćwierkanie dziewczyn przycichło. Silnik mruczy dalej, ale

Perry odrywa wzrok od drogi. Słońce świeci mu prosto w oczy, mruży je pod osłoną.

– Toaleta jest z tyłu, skarbie – mówi.

Verla odpowiada głośniejszym głosem:

– Zatrzymaj. Wypuść mnie.

Wyraz irytacji przełyka przez twarz Perry'ego, zanim pośle jej zimny uśmiech, cały czas trzymając potężne dłonie na wielkiej, czarnej kierownicy.

– Po prostu sobie usiądź, dobrze, skarbie? To niezdrowe i niebezpieczne.

Ale dziewczyny już ruszyły środkiem autokaru. On je słyszy, choć patrzy na drogę z niezadowolonym wyrazem twarzy.

– Niech wszyscy, proszę, natychmiast usiądą – szczeka.

Przez pomruk silnika przebija się czysty głos Joy.

– Wypuść ją. – Dziewczyny jeżą się i przysuwają do niej, do Verli. Perry zerka w lusterko, potem przenosi z powrotem wzrok na drogę, tłumi złość w sobie. Ale dostrzegł je w tym momencie, stojące za nim dziewczyny, wyczekujące, lśniące w promieniach zachodzącego słońca. Jest ich osiem. Widział je w ramce lusterka: brudne, z nastroszonymi włosami, niektóre z koszmarną pomarańczową szminką na ustach, inne w krzykliwych koralikach i wstążkach. Nabrały siły przez pracę i brutalne traktowanie. Ich wzrok płonie.

– Wracać na miejsca! – wrzeszczy i zaczyna nerwowo macać pod deską, ale boi się, wyczuwają to, wiedzą, że w domu widział Boncera i Teddy'ego.

Verla czuje ścianę dziewczyn, siłę ich twardych, ciepłych ciał za sobą. I to, że stoją razem z nią. Nagle Leandra rzuca się z krzykiem:

– Stój! – i łapie za kierownicę, sprawiając, że autobus przechyla się i gwałtownie skręca na zwirowej drodze.

– O żeż kurwa! – ryczy Perry.

Gdy Verla podniosła się ze zwirowej drogi – *to sobie umieraj, stuknięta dziwko* – stanęła sama na drodze, czując smak kurzu w ustach, i suche, suche powietrze osadzające się na jej skórze.

Butelki z wodą, które dziewczyny jej rzuciły, leżą wbite w żwir. Ramię cholernie ją boli; kolana i przedramiona krwawią, ale nie tak bardzo. Autobus odjechał. Patrzy na drogę do tyłu, w kierunku, z którego przyjechały.

Nie ma bladego pojęcia, gdzie jest Yolanda; pewnie jest już daleko, całkiem zwierzęca, wolna. Myśląc teraz o Yolandzie, tak energicznie żywej w swoim króliczym *ja*, Verla przypomina sobie swoje własne inne *ja*, wywołane kiedyś gorączkowym snem. Tamten mały brązowy pstrąg, unoszący się nieruchomo w wodzie, wyczekujący.

Odwraca się od tarczy zachodzącego słońca i ociera rękawem spoconą twarz. Wkrótce zapadnie zmrok i zrobi się zimno. Będzie ciężko. Może nawet umrzeć. Pochyla się, by podnieść butelki z wodą, grzebie w kręgu różowego kurzu. Gdy już ma je wszystkie, rusza zwirową drogą.

Mały pstrąg drga i znika. Pozostaje po nim tylko ruch przejrzystej wody.

[17] Walt Whitman, *Pieśń o sobie*, fragment 52, w przekładzie Andrzeja Szuby, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1992.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję tym, którzy pomogli mi napisać tę książkę, często nie zdając sobie z tego sprawy. Są to: Rebecca Hazel, Alison i Mary Manning, Ruby i Lily Johnson, Jane Doepel, Kerry i Deborah Bennett, Bundanon Trust, David Whish-Wilson i Curtin University, Joan London, Eileen Naseby, Lucinda Holdforth, Vicki Hastrich, Tegan Bennett Daylight, Ailsa Piper, Caroline Baum, Hannie Rayson, Dorotya Fabian, Anne Brewster i Stephanie Bishop. Dziękuję wszystkim autorom, którzy wspaniałomyślnie wzięli udział w moim projekcie *The Writer's Room Interviews*; każda z rozmów z nimi głęboko wpłynęła na moją pracę. Dziękuję Jenny Darling, Jane Palfreyman, Ali Lavau, Siobhán Cantrill, Clarze Finlay, Lisie White i wszystkim w Allen & Unwin za profesjonalną opiekę. A zawsze i przede wszystkim dziękuję Seanowi McElvogue'owi.

Historia brutalna i jednocześnie piękna. To jak Opowieść podręcznej na odludziu.
– PAULA HAWKINS, autorka *Dziewczyny z pociągu*



Naturalna kolej rzeczy

Charlotte Wood

